

LINDSAY MCKENNA

NIEZWYCZAJNA

DZIEWCZYNA

PROLOG

31 grudnia, godzina 16.00

Morgan, cóż za wspaniała niespodzianka! To najpiękniejszy prezent noworoczny! - Laura Trayhern podziwiała luksusowy apartament w hotelu Hoyt. Posłała buziaka mężowi, który stał obok z dumnym uśmiechem. - Zupełnie się tego nie spodziewałam! - wykrzyknęła, rzucając mu się na szyję.

Przed chwilą przyjechali prosto z lotniska w Los Angeles. Wynajęcie luksusowego apartamentu było niespodzianką, tak samo jak plan Morgana, by spędzić tu sylwestra i Nowy Rok.

Morgan otoczył żonę ramionami. Na widok uroczego uśmiechu na twarzy tej filigranowej blondynki ogarnęła go fala czułości. Kiedy obsypała pocałunkami jego szyję, policzek, a w końcu usta, podniósł ją w górę i obrócił się wkoło. Figura taneczna godna Freda Astaire'a sprawiła, że zakreśliło mu się w głowie, postawił więc ją z powrotem na miękkim, białym dywanie i rzekł:

- Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie. Chciałem, żeby to była niespodzianka...

Wyglądając dłońmi długą do kostek spódnicę i obciągając różowy sweterek, Laura rozejrzała się po pokoju.

- Hoyt... Słynny pięciogwiazdkowy hotel! Od zawsze marzyłam, żeby go zobaczyć! To tu w latach trzydziestych i czterdziestych śmietanka Hollywoodu bawiła się na przyjęciach, które opisywały potem wszystkie gazety... Wiem, że na dole jest piękny, mahoniowy bar z mosiężnymi okuciami, przy którym siadywał Clark Gable. Przychodziło tu też wielu sławnych pisarzy... - Popatrzyła na męża, który zgodnie ze swobodną, kalifornijską modą miał na sobie jasnoczerwoną koszulkę polo, granatowy sweter i beżowe spodnie. - Czuję się jak w cudownym śnie, Morgan - powiedziała, przechadzając się po najlepszym apartamencie w całym hotelu.

Laura wiedziała, że apartament Króla Słońca na ostatnim piętrze, urządzone białe - złotymi meblami w stylu Ludwika XIV, musi być bardzo drogi. Czowała się w nim jak w pałacu. Gładząc koniuszkami palców komodę ze szlachetnego drewna, wyjrzała przez okno. W oddali widoczne było centrum. Wyraźnie widziała ponurą, brązową łunę smogu, zawsze wiszącego nad miastem.

Czternaście pięter niżej potężne, dostojne palmy kołysały się majestatycznie na wietrze. Przypominały jej wyprężonych na baczność strażników. Kalifornia była tak cudownie ciepła w porównaniu z ich lodowato zimnym rodzinnym Philipsburgiem w stanie Montana, który

opuścili zaledwie kilka godzin wcześniej. Tu nawet pod koniec grudnia wciąż było dwadzieścia stopni.

Poczuła za sobą Morgana. Objął ją ramionami i przyciągnął do siebie.

- Wszystkiego najlepszego po świętach - mruzczał, całując jej złociste włosy, które przypominały mu bajkę c warkoczach Roszponki. Kiedy Laura podniosła głowę i posiała mu podekscytowany uśmiech, serce przepelniała mu radość.

- Nie mogłam w to uwierzyć, Morgan! Kiedy na tej uroczystości w Perseuszu wręczyłeś mi kopertę, nigdy bym się nie domyśliła, że znajdę w niej bilety lotnicze i rezerwacje w hotelu Hoyt! - Westchnęła z zadowoleniem i odwróciła się, wtulając się w jego silne ciało. - Cóż za wspaniały prezent! Od dawna marzyłam, by tu przyjechać i zobaczyć ten zabytkowy budynek, a potem dokładnie go opisać.

Morgan skinął głową.

- Wiem, że ostatnio mieliśmy mnóstwo pracy. Perseusz zajmował mi o wiele więcej czasu, niż się spodziewałem. - Po latach małżeństwa i wychowaniu czwórki dzieci Laura wciąż miała w sobie młodzieńczy entuzjazm i czułe serce. Ta cecha nie przestawała go zadziwiać. Wiele razy tylko dzięki niej udało mu się wylizać z ran, odniesionych w czasie służby w oddziałach piechoty morskiej, zwłaszcza pod koniec walk w Wietnamie

Kiedy spotkał ją po raz pierwszy, Laura mieszkała w Waszyngtonie i pracowała jako historyk i autorka książek, głównie o tematyce wojskowej. Morgan był właśnie na lotnisku, kiedy zobaczył, jak Laurę potrącił samochód. Ten wypadek zetknął ich ze sobą i na zawsze zmienił ich życie. Przez te lata miewali i trudne chwile, ale dzięki nim ich miłość stawała się tylko coraz silniejsza. Nawet wtedy, gdy najstarszego syna, Ja sona, porwali handlarze narkotyków, ona potrafiła stawić temu czoło.

Morgan znał dobrze miłość Laury do zabytkowych budynków i badań historycznych. A ponieważ Hoyt był jednym z ostatnich zachowanych luksusowych hoteli z lat dwudziestych, wiedział, że pobyt tu sprawi jej wielką radość. Od dawna chciała odpocząć od tematyki wojskowej, o której wciąż pisywała od czasu do czasu, choć była matką i panią domu. Wiedział, że marzyła o napisaniu artykułu o pamiątkach szalonych lat dwudziestych.

Połączymy przyjemne z pożytecznym - powiedział. A widząc, jak jej twarz pochmurnieje, dodał szybko: - Zgoda, więcej przyjemności i tylko trochę obowiązków.

- Niech zgadnę - powiedziała z przekornym uśmiechem, przytulając się do niego mocniej i obejmując go w pasie. - Camp Reed, największy obóz piechoty morskiej w południowej Kalifornii, jest stąd o rzut kamieniem, nie więcej niż trzydzieści kilka

kilometrów. Pewnie chcesz się tam trochę rozejrzeć, mam rację? Porozmawiać z generałem o oddziałach i pojedynczych żołnierzach, których przydzielono do tajnych operacji Perseusza?

- Tak. - Morgan wciągnął powietrze, rozkoszując się fiołkowym zapachem jej włosów.

- Zanim zaczniemy świętować Nowy Rok, mam umówione dwa spotkania. Najpierw, pierwszego stycznia, muszę się spotkać z generałem Wilsonem.

- Głównodowodzącym Camp Reed?

- Tak. To właściwie grzecznościowa wizyta, kochanie. Chcę mu podziękować za całą dotychczasową pomoc i za to, że w zeszłym roku przysłał mi swoich żołnierzy.

- I rzeczywiście nie zamierzasz przygotowywać żadnych nowych misji?

Laura wiedziała, że Morgan nie lubi marnować czasu. Starał się jak najlepiej wykorzystać każdą minutę. Bóg jeden wie, ile tysięcy kilometrów pokonał, odwiedzając swoich żołnierzy rozproszonych po całym świecie, wysłanych na ryzykowne akcje, podczas których ratowali życie wielu ludziom.

Potrząsając głową, pocałował ją w czubek nosa.

- Nie, ten jeden raz spotkam się z nim tylko po to, żeby wypić drinka w kantine i wspominać dawne czasy. No i oczywiście złożyć życzenia świąteczne i noworoczne.

- Zgoda. Wiem, że w hotelu odbędzie się bal sylwestrowy, i nie zamierzam iść na niego sama. Tymczasem się rozejrzę, porozmawiam z dyrektorem tego wspaniałego hotelu i zrobię kilka zdjęć. Czas zacząć zbierać materiały do artykułu. Już wiem, które pismo bardzo chętnie go opublikuje. Albo może lepiej odpocznę? Wezmę gorącą kąpiel...

- Nie ułatwiasz mi wyjścia... - wtrącił Morgan. Uśmiechnęła się przebiegle.

- Mam taką nadzieję, Morganie Trayhernie. Po pięciu dniach zabawiania kilkudziesięciu gości na naszym bożonarodzeniowym przyjęciu zasłużyliśmy sobie chyba na małe sam na sam. Nie uważasz?

Przechesując palcami jej lśniące złote włosy, odparł:

- Zdecydowanie.

Gdy Laura przypuszczała na niego ten słodki atak, nie potrafił zebrać myśli. Dobrze wiedziała, jak sprawić, by przestał myśleć o pracy. Mimo wielu lat małżeństwa jego miłość wciąż była równie silna, jak na początku, a pożądanie - jeszcze mocniejsze.

- Zgoda, pójdziemy razem na bal i zaczniemy wspólnie nowy rok. Na razie wspomniałeś o dwóch spotkaniach, na które jesteś umówiony. Co jeszcze zaplanowałeś na te pięć dni, które mamy tu spędzić?

Pod badawczym spojrzeniem żony policzki oblała mu fala zdradliwego gorąca.

- Nie potrafię niczego przed tobą ukryć, prawda? Kiedy wrócę z Camp Reed, muszę się jeszcze spotkać z kimś tu, w hotelu, dosłownie na chwilę.

Parskając śmiechem, Laura wysliznęła się z jego objęć. Wiedziała, że Morgan ma wiele obowiązków. Nie chciała krzyżować mu planów, po prostu chciała znać je wszystkie.

- To prawda, kochanie. Nie potrafisz. Wiec... - stanęła przy oknie, bawiąc się ciężką bordową kotarą. - ...co jeszcze musisz załatwić?

Pocierając szczękę, odpowiedział:

- Z Wilsonem umówiłem się pierwszego stycznia o trzynastą. Przyśle po mnie helikopter, z tyłu hotelu jest specjalne lądowisko. Spotkanie powinno potrwać około godziny, a potem odwiozą mnie tutaj.

- Obsługa godna VIP - a, brakuje tylko czerwonego dywanu - zauważyła Laura.

Była pod wrażeniem. Oczywiście, Morgan kontaktował się z najwyższymi dowódcami armii, podobnie jak z prezydentem i przedstawicielami najwyższych władz, kiedy organizował nową misję. Ponieważ Perseusz już niejedną raz rozwiązywał poważne problemy tam, gdzie inni zawiedli, Morgan był grubą rybą w świecie, który zwykle pozostawał zamknięty dla cywili i osób z zewnątrz. Mimo to wciąż był skromnym człowiekiem. Laura kochała go za to. Kierował Perseuszem nie dla sławy, lecz po to, żeby pomagać ludziom na całym świecie, tam, gdzie rządy tych krajów nie potrafiły sobie poradzić. Wielokrotnie rząd federalny wykorzystywał Perseusza, choć niewiele osób wiedziało o istnieniu tej agencji. Laurze wcale to nie przeszkadzało.

- Cóż... - zaczął Morgan - udało mi się skontaktować z jednym z moich przyjaciół jeszcze z czasów Wietnamu. Nazywa się Darel Cummings, studiowaliśmy razem w akademii. Teraz jest szefem jednej z firm z Doliny Krzemowej, produkuje oprogramowanie dla Pentagonu i wojska. Zadzwoń do niego przed naszym wyjazdem i umówiliśmy się na szybkiego drinka w barze dziś wieczorem, o dwudziestą pierwszą. Spotkam się z nim dopiero po tym, jak zabiorę moją piękną żonę do Sali Tropikalnej na bardzo kameralną i elegancką kolację. Po rozmowie z Darrelem przyjdę po ciebie i pójdziemy razem na bal, który zaczyna się około dziesiątej. Czy akceptujesz taki plan?

Laura skinęła głową, śmiejąc się cicho.

- Jest doskonały. - Odwzajemniła namiętne spojrzenie Morgana, kiedy wziął ją pod ramię i zaprowadził do saloniku. Na stole pysznił się ogromny bukiet hawajskich kwiatów. Ogromną wazę wypełniały czerwone, różowe i pomarańczowe orchidee. To była prawdziwa uczta dla oczu. Laura wpatrywała się z zachwytem w kwiaty, podczas gdy Morgan podszedł do stalowego wiaderka i wyciągnął z niego schłodzoną butelkę szampana.

Na stole stały już dwa wąskie kieliszki. Morgan zbliżył się i powoli napełnił je musującym, złotym płynem. Lisa podziwiała delikatnie zdobione kryształowe cacka.

- Wypijmy za wizytę w hotelu Hoyt i nadchodzący nowy rok - rzekł Morgan, odstawiając butelkę do wiaderka z lodem. Podał jeden kieliszek Laurze. - Wznoszę toast za twój wspaniały reportaż. Jestem pewien, że kiedy tylko dyrektor wpuści cię do archiwów, wynajdziesz najpikantniejsze plotki o wszystkich hollywoodzkich gwiazdkach, które kiedykolwiek tu się zatrzymały. - Zaśmiał się, podniósł swój kieliszek, by trącić się z Laurą, i zaraz zauważył, że żona uśmiecha się przebiegle.

- Kochanie, ja nie szukam plotek. Interesują mnie tylko legendy o tym wspaniałym hotelu. Chcę się przekonać, czy jest w nich ziarno prawdy. - Podniosła kieliszek i wypła łyk szampana.

Morgan sprowadził jej ulubiony szampan, pochodzący z małej winnicy o nazwie Echo Canyon w Page Springs w Arizonie. Jej właściciel, John Logan, był prawnikiem i kiedyś pracował dla rządu; wtedy właśnie poznał Morgana i się zaprzyjaźnili. Któregoś razu Morgan dostał od niego w prezencie butelkę burgunda, a Laura kompletnie oszalała na jego punkcie. Aż trudno uwierzyć, że tak wspaniałe wino pochodziło z winnicy leżącej prawie na pustyni, w pobliżu Sedony. Na tegoroczne, pięciodniowe obchody świąt Bożego Narodzenia Morgan sprowadził całą skrzynkę z Echo Canyon. Wiedział, że zdecydowanym faworytem jego żony jest lekki szampan, którego właśnie piła.

- To wyjątkowo udany rocznik - powiedziała Laura, uważnie patrząc na kieliszek i oglądając pod światło jego zawartość. - Jego wina są z roku na rok lepsze.

Morgan zaśmiał się. Sam nie miał równie wrażliwego podniebienia i nie uważał się za znawcę win.

- Według Johna to najlepszy szampan od czasu, kiedy dziesięć lat temu otworzył winnicę. Przystał nam do Hoyta dwie butelki jako prezent z okazji Nowego Roku.

- Cudownie - odparła Laura, rozkoszując się kolejnym łykiem szampana. - Wiem, że jego wina kosztują po kilkaset dolarów za butelkę. Jestem taka szczęśliwa!

Morgan stał przy ogromnym bukietcie hawajskich kwiatów, obserwował Laurę delektującą się ulubionym szampanem i serce przepełniała mu radość. Jego żona zasługiwała na wszystko, co najlepsze, a on nie dawał jej tego tak często, jakby chciał. Praca bardzo go pochłaniała. Choć siedziba agencji i jego biuro leżało niewiele ponad pięć kilometrów od domu, często miał tak dużo zajęć, że w ciągu dnia praktycznie się nie widywali. W efekcie cały ciężar wychowywania czwórki dzieci spadł na Laurę.

Codziennie starał się przyjeżdżać do domu na lunch, żeby побыć z nią i z dziećmi. Ich najstarszy syn, Jason, studiował w Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis. Katy miała siedemnaście lat i w przyszłym roku planowała wyjazd do college'u. Bliźniaki Peter i Kelly skończyli dwanaście lat. To cudowny wiek i Morgan starał się jak najczęściej spędzać z nimi czas.

Spochmurniał na myśl, że za dużo pracuje. Zwłaszcza Jason i Katherine wychowywali się praktycznie bez niego.

Kiedy byli mali, nie poświęcał im dość czasu. Gdy Jason zaczął mieć problemy w szkole, a Katherine się od niego oddaliła, Morgan zrozumiał swój błąd. Laura bardzo się ucieszyła, kiedy zaczął coraz częściej miewać wolne weekendy i wysyłać swojego zastępcę Mike'a Houstona z niektórymi misjami Perseusza. Dzięki temu bliźniacy byli szczęśliwsi i bardziej zrównoważonymi dziećmi niż ich starsze rodzeństwo.

I znów to poczucie winy. Rodzina była dla niego najważniejsza na świecie. Byli ze sobą blisko związani i chciał, żeby tak pozostało. W duchu przyrzekł sobie i Laurze, że będzie poświęcał więcej czasu jej i dzieciom. W życiu nie chodzi tylko o pracę i misje wojskowe. Zrozumiał, że ważniejsze jest bycie z rodziną, a także pomoc Laurze w wychowaniu dzieci.

Laura zdjęła buty i podeszła do okna. Zachodziło słońce.

- Morgan, spójrz, jaki dziwny kolor ma dziś niebo. Widziałeś kiedyś coś podobnego? - spytała, kiedy się zbliżył.

Popatrzył na panoramę Los Angeles, na wieżowce sięgające nieba.

- Hm.... Chyba nie. Ma taki dziwny kolor, żółtozielony czy raczej brudnożółty. Niezwykłe...

Sącząc szampana, Laura oparła się o mocne ciało Morgana. Otoczył ją ramieniem, jakby upewniając się, że będzie bezpieczna.

- Brudnożółty, to dobre określenie. To naprawdę dziwny kolor, nie wiem czemu, ale się go boję. Przecież wiele razy byliśmy w Kalifornii, ale nigdy nie widziałam, żeby niebo tak wyglądało. - Zadrżała. Poczowała, jak Morgan przyciąga ją mocniej do siebie.

- Zmarzłaś? Potrząsając głową, odparła:

- Nie, tylko... sama nie wiem, po prostu przeszedł mnie dreszcz. - Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, i mówiła dalej: - Czy to nie dziwne? Jesteśmy w rajku, w tym cudownym hotelu, w pięknym apartamencie, pijąc najlepszy szampan na świecie, a mnie nagle ogarnia przeczucie...

- Jakie? - Morgan wiedział, że Laura ma niezwykłą intuicję. Często czuła, kiedy któremuś z dzieci groziło niebezpieczeństwo, i te przecucia zawsze się sprawdzały. Zmarszczył brwi i pocałował ją w czoło.

- Ja... Sama nie wiem, Morgan. To takie dziwne.. - Zmusiła się do uśmiechu, ale w jej oczach czaił się smutek. - Może powinniśmy zadzwonić do domu i spytać opiekunkę, czy z dziećmi wszystko w porządku.

Puścił ją i skinął głową.

- Jasne, zadzwoń. - Przepuścił ją przed sobą na kwiecistą kanapę, przy której stał stylowy, elegancki telefon.

Wracając wzrokiem do przedziwnej łuny na niebie, słuchał, jak Laura rozmawia z opiekunką. Niebo przecinała wstęga smogu w kolorze ciemnego brązu. W dolinie Los Angeles, rozciągającej się na osiemdziesiąt kilometrów z południa na północ i około pięćdziesięciu z zachodu na wschód, mieszkały miliony ludzi. To jedno z najgęściej zaludnionych i najbardziej zanieczyszczonych miejsc w całych Stanach Zjednoczonych. Wszyscy marzyli o kolorowym życiu w słonecznej Kalifornii, gdzie zawsze dopisuje pogoda i nigdy nie pada śnieg. Morgan nie dziwił się tym ludziom, którzy ściągali tu z całych Stanów. Los Angeles miało wiele zalet. No i oczywiście, było jeszcze Hollywood. A dla dzieci - Disneyland. Miasto Aniołów miało wiele do zaoferowania.

Słuchając rozmowy, nie zauważył w głosie Laury niepokoju. Sącył powoli szampana i obserwował dziwny spektakl za oknem. Niebo miało teraz kolor intensywne żółci, najdziwniejszy, jaki widział w całym swoim życiu. Przeszukiwał pamięć, ale nie przychodziło mu do głowy żadne wyjaśnienie tego niezwykłego zjawiska.

- W porządku - westchnęła Laura, odkładając słuchawkę. - Dzięki Bogu, nic się nie dzieje. Julie mówi, że bliźniaki czują się znakomicie.

Morgan spojrział na żonę i zobaczył ulgę w jej oczach. I ,aura kochała dzieci i była dla nich wspaniałą matką.

- To dobrze - odparł. - Chcę, żebyś cieszyła się urlopem. - Ujął silnymi dłońmi delikatne, wąskie ramiona Laury i przyciągnął ją do siebie. Nie opierała się, a jej błękitne oczy przybrały znów ten zamglony wyraz.

- Przecież mnie znasz. Jeśli chodzi o dzieci, zawsze martwię się byle czym. Tak to jest z rodzicami. Oboje o tym wiemy.

Skinął głową.

- Wiem - szepnął, całując jej jedwabiste włosy. - Może kiedy zejdziemy na kolację, spytamy kelnerkę o to, co dzieje się dziś z niebem.

- Lepiej tego nie róbmy! Pewnie uzna nas za skończonych prowincjuszy i będzie miała niezłą zabawę.

Uśmiechając się pogodnie, Morgan szepnął:

- Zgoda, pani mego serca. Mamy teraz czas tylko dla siebie, więc rozkoszujmy się szampanem i swoim towarzystwem.

Laura podniosła głowę i jej roziskrzony wzrok napotkał spojrzenie męża, pełne pożądania. Rozchyliła wargi w uśmiechu i wskazała dłonią na ogromne łoże z baldachimem w stylu Ludwika XIV.

- Chętnie położę się z tobą pod tym pięknym, bordowo - złotym baldachimem i tam dokończę szampana.

- Podoba mi się ten pomysł, pani Trayhern. Uwielbiam twoją pomysłowość...

Laure powoli opuszczały złowrogie przecucia. Wyślizgując się z objęć Morgana, przebiegła przez pokój, chwytając butelkę szampana. Padła na łóżko jak rozbrykane dziecko, śmiejąc się perliście.

- Mam jeszcze kilka innych pomysłów, które możemy wypróbować.

ROZDZIAŁ 1

31 grudnia, godzina 21.50

Ten zachód słońca miał dziś naprawdę paskudny kolor, nie uważasz, Dusty? Wciąż się zastanawiam, co to może oznaczać.. . Takie dziwne niebo... - Porucznik Callie Evans przykucnęła naprzeciw boksowi, w którym mieszkał jej golden retriever, wyszkolony specjalnie do akcji ratunkowych. Jednostka dysponowała dwudziestoma dwoma psami - ratownikami. Jarzeniówki rzucały ostre cienie, przecinające zamknięty teren psiarni.

Jednostka mieściła się niedaleko niewielkiego jeziora, w którym po służbie żołnierze lubili wędkować. Niski, ciemnobrązowy budynek, główna siedziba jednostki, stał na szczycie wzgórza, wśród kamieni, kurzu i kaktusów. Psiarnia była tuż obok. Callie spędziła tu wiele godzin i nie żałowała ani minuty. Inni opiekunowie psów i ratownicy byli dla niej jak jedna, wielka rodzina.

Choć była dowódcą drużyny ratowników, traktowała ich jak partnerów. Charakter służby sprawiał, że rozróżnienie na dowódców i podkomendnych zacierało się, lecz Callie wcale to nie przeszkadzało. Była oficerem, ale w jej oczach każdy szeregowiec zasługiwał na taki sam szacunek. Jakże często na miejscu katastrof stopnie wojskowe przestawały się liczyć.

Wszyscy byli ludźmi niosącymi ratunek tym, których życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Zarówno oficerowie, jak i szeregowcy mieli tylko jeden cel: ocalić jak

najwięcej ludzi i zapewnić im pomoc medyczną. Bez względu na to, czy był to pożar wieżowca, trzęsienie ziemi, huragan czy sztorm, po którym trzeba było szukać żywych wśród tysięcy ofiar, za każdym razem Callie angażowała się całym sercem. Chodziło przecież o ludzkie życie.

Dusty zaskowyczał, patrząc na nią wielkimi, złotobrazowymi oczami i merdając entuzjastycznie ogonem, kiedy przez ogrodzenie pogłaskała jego mokry, czarny nos. Po chwili ponownie zaskowyczał.

Callie zmarszczyła brwi, pochylając się nad ogrodzeniem, jedną ręką trzymając bramkę, a drugą głaszcząc Dusty'ego po pysku. Od trzech dni psy były bardzo niespokojne. Niektóre piszczały, inne szczekały w sposób, który zwykle sygnalizował niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo? Ale jakie? I skąd miało nadejść? Spojrzała zatroskanym wzrokiem na swego przyjaciela od pięciu lat. Uśmiechnęła się łagodnie i szepnęła:

- Szkoda, że nie rozumiem języka psów. Teraz muszę już iść, Dusty, wpadłam tylko zobaczyć, jak się czujesz. Wydajesz się taki zdenerwowany. Co się dzieje, kolego? Czego się tak wszystkie boicie?

Wieczorny chłód na pustyni wciąż zaskakiwał Callie. Camp Reed, obóz piechoty morskiej o powierzchni stu tysięcy akrów, został zorganizowany na jednym z najdroższych terenów w południowej Kalifornii. Trzydzieści dwa kilometry dalej na północ zaczynało się Los Angeles. Wokół rozciągała się pustynia - piaszczyste wzgórza i głębokie, wąskie doliny koloru ochry, z rzadka tylko porośnięte kaktusami i rachitycznymi drzewkami. W nocy bywało tu naprawdę zimno. Ponieważ odległość od morza była znaczna, nie docierało tu ciepłe, wilgotne powietrze znad Pacyfiku. Dlatego w Camp Reed było albo nieznośnie gorąco - latem temperatura dochodziła prawie do czterdziestu stopni - albo żołnierze szczękali z zimna zębami, kiedy stali zimą na warcie. Co prawda, nie padał śnieg, ale jeśli chodzi o Callie, to nie miałyby nic przeciwko temu.

- Jasne - powiedziała do psa konspiracyjnym szeptem. - Wiem, że mamy koniec grudnia i nawet tu, w dobrej starej Kalifornii, o tej porze roku noce bywają lodowate. - Uśmiechnęła się do swojego niezawodnego i wiernego towarzysza i powoli wstała, poprawiając wojskową kurtkę w maskujące wzory. Była szczupła i miała tylko sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Wyprostowała się i rozejrzała dokoła.

Psy były coraz bardziej niespokojne. Wcisnęła ręce głębiej w kieszenie kurtki. Daszek czapki osłaniał jej oczy, chroniąc przed oślepiającym światłem jarzeniówek. Przyglądała się psom z namysłem.

Dopiero tydzień temu wróciła z Turcji. Ona i Dusty wciąż jeszcze nie otrząsnęli się po tych pełnych dramatycznych przeżyć dwóch tygodniach, w czasie których ratowali ofiary trzęsienia ziemi. Wyciągnęła rękę z kieszeni. W dłoni trzymała psi sucharek, ulubiony smakołyk Dusty'ego.

- Hej, zobacz, co dla ciebie mam. - Pochyliła się i podała mu go przez ogrodzenie.

Dusty pochłonął przysmak w mgnieniu oka, oblizał pysk ogromnym, różowym jęzorem i wbił w nią bezwstydnie błagalny wzrok, wyraźnie prosząc o następny.

Callie parsknęła śmiechem.

- Nie patrz na mnie w ten sposób. Dobrze wiem, o co ci chodzi. - Uśmiechnęła się i wcisnęła dłonie do kieszeni. Spojrzała w prawo. Dyżur pełniła dziś sierżant Irene Anson.

Miała trzydzieści lat, męża i małą córeczkę. Callie uwielbiała pięcioletnią Annie, która często przychodziła do swoich „piesków”. Mąż Irene, Brad, należał do elitarniej jednostki Recon Marines. Callie nie mogła się doczekać, kiedy też założy rodzinę. Kochała dzieci.

Camp Reed miał swoją własną grupę ratowników z psami, którzy jeździli po świecie na miejsca wielkich katastrof. Podczas dwóch lat służby w drużynie ratowniczej Callie odwiedziła wiele państw. Bardzo przydała się jej znajomość hiszpańskiego, a także podstaw tureckiego i greckiego. Callie uczyła się tych języków, ponieważ wiedziała, że mówi się nimi w krajach szczególnie narażonych na trzęsienia ziemi, a ona chciała móc porozumiewać się nie tylko z przedstawicielami lokalnych władz, lecz również z ofiarami uwięzionymi w rumowisku. Najmniej chętnie brała udział w akcjach w Ameryce Południowej, gdzie kilka razy w roku osuwiska błota grzebały tysiące ludzi.

Dusty zapiszczał, domagając się kolejnego sucharka.

- Ty łakomczuchu, nigdy nie masz dość - powiedziała do niego surowo. - A przecież spędziłeś dziś bardzo przyjemny dzień. Zabrałam cię na plażę i świętowaliśmy nadejście nowego roku. Pływałeś w morzu, aportowałeś patyki i tarzałeś się w piasku, podczas gdy ja piekłam kiełbaski nad ogniskiem. A kiedy wróciłeś, zacząłeś otrzepywać się z wody, ochlapując mnie i kiełbaski. W ten sposób musiałam się z tobą podzielić, ty spryciarzu. Wiem, że jesteś przebiegły. - Callie roześmiała się głośno.

To był wspaniały dzień. Oboje potrzebowali takiego odpoczynku. Brakowało jej tylko kogoś, z kim mogłaby spędzić wieczór i powitać nowy rok. Choć Dusty nadal wpatrywał się w nią z uwielbieniem, Callie poczuła się nagle bardzo samotna.

- Lepiej to zostaw - nakazała sobie ostrzegawczym tonem. - Nie rób tego, Callie...

Dusty zaszczekał.

- Wiem, wiem - powiedziała do psa. - Dlaczego sama się nad sobą znęcam, Dusty? Dlaczego nie mogę się pogodzić z tym, jak wyglądam? Oczywiście, ty nie masz kompleksów. I słusznie, przecież jesteś zabójczym przystojniakiem. Żadna suczka ci się nie oprze, prawda? - Wykrzywiła usta, ale nie był to uśmiech, lecz grymas. Miała dwadzieścia pięć lat i wciąż była sama. Dobrze wiedziała dlaczego.

Dusty usiadł i zaczął miarowo uderzać ogonem o betonową posadzkę. Callie kupiła mu flanelową poduszkę wypełnianą cedrowymi łuskami, żeby miał się na czym położyć, bo uznała, że betonowa posadzka jest zbyt zimna. Dusty kochał swoją poduszkę i uwielbiał na niej spać. Teraz przekrzywił łeb i wpatrywał się w swoją panią, szczęśliwy, że jest przy nim.

- Dlaczego nie potrafię cieszyć się z prostych przyjemności tak jak ty ze swojej poduszki? - spytała Callie. Cofnęła się i oparła o ścianę psiarni. Zwiesiła głowę i westchnęła, patrząc na swoje ciężkie buty. - Dlaczego muszę wciąż się zadreć? Dobrze, wyglądam pospolicie. W zeszłym tygodniu jakiś głupek powiedział o mnie „beznadziejnie przeciętna”. Cholera, to naprawdę zabolalo... Wiesz?

Dusty szczechnął w odpowiedzi.

- Niech to wszystko szlag. - Callie kontynuowała monolog. - Nie powinnam się tak wszystkim przejmować, Dusty. Powinnam mieć grubszą skórę. Wołałabym, żeby takie słowa spływały po mnie jak woda po gęsi, ale tak nie jest.

Może gdyby nie obcięła blond włosów tak krótko, wyglądałaby bardziej kobieco. Callie często się nad tym zastanawiała, ale w czasie akcji długie włosy byłyby bardzo niepraktyczne. Podczas poszukiwania ofiar w rumowisku spowodowanym przez gigantyczne trzęsienie ziemi natychmiast stałyby się koszmarnie brudne. A kiedy padałby deszcz albo śnieg, można by je wyżymać z wody i błota. Nie, długie włosy byłyby wykluczone. W takim razie, może odrobina makijażu? Miała kwadratową twarz z szeroko rozstawionymi oczami, zdecydowanie zbyt duży nos i jeszcze większe usta. Wyglądała... po prostu pospolicie. Może nawet była brzydka. Żaden mężczyzna nigdy nie patrzył na nią w ten szczególny sposób. Callie całe życie marzyła, żeby ktoś kiedyś okazał jej odrobinę zainteresowania. Często widziała, jak inne kobiety - żołnierze z jej bazy - są adorowane przez mężczyzn, ale jej samej nigdy to nie spotkało. I pewnie nigdy nie spotka. Westchnęła.

Miała proste włosy, które opadały bez wyrazu na boki, nawet gdy nie wspinała się po zabłoconym rumowisku. O układaniu ich czy modelowaniu za pomocą pianek i lakierów nie mogło nawet być mowy. Kiedy pod gruzami ginęli ludzie, a setki były ciężko ranne, nikt nie przejmował się tym, czy Callie jest uczesana i umalowana, czy też wygląda dość kobieco.

Nie, ofiary chciały tylko, żeby Dusty ich odszukał, a Callie pomogła im najsprawniej, jak to możliwe, wydostać się i ująć z życiem. Dla nich była prawdziwym aniołem.

Callie uśmiechnęła się lekko, przypominając sobie mężczyznę, którego kiedyś odkopła spod gruzów wspólnie z grupą lekarzy. Ten człowiek był tam uwięziony od pięciu dni, zanim Dusty go odszukał. Był na granicy śmierci, miał siwe włosy i cały drżał. Kiedy sanitariusze ułożyli go na noszach, wyciągnął rękę i mocno chwycił Callie za ramię.

- Jesteś aniołem - wykrztusił, a po jego twarzy spływały łzy. - Jesteś aniołem zesłanym przez samego Boga. Masz twarz anioła... nigdy cię nie zapomnę... nigdy... – Potem rozplakał się, a Callie słyszała jeszcze jego płacz, gdy sanitariusze nieśli go do karetki.

Ona też nigdy nie zapomni tych słów. Podobał jej się pomysł, że mogłaby wyglądać jak anioł. Bóg nie stworzył przecież brzydkich aniołów. Uśmiechając się znów, rzuciła okiem na Dusty'ego, który obserwował ją bardzo uważnie.

- Czy według ciebie wyglądam jak anioł?

Dusty zapiszczał i zaczął gwałtownie merdać ogonem.

- Zawsze mi przytakujesz, ty lizusie! - roześmiała się Callie. - Mówię ci, Dusty, w niebie nie ma brzydkich aniołów. - Popatrzyła na blaszany dach psiarni. - Może wtedy wreszcie poczuję się piękna. Po śmierci.

Do jej uszu dobiegł głośny, przeciągły grzmot. Psy zaczęły szczekać i wyc. Skąd pochodził ten przerażający dźwięk? Rozejrzała się dookoła. Zmrużyła oczy i instynktownie schyliła się, jakby została zaatakowana. Nie miała jednak pojęcia, co się dzieje. Od przeraźliwego wycia psów zjeżyły jej się włosy na karku. Nagle ziemia zadrżała i Callie w pierwszym odruchu rozrzuciła ramiona dla złapania równowagi. Zrozumiała, co się dzieje: to trzęsienie ziemi!

W następnej sekundzie już leżała, przewrócona na betonową posadzkę z gwałtowną siłą. Ziemia trzęsała się i wibrowała. Callie odwróciła się na plecy, ale kolejne wstrząsy miały ją po podłodze, od ściany do ściany. Dach trzaskał, metal trzeszczał i giął się. Nagle zobaczyła gwiazdy, świecące jak białe punkciki na niebie. Metalowy dach pękł na pół.

Psy ujadły i wyły.

Callie wciągnęła gwałtownie powietrze i spróbowała wstać.

Uciekaj! - nakazała sobie w duchu. Słyszała głos sierżant Anson, wołającej o pomoc. Ziemia wciąż gwałtownie dygotała, z ogłuszającym rykiem, jakby wokół przejeżdżały tysiące wielotonowych pociągów. Callie rozorała sobie rękę, usiłując dotrzeć do najbliższego wyjścia. Nie da rady! Kolejna potężna fala i Callie znów leżała powalona na ziemię. Uderzyła z impetem o ogrodzenie psiarni. Ogarniał ją paraliżujący strach.

To nie było zwykłe trzęsienie ziemi. Nie. To była katastrofa na niewyobrażalną skalę. Callie widziała zbyt wiele miejsc, które nawiedziły trzęsienia ziemi, i przeżyła dość wtórnych wstrząsów, żeby rozumieć, co dzieje się wokół niej. Kiedy kolejne fale miotają ją jak szmacianą lalką, a ziemia falowała niczym wzburzony ocean, Callie zrozumiała, że to trzęsienie ziemi nie mieści się na skali Richtera.

31 grudnia, godzina 21.50

Porucznik Wes James szykował się do wyjścia na bal sylwestrowy w klubie oficera w Camp Reed, zwanym Club O, kiedy zaczęło się trzęsienie ziemi. Choć mieszkał w pobliskim miasteczku Oceanside, dziś zamówił pokój w hotelu dla samotnych oficerów, żeby nie prowadzić samochodu po wypiciu szampana. Był już prawie gotów. Włożył białą koszulę, beżową wełnianą kamizelkę i czarne dżinsy i właśnie usiadł na łóżku, żeby zasznurować włoskie buty, kiedy poczuł pierwszy wstrząs.

W kilka sekund później Wes trzymał się kurczowo kanapy, która przesuwiała się w tę i z powrotem po drewnianej podłodze. Nagły przyływ adrenaliny sprawił, że początkowo nie wiedział, co się dzieje. Szybko jednak zrozumiał, wystarczył mu rzut oka za okno. Budynek miał cztery kondygnacje. Wszystkie światła za oknem nagle zgasły, podobnie jak te wewnątrz hotelu. W ciemnościach słyszał głos przyjaciela, Russella Burka, który krzychał z przerażeniem na korytarzu. Russ mieszkał w pokoju obok i razem wybierali się na sylwestra.

Hałas był przeraźliwy i Wes miał wrażenie, że za chwilę popękają mu bębni. Wszystko w pokoju, podłoga i meble, trzęsło się i dygotało, jakby ktoś włożył cały budynek, razem z nim, do sokowirówki nastawionej na najwyższe obroty. Wes z trudem usiadł na podłodze. Kiedy wzrok przyzwyczaił się do ciemności panujących w pokoju, mógł obserwować rozgrywający się dramat. Na jego oczach ciężka kanapa ślizgała się po podłodze, ciskana od ściany do ściany przez kolejne wstrząsy. Nagle usłyszał głośny trzask i spojrzał w górę. Przez chwilę myślał, że czwarte piętro zaraz runie mu na głowę. Hotel jęczał, trząsł się i falował. Z pewnością konstrukcja tego drewnianego zabytku, pochodzącego jeszcze z lat trzydziestych, nie była odporna na trzęsienia ziemi.

Uciekać! Musi natychmiast wydostać się na zewnątrz! Ale jak? Podniósł się na nogi i już po chwili kolejne uderzenie przewróciło go na podłogę. Przez budynek przewaliła się następna fala. Poczuł, jak leci w stronę chyboczącego się stolika. Kiedy w niego uderzył, jego ramię przeszył ostry ból. Szklany blat roztrzaskał się i odłamki zasłały podłogę. Przez chwilę lśniły, odbijając światło zza okna, a potem rozproszyły się po całym pokoju, podczas gdy podłoga falowała i gięła się jak kartka papieru.

Wes nie odrywał wzroku od sufitu, trzeszczącego i wyginającego nad jego głową. Nie musiał odwoływać się do swojego inżynierskiego wykształcenia, by zrozumieć, że kiedy sufit się zawali, może go zabić. Postanowił ruszyć na korytarz, po Russa. Nie da rady! Posuwając się na czworaka, Wes ruszył w stronę drzwi. Jest! Wypadł na korytarz prosto na Russa, który usiłował rozpaczliwie chwycić się czegośkolwiek.

Trzęsienie ziemi wydawało się trwać w nieskończoność. Russ leżał na korytarzu przed swoim pokojem, a w jego oczach malowało się przerażenie. Wes wyciągnął ramię, chwycił go za rękę i pociągnął za sobą w stronę wyjścia. Wokół nich przelatywały meble, jakby ożywione jakąś diabelską siłą, a przez otwarte drzwi pokoiów co chwila wylatywały kolejne przedmioty. Korytarz wypełniał brzęk tłuczonego szkła. Niektóre okna zaczęły się zapadać do środka.

W żaden sposób nie dało się podnieść na nogi. Wes mógł się tylko czołgać na brzuchu obok Russa po wyłożonym dywanem korytarzu.

- Wyjście awaryjne! - krzyknął. - Staraj się dotrzeć do drzwi! Musimy się stąd wydostać, inaczej już po nas!

Russ skinął głową, wciąż otwierając szeroko brązowe oczy, kiedy starali się znaleźć wyjście.

Rozległ się huk. Wes rzucił okiem przez ramię. Cokolwiek spowodowało ten hałas, z pewnością nie stało się w hotelu. Rozległy plac przed hotelem otaczało wiele niewysokich, parterowych i jednopiętrowych budynków. To mógł być każdy z nich. Albo wszystkie naraz.

- Cholera! - krzyknął Russ. Wstał i rzucił się w stronę drzwi. Kiedy do nich dopadł, chwycił za klamkę i otworzył je na oścież.

Kilka sekund później obaj mężczyźni spadali w dół po metalowych schodach. Mocno posiniaczony Wes dopadł do drzwi na parterze. Ustały pod jego ciężarem i w końcu obaj znaleźli się przed budynkiem. Udało się!

Trawa była mokra od rosy. Kiedy przetoczyła się pod nimi kolejna fala wstrząsów, Russ wpadł na Wesa, a potem poturlał się w lewo. Za ich plecami rozległ się potężny trzask. Wes, podnosząc się z trudem na czworaki, uniósł głowę i ujrzał, jak czerwony budynek po drugiej stronie placu załamuje się, a potem zapada do środka. Wciągnął gwałtownie powietrze.

W końcu piekielne wstrząsy ustały. Cisza pulsowała wokół Wesa, który zdecydował się wstać. Russ też powoli podnosił się z trawy. Ciężko dyszał, usta miał szeroko otwarte, co chwila unosił się z nich obłoczek pary. Rozglądając się dookoła, Wes słyszał serię odległych wybuchów. Było ich zbyt wiele, by je policzyć. W oddali, gdzieś poza bazą, na horyzoncie widać było czerwone języki ognia. Znów dobiegł ich złowrogi pomruk. Nadchodził kolejny

wstrząs. Wes przykucnął, opierając się szeroko na rękach i chwytając trawę dla lepszej równowagi.

- Niech to diabli! - krzyknął Russ. - Cholera, nie mogę w to uwierzyć! - Padł na brzuch, rozkładając szeroko ręce.

Rozpoczęła się druga fala wstrząsów, jeszcze silniejsza od poprzedniej. Przez kolejne trzydzieści sekund potężne siły ciskały Wesem po wilgotnym trawniku. Z hotelu wybiegali kolejni żołnierze, potykając się i przewracając o siebie nawzajem, starając się jak najszybciej wydostać na zewnątrz. W czasie tej fali wstrząsów Wes widział, jak dwa budynki przy placu chwieją się i rozpadają. Zawaliło się też kilka mniejszych pawilonów. Jednak połowa z nich wciąż stała, w tym również hotel. Pękające przewody gazowe stawały w płomieniach, a zerwane linie wysokiego napięcia rozsiewały pióropusze iskier, wznecając kolejne pożary. Wokół placu biła w górę woda z potrząskanych hydrantów. Na szczęście większość żołnierzy, która mieszkała w hotelu i sąsiadujących z nim budynkach, zdołała uciec. Mieszkańcy południowej Kalifornii byli przyzwyczajeni do słabszych wstrząsów i wszyscy wiedzieli, jak postępować w wypadku trzęsienia: uciekaj na zewnątrz najszybciej, jak to możliwe, staraj się znaleźć otwartą przestrzeń, gdzie nic nie może się na ciebie zawalić.

Wes oddychał ciężko, kiedy kolejna fala przewróciła go na plecy. Przychodziły mu na myśl najgorsze scenariusze rozwoju sytuacji. Przeżył już trzęsienia ziemi w Kalifornii, najgorsze z nich, sześć stopni w skali Richtera, miało miejsce rok wcześniej, tuż po jego przeniesieniu do Camp Reed, gdzie miał budować mosty i drogi dla wojska. Ale to... to było prawdziwe piekło. Nie potrafił sobie wyobrazić, jakie straty spowodowało trzęsienie.

Nie miał pojęcia, ile stopni w skali Richtera miały te wstrząsy, ale wiedział, leżąc ogarnięty przerażeniem, że to nie jest zwykłe trzęsienie ziemi. Zdał sobie sprawę, że właśnie o takim tyle razy rozmawiali z kolegami. Jednak żaden z nich nie przypuszczał, że zdarzy się naprawdę. To był Wielki Wstrząs, który będzie kosztował południową Kalifornię tysiące ludzkich istnień i miliardy dolarów strat - podobnie jak trzęsienie w 1906 roku, które zniszczyło San Francisco.

Ziemia nadal drżała i falowała niczym grzbiet konia, który usiłuje pozbyć się dokuczliwych much. Wes powoli przewrócił się na brzuch i wstał. Gdziekolwiek spojrzał, widział ludzi płaczących i krzyczących z przerażenia. Ze wszystkich budynków, niegdyś okalających plac, ocalało jedynie kilka, w tym jego stary, solidny hotel. Na horyzoncie strzelały w niebo płomienie. To pożary. Na szczęście wyglądało na to, że większość z nich wybuchła poza bazą. Miał nadzieję, że zniszczenia w Camp Reed będą mniejsze od tych, które widział wokół siebie. Przypomniawszy sobie, że tuż nad brzegiem Pacyfiku, na zachód od

Camp Reed, w miejscowości San Onofre, jest elektrownia atomowa. Wes miał pewność, że nie mogło obyć się bez szkód. Najważniejsze pytanie brzmiało: czy betonowe ściany wytrzymały wstrząsy, czy nastąpił wyciek radioaktywny?

- Musimy dostać się do kwatery głównej - powiedział do Russa, który służył jako porucznik w parku maszynowym i był odpowiedzialny za transport w jednostce.

Przyjaciel powoli podniósł się na nogi. Rozejrzył się z przerażeniem dookoła.

- Tak. Co tu się stało? Czy to był Wielki Wstrząs?

Wes podrapał się z zaskaniem po gładko ogolonym policzku, teraz pokrytym ziemią i kurzem.

- Tak, tak sędzę. Lepiej chodźmy tam jak najszybciej. To niedaleko. Mam nadzieję, że budynek wciąż jeszcze stoi. - Rozejrzył się po placu. Asfalt był pofałdowany i potrzaskany, w zasięgu wzroku nie widział ani metra równej powierzchni.

Russ spojrzął w stronę hotelu z niedowierzaniem.

- Spójrz tylko na to! - wskazał ręką na gmach. Wes odwrócił się.

- Cieszę się, że jeszcze stoi. Przyda nam się miejsce, gdzie będziemy mogli codziennie odpocząć po czterestu godzinach poszukiwań na rumowisku.

Russ skinął głową. Przeczesując dłonią zwichrzone blond włosy, rzekł:

- W kwaterze głównej będą potrzebowali wszystkich oficerów. Generał Wilson na pewno zaraz uruchomi plan ratunkowy.

Wes skinął ponuro głową, wciąż nie mogąc oderwać wzroku od zniszczeń. To będzie długa noc.

1 stycznia, godzina 00:30

Callie stała wśród oficerów piechoty morskiej, zgromadzonych w największej sali kwatery głównej Camp Reed. Na szczęście budynek został uszkodzony tylko w niewielkim stopniu. Przez jedną ze zdobionych stiukami ścian biegła rysa, ale poza tym nie było większych zniszczeń. Ponadto, dzięki stojącemu na dworze agregatowi na ropę działało oświetlenie.

Na mównicy ukazał się generał Wilson, głównodowodzący bazy. Był wysokim, eleganckim mężczyzną około pięćdziesiątki, z krótkimi, czarnymi włosami, przetykanymi na skroniach siwizną. W bazie nazywano go Buldogiem Wilsonem z powodu kwadratowej twarzy, potężnej szczęki i wąskich, zawsze zaciśniętych ust. Dziś wyglądał jeszcze bardziej ponuro niż zwykle.

Stłoczeni wokół oficerowie, niektórzy w piaskowych, polowych mundurach, inni po cywilnemu, wydawali się Callie podobni do wysokich drzew. Była niska, więc często

potrącał ją przez nieuwagę. Był taki ścisk, że Callie miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Co chwila ktoś deptał jej po palcach, wbijał łokieć w plecy albo potrącał ją, przepychając się w zaaferowaniu przez salę.

Było w pół do pierwszej, przed chwilą zaczął się nowy rok, a od pierwszych wstrząsów minęły prawie trzy godziny. Wezwanie do wszystkich oficerów, aby stawili się w kwaterze głównej, zostało nadane godzinę temu i rozpowszechnione za pośrednictwem małych odbiorników radiowych na baterie i telefonów komórkowych. Ponieważ nigdzie nie było prądu, normalna komunikacja przez radio była niemożliwa. Jakie to szczęście, pomyślała Callie, że dziś prawie każdy ma telefon komórkowy.

Z tego, co widziała, Callie była tu jedynym oficerem z jednostki ratowników z psami. Stając na palcach, starała się wypatrzeć w gęstniejącym tłumie znajome twarze. Do jej oddziału należało dwudziestu dwóch ratowników z psami, ale większość z nich mieszkała poza bazą. Ona także, ale dziś pełniła służbę razem z sierżant Irene Anson, która została na miejscu. Na szczęście obie nie ucierpiały zbyt mocno z powodu wstrząsów. Pękł dach psiarni, ale żadnemu z psów nic się nie stało. Wyciągnęła szyję, żeby rozejrzeć się po sali, i dostrzegła ciemnowłosego oficera, który z poważną miną podawał generałowi rulon planów. Mężczyzna od razu spodobał się Callie, ale natychmiast upomniała się w duchu, że on jest zbyt przystojny, by się nią zainteresował. Kiedy więc oficer skierował na nią wzrok, starała się nie zwracać na to uwagi. Poza tym okoliczności wymagały skupienia.

Bardzo chciała wiedzieć, co się dzieje. Kiedy w sali rozległ się grzmiący głos generała Wilsona, rozmowy ucichły jak ucięte nożem. W sali zaległa pełna napięcia cisza.

- Spocznij - huknął generał. Powiódł wzrokiem po sali, marszcząc brwi. - Właśnie rozmawiałem przez telefon satelitarny z Pentagonem. Według ekspertów mieliśmy do czynienia z potężnym trzęsieniem ziemi w południowej Kalifornii. Siła wstrząsu wyniosła blisko dziewięć stopni w skali Richtera. Specjaliści uważają, że to był Wielki Wstrząs. - Odchrząknął i kontynuował mocnym głosem: - Trzęsienie zniszczyło wszystkie linie energetyczne, wodociągi i praktycznie całą infrastrukturę, dzięki której korzystamy z wygod współczesnego życia - od centrum Los Angeles, na południe do San Juan Capistrano i na zachód aż do Redlands. Uskok Świętego Andrzeja przesunął się na wschód. - Umilkł i po chwili zastanowienia dodał: - Panie i panowie, z nieznanых przyczyn zniszczenia w Camp Reed są bardzo nieznaczne. To potężne trzęsienie ziemi oszczędziło nas. Po rozmowie z ekspertami wiem, że pod terenem bazy biegnie niewielki uskoc geologiczny, przecinający teren z północy na południe. To jemu zawdzięczamy, że uniknęliśmy większych zniszczeń.

Międzynarodowe lotnisko w Los Angeles nie funkcjonuje. Żaden pas startowy nie nadaje się do użytku. Wszystkie lotniska w pobliżu, większe i mniejsze, również są nieczynne. Według informacji Pentagonu pasy startowe w Camp Reed są jedynym miejscem w obrębie kataklizmu, gdzie będą mogły lądować transportowce z zaopatrzeniem i ratownikami. Za pośrednictwem odbiorników radiowych na baterie i telefonów komórkowych wciąż otrzymujemy informacje od lokalnej policji i straży pożarnej, ale wygląda na to, że całe południowe Los Angeles jest odcięte od świata i nie można dotrzeć do jego mieszkańców z pomocą. Mamy do czynienia z katastrofą na niewyobrażalną skalę.

- Na szczęście piechota morska już wcześniej współpracowała z Centrum Zapobiegania Skutkom Katastrof, agendą FEMA - Federalnej Agencji do Spraw Sytuacji Kryzysowych. Do nich należy zaprowadzenie porządku w razie takiej katastrofy, jaka właśnie miała miejsce. - Wilson podniósł do góry grubą książkę w niebieskiej okładce. - Nasze Standardowe Procedury Działania są jasne. Jeśli jesteśmy w stanie działać, a jesteśmy, wówczas Camp Reed staje się głównym punktem przeładunkowym dla dostaw żywności, leków, wody i opału dla całego regionu.

Callie westchnęła ciężko, podobnie jak kilka stojących wokół niej osób. Sytuacja była naprawdę wyjątkowo poważna, a ich zadania, zgodnie z tym, co powiedział właśnie generał, niesłychanie odpowiedzialne. Camp Reed stanie się centrum koordynacji akcji ratowniczej i niesienia pomocy ofiarom.

- Panie generale - spytał jeden z oficerów, podnosząc dłoń - a co z autostradami? Z drogami dojazdowymi? Czy nie możemy...

Wilson potrząsnął ze znużeniem głową.

- Kapitanie, wszystkie główne drogi zostały zniszczone. Autostrady nie nadają się do użytku, a mosty są zerwane. Nie ocalała żadna droga dojazdowa. Kiedy tylko wstanie świt, zaczniemy loty patrolowe helikopterami, żeby ocenić rozmiar zniszczeń. Teraz chcę tylko podzielić was na zespoły robocze. Pułkownik Gray ma plan przygotowań na wypadek katastrofy.

Callie patrzyła, jak do mównicy podchodzi siwowłosa mężczyzna. Cała groza sytuacji, ogrom opisywanych zniszczeń i nieszczęścia przelał się jak fala po sali. Wiedziała, że jej oddział ratowników z psami będzie oddelegowany na pierwszą linię działań.

- Czy na sali znajduje się ktoś z drużyn ratowniczych? - spytał pułkownik, wodząc wzrokiem po zgromadzonych.

Callie podniosła rękę. Nikt jej nie zauważył, bo stojący wokół rośli mężczyźni zasłaniali ją całkowicie. Callie zawołała:

- Jestem tu, sir!

Pułkownik Gray zmrużył oczy, lustrując uważnie dum.

- Kto to powiedział? - zawołał potężnym głosem. - Słyszałem jakiś głos. Panowie, proszę przepuścić tę osobę.

Callie przeszła do przodu, przeciskając się i lawirując pomiędzy oficerami, którzy rozstępowali się na boki, by ją przepuścić. W końcu znalazła się przy mównicy.

- Melduje się porucznik Callie Evans, sir. Dowódca oddziału ratowników z psami.

Gray uśmiechnął się lekko.

- Poruczniku, będziecie pracowali z porucznikiem Wesem Jamesem. - Wskazał na mężczyznę po cywilnemu, stojącego po jego prawej stronie. - To doskonały inżynier budownictwa lądowego. Odbieramy telefony z prośbą o pomoc od policji i straży pożarnej z całego obszaru Los Angeles. Porucznik zajmie się podziałem terenu na sektory. W każdym sektorze ma się znaleźć jeden ratownik z psem. Poruczniku Evans, znajdziecie się na pierwszej linii działań. Wasi ludzie wiedzą, jak odnaleźć ofiary pod zwałami gruzu. Proszę opracować z porucznikiem Jamesem szczegółowy plan działania. Rano wyślemy was helikopterami na miejsce, na poszukiwanie żywych. Macie jakieś pytania?

Porucznik James był tym samym mężczyzną, na którego już wcześniej zwróciła uwagę. Przenosząc wzrok na generała, Callie odparła:

- Nie, sir.

- Dobrze, w takim razie do roboty - tylko ostrożnie. Nasi ludzie są bardzo cenni, nie ma kto ich zastąpić, więc jeśli ktokolwiek z was zginie ...

- Tak jest, sir. - Callie odwróciła się i zobaczyła przed sobą Wesa Jamesa. Musiał mierzyć co najmniej sto osiemdziesiąt centymetrów. Miał na sobie czarne dżinsy i koszulę, kiedyś zapewne białą, która teraz była cała w plamach. Czarne, krótko ostrzyżone włosy były zmierzwione i pokryte kurzem. Kiedy opuściła wzrok na jego usta, zauważyła, że były zaciśnięte w cienką linię.

Uśmiechnęła się do niego.

- Miło pana poznać, poruczniku James. Mów do mnie Callie.

Wes skinął głową.

- Cieszę się, że tu jesteś, Callie. Chodźmy do tamtego pokoju. Zebrałem moich inżynierów i wszystkie plany. Chcę, żebyś mi powiedziała, jakie dokładnie są twoje możliwości.

Wes nie mógł oderwać oczu od Callie Evans. Była drobna i delikatna. Miała na sobie polowy mundur we wzory maskujące, a na głowie czapkę z daszkiem, zakrywającą płowe

włosy. W jej pięknych, dużych oczach błyszczała inteligencja. Niczego jej nie brakuje, myślał Wes, przechodząc szybkim krokiem przez tłum i prowadząc Callie do swego urządzonego naprędce biura. Dziewczyna ledwo za nim nadążała.

W pokoju, wokół ogromnego, kwadratowego stołu, na którym leżały szczegółowe mapy terenu, zebrali się oficerowie. Większość z nich miała na sobie cywilne ubrania i widać było, że właśnie wybierali się na bal sylwestrowy, kiedy zaczęło się trzęsienie ziemi. Na widok Wesa przerwali rozmowy. Porucznik rozejrzał się dookoła, szukając jej wzrokiem.

- Jestem tuż za tobą - powiedziała Callie rozbawiona. Wiedziała, że jest niska i łatwo można ją zgubić. Odwrócił się i uśmiechnął, patrząc na nią z sympatią. Callie poczuła, jak jej ciało ogarnia fala gorąca, a serce zaczyna szybciej bić. Co się z nią dzieje? Nigdy dotąd czegoś takiego nie doświadczyła.

- Dobrze, poruczniku. Proszę tu podejść - rozkazał, wskazując na koniec stołu.

Callie skinęła głową, witając się bez słów z innymi oficerami, którzy odwzajemnili się jej sztywnym skinieniem głowy. W pokoju czuło się napięcie. Powiodła wzrokiem za Wesem Jamesem. Kiedy rozkładał na stole arkusze planów, odkryła, że podoba się jej jeszcze bardziej niż wtedy, gdy widziała go u boku pułkownika. W jego ruchach była pewność i stanowczość. Podobało jej się też jego wyważone podejście do sytuacji. Nie dramatyzował, jak niektórzy z oficerów, których widziała w głównej sali. Nie, on był spokojny, skupiony na czekających ich zadaniach. Doszła do wniosku, że ten mężczyzna potrafi udźwignąć ciężar odpowiedzialności. Był przystojny, miał owalną twarz i pełne usta. Kiedy w kącikach jego oczu dostrzegła kurze łapki, uznała, że ma poczucie humoru, a to się u niej bardzo liczyło.

Wes omówił rozplanowanie centrum Los Angeles, wymieniając największe drapacze chmur, które zgodnie z ostatnimi doniesieniami zostały zniszczone przez wstrząsy, a potem zaczął przydzielać zadania poszczególnym osobom. Callie mogła mu dać jednego ratownika z psem na każdy z dwudziestu dwóch wydzielonych terenów. Wydawał się zadowolony z jej rzeczowości i pomysłów. Wreszcie, kiedy skończyli, zwinął plany w rulon i wsadził pod pachę.

- Dobrze, poruczniku Evans, przydzielam was do mnie. Lecimy do hotelu Hoyt w południowym Los Angeles. To czternastopiętrowy budynek, który według doniesień legł w gruzach. Zbudowano go w latach dwudziestych, na długo przed tym, nim wprowadzono przepisy dotyczące wznoszenia budynków odpornych na wstrząsy, więc, niestety, będzie bardzo dużo ofiar. Według tamtejszego oddziału straży pożarnej hotel był pełen gości, którzy przybyli na bal sylwestrowy. To jedno z najmodniejszych miejsc w mieście. - Patrzył uważnie w jej szeroko otwarte, szczere oczy. Miała ogromne, czarne źrenice i długie, gęste rzęsy.

- Myślisz, że dasz sobie radę? Callie uśmiechnęła się szeroko.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, poruczniku James. Mój pies i ja poradzimy sobie z każdym zadaniem. Byliśmy w Grecji, Turcji, Kolumbii i Meksyku.

Zadowolony z odpowiedzi Wes wskazał jej gestem, żeby szła przed nim.

- Cieszę się, Callie. Na dworze stoi nasz humvee. Chcę, żebyś pojechała do bazy, zabrała psa i spotkała się ze mną na lotnisku. Mamy do dyspozycji samolot, którym polecimy razem z moją załogą na wyznaczony teren. Postaraj się wrócić jak najszybciej.

Callie skinęła głową.

- Tak jest, sir.

Zanim wyszła, zauważyła kątem oka, że na twarzy Wesa pojawia się wyraz niepokoju. To jest człowiek, który naprawdę przejmuje się swoimi zadaniami. Cieszyła się, że będzie z nim współpracować. Oboje byli zdecydowani dać z siebie wszystko, żeby pomóc tysiącom ofiar katastrofy. To było jak wojna, chociaż nie padł ani jeden strzał. Liczba zabitych z pewnością będzie przerażająca.

Szybkim krokiem podeszła do drzwi. Kiedy schodziła po betonowych schodach, a potem wsiadała do pomalowanego w maskujące wzory samochodu terenowego humvee, czuła, jak mocno bije jej serce. Niebo przybierało jasnoszary kolor. Wkrótce zacznie świtać. Już niedługo ich oczom ukaże się ogrom zniszczeń, wyrządzonych przez największe od stu lat trzęsienie ziemi.

Jadąc po częściowo tylko zniszczonej drodze - w niektórych miejscach asfalt był pofałdowany i potrzaskany - Callie uśmiechała się do siebie. Choć czekały ją wyczerpujące i poważne zadania, jej myśli wciąż wracały do zielonookiego oficera o ciepłym uśmiechu. Zachowywał się tak, jakby ona mu się podobała, i to bardzo. To oczywiście było niemożliwe. Przecież wcale nie była ładna, ot, zwykła dziewczyna z sąsiedztwa. Dlaczego więc tak na nią patrzył? Callie dobrze знаła to spojrzenie. Widziała setki razy, jak mężczyźni spoglądali w ten sposób na inne kobiety, ale nigdy na nią. A przecież właśnie o tym marzyła: żeby i ją wreszcie ktoś zauważył i wyróżnił. A najlepiej, by tym kimś był przystojny i interesujący mężczyzna. Gdy dojechała na miejsce i pobiegła do psiarni, żeby zabrać ze sobą Dusty'ego, czuła, jak mocno bije jej serce, ale nie ze strachu. Nie mogła się doczekać ponownego spotkania z porucznikiem Wesem Jamesem. Podobała się mu i wiedziała o tym. I to było wspaniałe.

ROZDZIAŁ 2

1 stycznia, godzina 07.00

Kiedy helikopter wylądował, Wes zobaczył, co zostało z hotelu Hoyt, dumy Los Angeles. Był zszokowany. Ten potężny, imponujący budynek o światowej sławie, od lat dwudziestych nieprzerwanie funkcjonujący jako hotel pięciogwiazdkowy, leżał w gruzach. Asfalt piętrzył się w kawałkach, a chodnika właściwie nie było.

Wes podniósł rękę, dając znak swoim ludziom, że czas wysiadać. Kiedy zeskoczył na ziemię, poczuł potężny podmuch powietrza z wirnika. Przytrzymując jedną ręką czapkę, drugą chwycił dużą walizkę z najniezbędniejszymi rzeczami na pierwsze kilka dni. Schylając lekko głowę, odwrócił się i zobaczył, jak porucznik Callie Evans wypuszcza swojego psa z klatki, w której spędził cały lot, wciśnięty między nogi stłoczonych w śmigłowcu żołnierzy. Golden retriever zachowywał się tak, jakby nie działo się nic niezwykłego. Śmiało zeskoczył na to, co pozostało z biegnącej tu jeszcze kilka godzin wcześniej ulicy. Callie wzięła go na smycz i szybko ruszyła w stronę Wesa, jak najdalej od wciąż obracających się śmigieł.

Następnie rozładowano sprzęt, niezbędny do rozpoczęcia działań w tym sektorze. Czterej żołnierze piechoty morskiej wyznaczeni przez Wesa ustawili się w rzędzie i podając sobie z rąk do rąk paczki, wylądowali z helikoptera namioty, żywność, zestaw do udzielania pierwszej pomocy i przenośne latryny. Spieszyli się, bo wiedzieli, że nie ma czasu do stracenia. Strzelec z załogi śmigłowca podał im ostatnie pudło, zasalutował Wesowi i zamknął drzwi. Wes oddał salut i odsunął się, gdy śmigła zaczęły wirować coraz szybciej.

Ryk silnika wzmagął się, gdy pilot przygotowywał maszynę do startu. Kiedy wreszcie wzbija się w powietrze, Wes musiał znów przytrzymać ręką czapkę. Jego drużyna, składająca się z czterech żołnierzy przeszkolonych w użyciu ciężkiego sprzętu oraz porucznik Callie Evans i jej golden retrievera, patrzyła na niego wyczekująco. Wes cieszył się, że ma w swoim zespole kobietę. Nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, ale kiedy pracował z kobietami, czuł się spokojniejszy. Wydawało się, że emanują delikatną, spokojną energią, która pomagała mu opanować emocje. Teraz jednak z trudem wziął się w garść. Zniszczenia były potężniejsze, niż przypuszczał. Wes zlustrował teren. Sześciopasmowy Palm Boulevard był niegdyś jedną z najbardziej ruchliwych ulic w południowej części Los Angeles. Teraz przypominał skalne rumowisko. Potężne palmy, niegdyś dumnie okalające bulwar z obu stron, leżały porzucane przez kataklizm jak zapałki. Samochody piętrzyły się bezładnie, wrzucone jeden na drugi siłą wstrząsów. Paru policjantów, przeczesujących teren, świeciło latarkami do środka samochodów, w poszukiwaniu ofiar.

Palm Boulevard otaczały niskie, jedno - i dwupiętrowe budynki mieszkalne. Ta okolica od kilku lat stopniowo przekształcała się w bogatą enklawę w południowej, gorszej części Los Angeles. W sąsiedztwo Hoyta sprowadzali się zamożni programiści komputerowi i specjaliści

od nowych technologii. Teraz obszar o powierzchni ośmiu kilometrów kwadratowych, do którego należały zarówno bogate okolice hotelu, jak i biedniejsze ulice w sąsiedztwie, stanowił sektor przydzielony pod kontrolę Wesa.

Zanim wylądowali, obserwował okolicę z powietrza i zauważył, że tylko kilka budynków oparto się niszczącej sile wstrząsów. Widział wielu ludzi, błakających się w szoku po zrujnowanych ulicach albo zbijających się w grupki i z niedowierzaniem wpatrujących się w zniszczenia. Budynki, które przetrwały trzęsienie, można było policzyć na palcach; z większości pozostały tylko gruzy. Drzewa palmowe, jeszcze niedawno duma mieszkańców tego bogatego przedmieścia, teraz leżały na ziemi, wyrwane z korzeniami. Ekskluzywne, importowane samochody, zaparkowane przed luksusowymi domami wartymi miliony dolarów wyglądały jak wraki. Tylko nieliczne nadawały się do naprawy, większością już nigdy nie da się jeździć.

Ponurym wzrokiem powiódł po swojej drużynie, skupionej wokół niego w zimnym świetle poranka. Patrząc w niebo, widział, jak całe Los Angeles zasnuwa chmura czarnego, gęstego dymu. W mieście wybuchły tysiące pożarów, a czerwonożółte płomienie lśniły wyraźnie w świetle poranka. Powietrze wypełniał pył, popiół i gryzący dym wydobywający się z płonących budynków. Pożary były wszędzie, płonęła też jedna trzecia budynków sąsiadujących z hotelem.

Brakowało wody do gaszenia ognia, ponieważ wszystkie linie wodociągowe zostały zniszczone. Wozy strażackie nie mogły dotrzeć na miejsce, bo drogi nie nadawały się do użytku. W którąkolwiek stronę spojrzął Wes, widział ruiny i zgliszcza. Na rogu Palm i Miranda Boulevard, gdzie niegdyś stała elegancka restauracja, teraz piętrzyły się góry gruzu. Obok leżał fragment dachu, zdobionego hiszpańską dachówką. Czerwone płytki, potłuczone na drobne kawałki, wymieszały się z szaroczarным asfaltem, pod wpływem wstrząsów potrzaskanym w drobny mak.

Wes odwrócił wzrok od tego przygnębiającego widoku i zmusił się do skupienia na czekających jego drużynę zadaniach. Na szczęście wiedział, że czterysta metrów dalej, w bocznej uliczce, mieści się firma budowlana. Odwrócił się do sierżanta Barry'ego Cove'a, jasnowłosego mężczyzny pod trzydziestkę.

- Sierżancie, razem ze starszym szeregowym Stevensenem pójście do firmy przy tamtej ulicy i zobaczcie, czy są tam jakieś maszyny, które mogłyby się nam przydać. Najpierw poszukajcie właściciela. Jeśli nie uda wam się go znaleźć, poszukajcie kluczyków do wszystkich maszyn. Potrzebujemy żurawia z gondolą, żeby zacząć podnosić dach z Hoyta i szukać rannych. Przyda się też koparka. Potem zróbcie listę wszystkich maszyn, które tam

zostaną. W tej chwili na terenie dotkniętym katastrofą obowiązuje stan wyjątkowy, a to oznacza, że ja stanowią prawo. Bierzymy to, czego potrzebujemy, żeby ratować ludzi. Jeśli znajdziecie właściciela, bądźcie dla niego grzeczni i przyślijcie go do mnie, jeśli nikogo nie będzie, zostawcie list i zabierzcie, co potrzeba. Potem przywieźcie wszystko tu, do Hoyta. - Wes wskazał na zrujnowany hotel na rogu ulicy.

Sierżant Cove skinął głową.

- Tak jest, sir! - zawołał i razem z kapralem ruszył w dół ulicy.

Wes rzucił okiem na Callie. Patrzyła na ruiny hotelu. Rozchyliła lekko pełne usta, a w jej wielkich, błękitnych oczach rysował się prawdziwy ból. Przeniósł wzrok na stojących obok dwóch żołnierzy, kaprala Felipe Orlanda i szeregowego Hugh Bertrama.

- Kapralu, zabierzcie szeregowego Bertrama i obejrzyjcie dokładnie hotel. Tu macie mapę. - Podał kapralowi ciasno zwinięty rulon. Orlando pracował z nim od prawie roku, pomagając przy budowie dróg i mostów w Camp Reed. Właśnie w tym celu zostali obaj z Wesem przydzieleni do bazy. Kapral dobiegał trzydziestki, był żonaty i miał trzy śliczne córeczki. Jego okrągła, złotobrązowa twarz rozjaśniła się, gdy usłyszał słowa Wesa. Skinął lekko głową i wziął od niego mapę.

- Tak jest, sir. Gdzie urządzimy punkt dowodzenia? Wes uśmiechnął się. Racja. Zanim przystąpią do akcji ratowniczej, muszą znaleźć centralnie położony punkt, gdzie będzie można postawić namioty i składować żywność. Rozglądając się wokół, zauważył samochód przygnieciony palmami, stojący dokładnie naprzeciw hotelu Hoyt. Wystarczy trochę sprzątnięcia i płaski dach auta będzie doskonale służył jako stół.

- Obok tego niebieskiego samochodu, kapralu. Kiedy skończycie przeczesywać hotel, macie rozstawić namioty, złożyć zapasy żywności i przygotować wszystko do akcji. Tu będzie nasze centrum dowodzenia do czasu, kiedy przyjdą posiłki.

Wiedział, że wkrótce z Camp Reed wyruszy konwój wojskowych ciężarówek i samochodów Humvee, wiozący więcej namiotów, racji żywnościowych i wszystkiego, co może się im jeszcze przydać. To była operacja polowa. Wszyscy wiedzieli, że będzie długa i wyczerpująca. Dostawy, przerzucane do poszczególnych sektorów, pomogą okolicznym mieszkańcom przetrwać pierwsze dni.

- Tak jest, sir, też uważam, że to dobre miejsce. - Orlando odwrócił się do Hugh Bertrama, rudowłosego południowca z Georgii o łagodnych rysach. - Idziemy, Bertram, robota czeka.

Szeregowy zsalutował i obrócił się na pięcie, ruszając za kapralem, który już szedł w stronę hotelu.

- Zostałam tylko ja - powiedziała Callie, gdy poczuła na sobie ciepłe spojrzenie zielonych oczu. Uśmiechnęła się. W czasie lotu helikopterem cały czas siedzieli obok siebie. Została też wyróżniona słuchawkami podłączonymi do interkomu, dzięki czemu podczas lotu mogli rozmawiać, nie musząc przekrzykiwać ryku silnika.

Wes nie wiedział zbyt wiele na temat psów - ratowników ani na czym polega jej praca. Callie spróbowała wyjaśnić mu pokrótce wszystkie wątpliwości. Za każdym razem, kiedy skupiał na niej uwagę, czuła się tak, jakby serce miało jej wyskoczyć z piersi. Gdy kąciki ust Wesa unosiły się lekko do góry, była w siódmym niebie, bo uśmiechał się właśnie do niej. Przenikliwe, a zarazem życzliwe spojrzenie sprawiało, że czuła się jednocześnie podekscytowana i oszołomiona.

Callie tłumaczyła sobie, że w czasie katastrof z ludźmi dzieją się najdziwniejsze rzeczy. Ci, którzy przeżyli trzęsienie ziemi lub inną katastrofę, często znajdują się w stanie szoku i nie potrafią realistycznie ocenić rzeczywistości. Choć była profesjonalnym ratownikiem, nie oznaczało to, że potrafi wyciszyć emocje. Wręcz przeciwnie. Trudno byłoby zliczyć, ile razy zdarzyło jej się płakać w czasie poszukiwania ofiar. Na myśl o tym, co muszą przeżywać ich rodziny, czuła ból. Choć taka wrażliwość czyniła jej pracę jeszcze trudniejszą i bardziej wyczerpującą, nie chciała niszczyć w sobie tego współczucia i empatii. Woląла raczej cierpienie, które się z nimi wiązało. Dobrze znała samą siebie, a także prawa psychologii, i dzięki temu wiedziała, że takie emocje są najzupełniej normalne i stanowią jedynie objawy czegoś, co na własny użytek nazywała „syndromem trzęsienia ziemi”.

Nie była pewna, czy Wes czuł podobnie. Kiedy tak stał wysoki i wyprostowany, z dumnie podniesioną głową i przyglądał się uważnie pozostałościom hotelu Hoyt, wydawał jej się całkowicie wolny od emocji. Callie była mu wdzięczna za niekonfliktowy sposób kierowania ludźmi. W takiej chwili, gdy wokół szalała panika, trudno było napotkać osobę o spokojnym głosie i jasnym umyśle. Cieszyła się, że to właśnie on dowodzi operacją w tym sektorze.

- Chodźmy do naszego centrum dowodzenia - powiedział sucho. - Musisz jak najszybciej rozpocząć poszukiwania w tym bałaganie - dodał, wskazując na ruiny hotelu.

Callie skinęła głową i ruszyła za nim. Dusty podniósł się; czuła przy nodze jego miarowe kroki.

- Tak, musimy podzielić nasz teren na mniejsze sektory i nanieść je na twoją mapę. Wtedy będę mogła zabrać się razem z Dustym do pracy. Mam nadzieję, że uda mu się znaleźć pod gruzami kogoś żywego. Jest tak przeszkolony, że wyje, jeśli osoba, którą znalazł, już nie żyje, a szczeka, jeśli jest tylko ranna. Kiedy znajdę martwą ofiarę, położę na wierzchu

jaskrawoczerwoną folię, żeby wszyscy wiedzieli, że tam leży człowiek. Jeśli natrafimy na kogoś żywego - spojrzała na niego z nadzieją - natychmiast dam ci znać przez radio, żebyś ściągnął na miejsce ciężki sprzęt i spróbował wydostać tę osobę spod gruzów.

Wes skinął głową, zapamiętując wszystkie informacje.

- Mam nadzieję, że znajdziecie wielu żywych. Przecież nasz główny cel to ratowanie rannych. Poza tym musimy dostarczyć namioty, żywność i wodę mieszkańcom tych okolic, kiedy tylko sami je dostaniemy.

- Czeka cię ciężka praca - westchnęła Callie.

Ich ramiona dotykały się, gdy szli obok siebie. Choć było to przyjemne, wiedziała, że nie powinni tego robić ze względu na panujące w wojsku przepisy. Mimo to serce biło jej mocniej za każdym razem, gdy ich ciała otarły się przypadkowo o siebie. Wyglądało na to, że Wes nie ma nic przeciwko temu. Spoglądał wtedy w jej stronę, z uśmiechem igrającym w kącikach ust.

Kiedy usłyszał jej słowa, zachnął się lekko.

- Jestem inżynierem budownictwa, a nie żołnierzem przeszkolonym do akcji ratowniczych. Mam wielką nadzieję, że uda mi się jakoś opanować ten bałagan, ale wcale nie jestem tego taki pewien. - Wytrzymał jej badawcze spojrzenie i po chwili milczenia mówił dalej: - Chcę, żebyś mi pomogła, Callie. Co prawda, ja zostałem oficjalnie wyznaczony na dowódcę naszej drużyny, ale to ty jesteś ekspertem. Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzało, jeśli od czasu do czasu wywołam cię przez radio i poproszę o radę i wskazówki. To będzie dla mnie wielkim ułatwieniem.

Co za wspaniała niespodzianka! Callie cieszyła się, że Wes bez wahania zwrócił się do niej o pomoc. Zwykle mężczyźni, z którymi pracowała, za wszelką cenę starali się ukrywać swoje słabe strony, aby uniknąć proszenia kobiety o wsparcie.

- Jasne, postaram się pomóc ci najlepiej, jak potrafię. Na coś takiego nigdy nie można być do końca przygotowanym... - Powiodła wzrokiem dokoła, a w jej głosie pojawił się smutek. - Nie wiem, czy ktokolwiek był w stanie przewidzieć skalę zniszczeń. Nawet mnie trudno uwierzyć w to, co tu zobaczyłam. Widziałam już niejedno trzęsienie ziemi, zwłaszcza w Turcji, ale tu sytuacja jest o wiele cięższa, bo dotyczy tak rozległego obszaru. Nie chodzi tylko o jedno miasto czy kilka kilometrów kwadratowych. Nie, to coś zupełnie innego, Wes. Szczerze mówiąc, nie sądzę, by generał Wilson w pełni pojął rozmiar tej tragedii. Myślę, że dopiero z czasem przekona się, jak ogromnych zniszczeń dokonał żywioł. - Wskazała na podmiejską zabudowę, otaczającą hotel Hoyt. - To prawdziwy koszmar. I tak naprawdę,

dopiero się zaczął. Jedyne, co możemy zrobić, to wspierać się nawzajem, dużo płakać, kiedy nikt nas nie widzi, i modlić się o to, żebyśmy umieli podejmować właściwe decyzje.

Wes zwolnił, kiedy podchodzili do samochodu.

- Wiem - odparł matowym głosem. - Jako inżynier budownictwa pracowałem w wielu trudnych miejscach. Najbardziej martwi mnie to, że mieszkańcom wkrótce zacznie brakować wody.

- Zgadzasz się, trafiłeś w sedno - odparła Callie przygnębiona. - Za tydzień woda stanie się dla wszystkich najważniejsza. To od niej będzie zależało, kto przeżyje, a kto zginie. Jeśli nie uda nam się jej dostarczyć w dostatecznej ilości, ludzie będą padać jak muchy. Zacznie się od dzieci i ludzi starszych, bo oni są najsłabsi.

- Widziałaś już wcześniej takie sytuacje, prawda?

Callie fascynowała go coraz bardziej. Wydawała się swobodna, łagodna, a jednocześnie bardzo odpowiedzialna. Po jej zachowaniu widział, że musi być bardzo silna wewnątrz. To go pociągało. Nigdy wcześniej nie spotkał nikogo takiego.

- Tak - przyznała Callie z wahaniem. - W czasie jednego z trzęsień ziemi w Turcji, w większych miastach udało nam się odnaleźć wielu rannych, ale wszystkie wodociągi zostały zniszczone. Na początku ludzie pracowali razem, żeby zdobyć żywność i wodę. Ale potem zaczęli nawzajem się okradać. Kiedy chodzi o życie, normy społeczne bardzo szybko przestają obowiązywać, Wes. Zaczyna funkcjonować prawo dżungli. Tu będziemy mieli do czynienia z tym samym. Ludzie będą ze sobą walczyć. Będą kraść, kłamać i oszukiwać, żeby tylko zdobyć wodę. A jeśli to nie wystarczy, uciekną się do bardziej brutalnych metod. - Usta lekko jej zadrżały. - Potem dojdzie nawet do tego, że zaczną się dla niej zabijać. Wtedy sytuacja stanie się naprawdę niebezpieczna. Zatrzymali się przy zniszczonym samochodzie.

- W czasie poszukiwań nosisz przy sobie jedzenie i wodę. To znaczy, że też jesteś narażona na niebezpieczeństwo? - Wes wpatrywał się badawczo w jej posmutniałą twarz. Widział, jak w jej oczach zalśniły łzy, ale nie pozwoliła im spłynąć po policzkach.

- Tak... musieliśmy chodzić na poszukiwania pod eskortą uzbrojonych po zęby tureckich żołnierzy. Inaczej ludzie na pewno próbowaliby nas obrabować z bidonów z wodą albo z jedzenia, które nosiliśmy w kieszeniach kamizelek. Sami też nie mieliśmy wiele, ale kiedy rodzic widzi, jak jego dziecko umiera z głodu albo z braku wody, jest gotów zrobić wszystko, żeby je uratować. - Jego oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia. - Katastrofy budzą w ludziach to co najlepsze i to co najgorsze, Wes. Sam się przekonasz, że w takich sytuacjach większość pozornie kulturalnych i cywilizowanych ludzi okazuje się w głębi serca dzikusami. - Przechylając głowę, mówiła dalej: - Wtedy, kiedy już myślisz, że ludzie to

zwierzęta, które nie mają żadnego szacunku dla prawa, porządku czy społeczeństwa, nagle spotykasz prawdziwego świętego. Widziałam cuda na własne oczy... Takie rzeczy przywracają wiarę w ludzi, Wes. Jestem przekonana, że tu będzie dokładnie tak samo.

- Niezależnie od tego, co się wydarzy, wcale się nie cieszę z powodu tej akcji - odparł. Po chwili, marszcząc brwi, dodał: - Na co dzień pracuję z betonem i stalą, a to nie wywołuje w człowieku zbyt wielu emocji.

- Tak... Teraz będziesz miał do czynienia z ogromnym nieszczęściem. To zupełnie coś innego niż suche liczby. To ludzkie cierpienie, krew i łzy.

Wes chciałby z nią jeszcze porozmawiać, ale nie mieli czasu do stracenia. Każda ofiara pogrzebana pod gruzami Hoyta miała rodzinę - ojca, matkę czy rodzeństwo - którzy teraz na pewno umierali z niepokoju. A jeśli pod tymi gruzami leżałby ktoś, kogo on kocha? Jak by się wtedy czuł? Na pewno potwornie, zwłaszcza gdyby nie wiedział, czy ta osoba żyje, czy nie. Wszystkie linie komunikacyjne zostały zniszczone, działały tylko radia na baterie i telefony komórkowe.

Rozejrzał się. Na brzegu poszarpanego asfaltu przed ruinami Hoyta siedzieli ludzie. Z pewnością byli to goście hotelowi, którym udało się w porę uciec z budynku. Jeden z mężczyzn stał na stercie gruzu i wykrzykiwał jakieś imię, wyraźnie szukając kogoś bliskiego.

- To przerażające. Nigdy w życiu nie widziałem niczego podobnego. Mam tylko nadzieję, że będę umiał opanować sytuację w tym sektorze. Że jak najlepiej wykorzystam te ograniczone możliwości, jakimi dysponujemy...

Słyszając cierpienie w niskim, gardłowym głosie Wesa, Callie spojrzała na niego ze współczuciem. W jego oczach, wpatrujących się w gruzy hotelu, widać było niepokój i troskę.

- Tak, to straszne, ale jestem pewna, że sobie poradzisz, Wes. Czuję to głęboko w sercu. Uważam, że doskonale nadajesz się do tego zadania. Jesteś spokojny, opanowany i dobrze zorganizowany.

Parskając śmiechem, odparł:

- Ideał inżyniera, prawda? Na co dzień żyjemy w świecie liczb i wykresów, za to z pewnością trudno o nas powiedzieć, że jesteśmy ekscytujący, porywający czy fascynujący.

- W moich oczach jesteś właśnie taki - odparła Callie, ku własnemu zaskoczeniu. Co takiego powiedziała? Skąd wzięły się nagle te słowa? Czując, jak na twarz wypełza jej rumieniec, dodała szybko, zacinając się: - To znaczy... chciałam powiedzieć... że w ciebie wierzę. Jesteś oficerem, a to znaczy, że otrzymałeś najlepsze wykształcenie na świecie, i jesteś szczególnie dobrze przygotowany do takich sytuacji jak ta, niebezpiecznych i trudnych. - Widziała, jak ucieszyły go te słowa, i zrobiło jej się ciepło na sercu.

Zbliżali się do hotelu. Zamilkli, kiedy zobaczyli z bliska, jakich spustoszeń dokonał żywioł. Wejście do hotelu, wykończone w stylu hiszpańskim i budzące niegdyś zachwyt gości i miłośników sztuki, zostało całkowicie zniszczone. Wszędzie widać było jedynie beton, potrzaskane szkło i powyginaną stal. Choć żadne z nich nie powiedziało tego głośno, Callie wiedziała, że będzie tu wiele ofiar śmiertelnych. Tak sławny budynek jak Hoyt, w którym w latach dwudziestych gromadziły się największe gwiazdy Hollywoodu, przyciągał tłumy, szczególnie w sylwestra. Tutejsze bale słynęły w całej Kalifornii. Co roku zbierała się tu śmietanka towarzyska, ludzie z pierwszych stron gazet. Callie przerwała te rozmyślenia w obawie, do czego mogłyby ją doprowadzić.

Wes podszedł do samochodu i przetarł dach rękawem kurtki. W powietrze wzbijała się chmura pyłu, a na ziemię pospadały odłamki szkła i gruzu. Potem wyciągnął zrolowane mapy i rozłożył je na dachu. Słońce było już coraz wyżej i dawało dość światła, by mógł przyjrzeć się planom.

Wypatrzył na ziemi kilka kawałków asfaltu i położył je w rogach, żeby wiatr nie porwał mapy. Dopiero gdy z zadowoleniem przyglądał się swojemu dziełu, zauważył, że Callie jest zbyt niska, by móc je zobaczyć.

- Stań na zderzaku - powiedział do niej żartobliwym tonem. - Proponuję, żebyś narysowała siatkę i podzieliła teren na sektory. Co prawda, Hoyt nie wygląda już dokładnie tak jak na tym planie, ale na pewno w ten sposób będzie ci trochę łatwiej prowadzić poszukiwania. - Podał jej długopis.

- Dobrze, ale zaczekaj chwilę. Założę kamizelkę. - Skinęła na Dusty'ego, który posłusznie usiadł na ziemi, machając ogonem. Potem nałożyła jaskrawoczerwoną kamizelkę z wielkim napisem RATOWNIK, widniejącym z przodu i na plecach. Była z ochronnego, kuloodpornego materiału, który w razie upadku chronił przed rozcięciem i zranieniem przez ostre odłamki. Poczowała się bezpieczniej, czując na sobie znajomą sztywność i ciężar. Ściągnęła mocniej paski.

Potem przyszyła kolej na pomarańczowy kask, wiszący dotąd przy pasku. Nałożyła go na wojskową czapkę z daszkiem, z materiału w maskujące zielone wzory i zapięła pasek pod brodą. Ostatnim elementem wyposażenia były solidne, skórzane ochraniacze na kolana, niezastąpione w razie upadku lub wszędzie tam, gdzie trzeba się czołgać, by dotrzeć do ofiary. Skóra nie tylko chroniła przed zranieniem, ale też amortyzowała wstrząsy, z jakimi wiązało się często wielogodzinne przeszukiwanie betonowych rumowisk.

Dusty miał już na sobie pomarańczową, bawełnianą kamizelkę. Miała cztery duże kieszenie, po dwie na każdym boku. Mieściły się w nich butelki z wodą, a także jedzenie dla

człowieka i psa, średnio pięć kilogramów wyposażenia. Była wykończona żółtą lamówką, a na bokach miała napis: PIES RATOWNIK. Callie założyła jeszcze na kamizelkę skórzaną uprzęż, a na łapy - skórzane ochraniacze, zapinane na rzepy. Delikatne opuszki psich łap były tak samo narażone na skaleczenia, rozcięcia i stłuczenia jak ludzkie stopy i należało równie starannie je chronić.

Callie wyciągnęła rękę po długopis. Kiedy dotknęła ręki Wesa, poczuła nagłą falę ciepła. Wes był niezwykle spokojny i opanowany mimo piekła, które ich otaczało.

Przeniosła wzrok i zobaczyła grupę cywilów, posuwających się z trudem w stronę kaprała Orlanda i szeregowego Bertrama. Niektórzy nieśli dzieci. Wes również ich zauważył. To było kolejne zadanie ich misji: mieli wprowadzić porządek tam, gdzie teraz panował chaos. Na Wesie spoczywała ogromna odpowiedzialność. Wkrótce będzie musiał skłonić do współpracy tych rozbitków, na których twarzach malowało się przerażenie, a także ogromne zmęczenie. Wykorzystując dostępny sprzęt, mógł starać się zlokalizować kolejne ofiary, jednak na razie nie zaspokoi innych potrzeb ludzi ocalałych z trzęsienia. Potrzebowali wody, żywności i pomocy medycznej, a tymczasem on ma dla nich jedynie kilka słów pocieszenia.

Aż zamarł na tę myśl. Był z zawodu inżynierem, przywykłym do wydawania poleceń i koordynowania pracy wielu skomplikowanych urządzeń. Nie miał ani dość ludzi, ani sprzętu, by działać w sposób, który wydawał mu się najbardziej skuteczny. Czy oszołomione i zrozpaczone ofiary będą w stanie to zrozumieć? Kiedy patrzył na ich twarze, serce pękało mu z bólu. Niektórzy byli zakrwawieni, inni po prostu brudni i bardzo zmęczeni. Dwójka dzieci miała twarze pokryte pyłem, ale nawet mimo dzielącej ich odległości Wes dostrzegł ślady łez na policzkach.

Wiedział, że wkrótce wszyscy ocaleni z katastrofy zaczną zbierać się wokół prowizorycznej bazy. Teraz on i jego drużyna stanowią tu jedyną władzę. Przytłoczył go ogrom misji. Spojrzał na Callie. Potrzebował jej spokoju i łagodności, wpatrywał się zachłannie w głębokie, błękitne oczy. Miała w sobie jakąś niezwykłą wewnętrzną siłę. Czuł to.

Podczas gdy Callie stojąc na zderzaku, dokładnie studiowała mapę i nanosiła na nią szkic ruin hotelu, Wes odsunął się na bok i przyglądał nadchodzącym. Było ich przynajmniej dziesięcioro i powoli zbliżali się do Orlanda i Bertrama. Na czele szedł wysoki, siwowłosy mężczyzna, który przyspieszył kroku, gdy kapral gestem wezwał go do siebie. Wes widział, jak twarz mężczyzny rozjaśniła nadzieja.

Znów spojrzał na Callie. Ona sama niczego nie zauważyła, pochłonięta studiowaniem planu. Była jak haust świeżego powietrza w dusznym pokoju. Pozwalała mu zapomnieć o

ogromie otaczających go nieszczęść, kosmyk wysunął się spod czapki i opadł na zaróżowiony policzek. Choć trudno ją było nazwać piękną, w jej twarzy było coś pociągającego, szczególnie w pełnych, miękkich ustach i głębokich, ciemnoniebieskich oczach, których uwagi nie uchodził najmniejszy szczegół.

Ogarnęło go wzruszenie. Za każdym razem, kiedy Callie była blisko niego albo gdy chociaż przywołał w myślach jej twarz lub pomyślał o niej, działo się to samo. To go przestraszyło. Tylko raz w życiu tak się czuł - kiedy był z Allison, swoją narzeczoną. Pracowała w straży pożarnej. Zginęła w pożarze wieżowca, a wraz z nią w gryzącym, czarnym dymie umarła też jego miłość.

Poprzysiągł sobie wtedy, że już nigdy nie pokocha kobiety, która wykonuje ryzykowny zawód. Callie spodobała mu się od pierwszego wejrzenia, lecz wykonywała niebezpieczny zawód, a to znaczyło, że nie może jej pokochać. Nie, nie chce po raz drugi przeżywać strachu i niepewności. Kiedy jednak patrzył na Callie, pragnął zapomnieć o złożonej samemu sobie obietnicy.

Wes usiłował z powrotem skupić się na pracy. Callie sprawnie podzieliła mapę na siatkę kwadratów, a teraz numerowała poszczególne sektory.

- W porządku, poruczniku... to znaczy Wes - zaśmiała się.

- Chciałbym, żebyśmy mówili sobie po imieniu, kiedy jesteśmy sami - powiedział, podchodząc o krok bliżej. - W końcu jesteśmy równi stopniem. Dla mnie to nie stanowi żadnego problemu, chyba że dla ciebie?

We współczesnej armii oficerów wyczula się na problem molestowania seksualnego. Marynarka Wojenna wprowadziła system kodowania odpowiedzi kolorami, a ponieważ oddziały piechoty morskiej stanowiły jej część, także posługiwały się tym systemem.

„Zielony” oznaczał, że dana osoba nie widzi w uwadze lub komentarzu nic niestosownego. „Żółty” określał sytuacje, w których komentarz lub dobór słów sprawiał, że osoba nie była pewna intencji rozmówcy. „Czerwony” był zarezerwowany dla przypadków, gdy rozmówca przekraczał dopuszczalne granice i jego gesty lub słowa były odbierane jako molestowanie seksualne. Od czasu skandalu na statku „Tailhook 2” na początku lat dziewięćdziesiątych zastosowano ten system, aby wszyscy żołnierze mogli sobie jasno komunikować, co jest, a co nie jest dopuszczalne.

Callie spojrzała na Wesa. Mogłaby tak na niego patrzeć bez końca. Miał wyraziste, męskie rysy twarzy i ogniki tańczące w ciemnozielonych oczach.

- Jasne. Mów mi Callie. Zielony, Wes.

Była bardzo miło zaskoczona tym, jak przyjaźnie i ciepło ją potraktował. Wiedziała, że pyta ją o to, czy nie przekroczył pewnych granic i czy ona nie odbiera jego zachowania jako niewłaściwego. Tak nie było. W sytuacji, w jakiej oboje się znaleźli, z radością witała odrobinę ciepła. Dała mu to jasno do zrozumienia przez swoją „zieloną” odpowiedź. Oznaczało to również, że nie wyklucza w przyszłości bliskiego związku, ale ta sprawa pozostała na razie otwarta.

Serce biło jej mocno, tak bardzo zaskoczyła ją własna odwaga. Czy potrafiłaby powiedzieć mu szczerze, co czuje?

Była takim tchórzem! A jednak przemożna siła ciągnęła ją do niego, a za każdym razem, gdy znajdowali się blisko siebie, pojawiała się między nimi jakaś cudowna, pulsująca energia. Oddała długopis i zeskoczyła ze zderzaka. Kiedy podniosła z ziemi skórzaną smycz, Dusty natychmiast poderwał się na nogi, merdając ogonem. Był gotów do pracy.

- Callie to bardzo ładne imię - powiedział cicho Wes. - Trochę staroświeckie. Podoba mi się. - Ona też mu się podobała. Z sercem drżącym ze strachu dodał po chwili wahania: - Callie, „zielony” może oznaczać wiele rzeczy. Wiem, że to może nie najlepszy moment, biorąc pod uwagę to, co się dzieje dookoła nas, ale muszę ci się przyznać, że bardzo mnie pociągasz. Nie mówię, że obiecuję ci związek na całe życie, ale bardzo chciałbym się dowiedzieć, dokąd to mogłoby nas doprowadzić. Może ty też chciałabyś się tego dowiedzieć? - Wiedział, że to odważne słowa. Cekał w napięciu, błagając w myślach, by powiedziała „tak”, i wytrzymując jej badawcze spojrzenie.

Callie zakręciło się w głowie od tej niespodziewanej i śmiałej propozycji. Czyżby Wes czytał w jej myślach? Drżąc z niepokoju, a jednocześnie marząc o tym, by spełniło się drzemiące w niej pragnienie, odparła:

- A już myślałam, że tylko ja coś poczułam, kiedy się spotkaliśmy.
- To chyba wzajemne. Tak jak powiedziałem, nie wiem, co z tego wyniknie, ale naprawdę chciałbym lepiej cię poznać.

Callie była zawstydzona i oszołomiona. Mężczyźni nie składali jej dotąd takich propozycji. Nie była przecież ładna. A jednak Wes wyraźnie powiedział, że mu się podoba.

Och, oczywiście wiedziała, że to nie może być nic poważnego. Proponował jej romans, ale nie poważny związek. Zrozumiała to bardzo dokładnie. Mimo wszystko, biorąc pod uwagę jej dotychczasowy brak doświadczenia w kontaktach z mężczyznami, była mu wdzięczna za szczerść. Przynajmniej nie bawił się z nią w gierki, nie oszukiwał jej i nie zwodził. Zgoda, chce poznać go od strony osobistej, może nawet pozwolić sobie na chwile namiętności. Nigdy dotąd nie była zakochana, więc nie spodziewała się tego również tym

razem. Sam fakt, że taki atrakcyjny mężczyzna uznał ją za osobę wartą bliższego poznania, sprawiał, że była jednocześnie podekscytowana i wystraszona.

Wes stał nieruchomo, czekając cierpliwie i przypatrując się jej spod przymkniętych powiek. Zmuszając się do uśmiechu, otworzyła zaciśnięte kurczowo dłonie i powiedziała:

- Mówiąc szczerze, będzie mi bardzo miło, jeśli zaproponujesz mi spacer po plaży albo kolację. - Callie nie mogła się sama sobie nadziwić. Skąd wzięła się w niej ta odwaga? Serce mocno biło jej w piersi. Czy to dzięki Wesowi znajdowała w sobie dość siły, by otwarcie powiedzieć, co czuje? Przeszył ją dreszcz radości, gdy ujrzała, jak jego usta rozciągają się powoli w uśmiechu, który dla niej był jak cudowna obietnica.

- Spacer po plaży? Kolacja? Możesz na mnie liczyć, Callie. Wes spojrzał ponad jej ramieniem i zauważył starszego, wysokiego mężczyznę, który zbliżał się do nich szybkim krokiem. Miał na sobie granatowy garnitur w cienkie prążki, pokryty warstwą szarego, betonowego pyłu, który osiadł również na jego potarganych, krótkich włosach. Wes widział go już wcześniej, jak błąkał się po rumowisku hotelu i kogoś wołał. Twarz mężczyzny wyrażała rozpacz. Oczy miał zaczerwienione od płaczu.

- Mamy towarzystwo - powiedział cicho, odwracając się w stronę przybysza.

Callie przyjrzała się mężczyźnie.

- Ktoś, kogo kocha, jest wciąż uwięziony w tym hotelu - ostrzegła półgłosem. Natychmiast poczuła ogromne współczucie dla mężczyzny. Mimo wielu lat służby ratowniczej wciąż nie potrafiła uodpornić się na cierpienie ludzi, którzy doświadczyli tak przerażających strat. To była ta strona jej pracy, do której Callie wciąż nie mogła się przyzwyczaić: wszechobecny ból... ten sam ból, który widziała w oczach mężczyzny idącego w ich stronę.

ROZDZIAŁ 3

1 stycznia, godzina 11.00

Wes przyglądał się postawnemu mężczyźnie, który stanął przed nimi. Był wysoki, w średnim wieku, a jego ruchy i sposób bycia znamionowały wojskowego. Wes bezbłędnie rozpoznawał ten szczególny rodzaj ludzi niezależnie od tego, czy mieli na sobie mundur, czy nie.

- Słucham pana? W czym możemy panu pomóc?

- Nazywam się Morgan Trayhern - odparł mężczyzna.

- Czy to wy prowadzicie akcję ratunkową w tym rejonie?

- Tak. - Wes szybko przedstawił siebie i Callie.

- Moja żona, Laura, jest uwięziona w ruinach tego hotelu - powiedział Trayhern łamiącym się głosem. Powstrzymując łzy, dodał: - Zszedłem na dół do baru, żeby wypić drinka ze starym przyjacielem. - Potarł dłonią brudną twarz i zamknął na chwilę oczy. Kiedy je otworzył, patrzył prosto na Callie.

- Gdy zaczęło się trzęsienie ziemi, wszystko wokół nas eksplodowało. Udało mi się dotrzeć do głównego wyjścia tuż przed tym, zanim... zanim wszystko się zawaliło. - Odwrócił się i spojrzał na zwały betonu i stali, niegdyś tworzące czternastopiętrowy hotel.

- Miał pan szczęście, panie Trayhern - powiedziała pocieszająco Callie. Widziała, że Wes czuje się nieswojo. Nie miał żadnego przygotowania do pracy w takiej sytuacji i zupełnie nie wiedział, jak się zachować. Teraz jednak będzie się musiał szybko nauczyć, jak postępować z ocalonymi, jak im pomagać i pocieszać. Wes zmarszczył brwi.

- Chwileczkę... Ten Morgan Trayhern? Służył pan w piechocie morskiej?

- Tak, wszystko się zgadza, poruczniku James. Wes popatrzył na Callie.

- Pamiętasz, kto to jest, prawda? Mówiono nam o panu w akademii - Morgan Trayhern i jego działalność w czasie wojny w Wietnamie. Jest pan żywą legendą... - Wes czuł ogromne współczucie dla tego dzielnego mężczyzny, którego żona tkwiła pod zwałami gruzu. Sięgnął do paska i podał mu menażkę z wodą.

- Proszę. Na pewno chce się panu pić. Tu jest woda.

Morgan wziął z wdzięcznością menażkę i pociągnął solidny łyk. Z kącików ust pociekło mu kilka kropli, a jabłko Adama poruszało się miarowo w górę i w dół.

Callie pamiętała nazwisko Morgana Trayherna z kursu, jaki przeszła w czasie szkolenia dla rekrutów. Była zaskoczona i przygnębiona, że spotkało go takie nieszczęście. Kiedy Trayhern skończył pić i oddał Wesowi menażkę, spytała:

- Na którym piętrze przebywała pańska żona?

- Na czternastym, poruczniku Evans. Dlaczego? Czy to jakaś różnica?

Callie skinęła głową i odparła:

- Tak, bardzo często nawet duża. Kiedy kolejne kondygnacje składają się niczym kostki domina, tak jak w tym przypadku, znajdujemy więcej żywych ofiar na wyższych piętrach, bo nie były przygniecione tak wielkim ciężarem. - Podniosła rękę i szybko dodała: - Oczywiście, nie mogę panu niczego obiecać, ale proszę nie tracić nadziei. Będziemy jej szukać.

- Dla mnie i to jest pocieszeniem, poruczniku. W jaki sposób mogę wam pomóc? Przekopywałem się przez gruzy, wołając Laurę. Ale jej nie usłyszałem... - Urwał, nie mogąc dokończyć zdania.

- Takie rumowisko silnie tłumi głos, więc to wcale nie musi o niczym przesądzać - wytłumaczyła Callie. Delikatnie poklepała Morgana po ramieniu. - Może usiądzie pan z porucznikiem Jamesem i trochę odpocznie? Ja zacznę z psem przeszukiwanie kolejnych sektorów. Porozmawiam z innymi ludźmi, którym udało się uciec z hotelu, i zbiorę od nich informacje.

Morgan potrząsnął głową.

- Mam odpoczywać, kiedy moja żona wciąż jest tam, pod gruzami? - Potarł zaczerwienione oczy. - Nie... Będę jej szukał, wołał, dopóki nie dowiem się na pewno, co się z nią stało... bez względu na to, jaka będzie ta wiadomość. Potrzebuję jej... Kocham ją i nie zostawię jej tam samej, choćby nie wiem co.

Trayhern wyglądał tak, jakby za chwilę miał się przewrócić, ale Callie nic więcej nie powiedziała. Posłała mu tylko współczujące spojrzenie, które, taką miała przynajmniej nadzieję, dodało mu trochę otuchy. Patrząc ciepło na Wesa, nałożyła ciężkie, ochronne rękawice i powiedziała:

- Zobaczymy się, kiedy skończę przeszukiwać pierwszy sektor.

- Tylko uważaj na siebie - poprosił Wes cicho. - Wtórne wstrząsy potrafią być jeszcze groźniejsze niż główne uderzenie. Zresztą na pewno sama o tym wiesz. - Poczuł, że bardzo się o nią boi. Strata Allison była bardzo bolesna, wciąż o tym pamiętał. Automatycznie chciał osłonić Callie, odsunąć ją od wszelkich niebezpieczeństw. Rumowisko było groźne i zdradliwe. Jeden nieostrożny ruch, a spadający betonowy odłamek lub metalowy pręt mógłby ją zabić. Części ścian potrafiły ważyć po kilka ton i bardzo szybko przemieszczać się w razie wtórnych wstrząsów. Poczuł, jak ogarnia go lęk. Chciał wyciągnąć rękę i chwycić ją, zatrzymać, ale nie mógł... nie w tej sytuacji.

Uśmiechnęła się smutno.

- Nikt nie wie tego lepiej ode mnie, Wes. Dziękuję ci, że się o mnie martwisz. Do zobaczenia za kilka godzin. - Callie znów zrobiło się ciepło na sercu. Wes naprawdę się o nią troszczył.

Kiedy razem z Dustym szła w stronę ludzi stojących przy ruinach hotelu, zastanawiała się, czy Wes martwi się tak o wszystkich swoich podwładnych, czy jakoś ją wyróżnia. W głębi duszy czuła, że to coś więcej niż tylko odpowiedzialność dowódcy za swoich ludzi w niebezpiecznej, niepewnej sytuacji. Jednak zimny głos rozsądku szeptał nieubłaganie, że to niemożliwe, bo jest zbyt pospolita i nikt, a szczególnie taki przystojny oficer jak Wes James, nie zainteresowałby się taką zwyczajną dziewczyną jak ona.

1 stycznia, godzina 14.00

Słońce stało już wysoko, a temperatura przekroczyła dwadzieścia stopni, kiedy Callie razem z Dustym ostrożnie zeszła z rumowiska. Powietrze było gęste od dymu i kurzu. Pot ściekał jej strużką po plecach, gdy po dokładnym przeszukaniu opuszczała pierwszy z sektorów, jaki wyznaczyła na mapie. Gruzowisko było bardzo niebezpieczne i musiała uważać na każdy krok. Wokół ludzie szukali w ruinach swoich bliskich.

Kiedy wreszcie opuściła niebezpieczny teren, ruszyła w stronę rogu ulicy, słysząc chrzęst potłuczonego szkła pod stopami. Poczowała prawdziwą ulgę, kiedy jej oczom ukazał się terenowy humvee, pomalowany w maskujące kolory, a obok niebieski samochód, przy którym porucznik James urządził tymczasową kwaterę główną. Mniej więcej godzinę wcześniej w pobliskim parku wylądował śmigłowiec Super Sea Stallion. Przywiózł zaopatrzenie, którego Wes tak bardzo potrzebował, a także samochód Humvee. Jeśli chodzi o Callie, to uważała, że pojazd będzie zupełnie nieprzydatny. Choć humvee był wozem terenowym przystosowanym do najcięższych warunków, to żaden pojazd poruszający się na kołach z oponami nie zajechałby daleko po takiej masie szkła i odłamków stali. Callie wiedziała, że Wes prawdopodobnie zdaje sobie z tego sprawę, ponieważ urządził sobie na dachu pojazdu nowe biuro.

W miejscu, gdzie niegdyś prowadził chodnik, stał teraz rząd wojskowych namiotów w kolorze beżowym. Na szczęście Wesowi i jego ludziom udało się już ściągnąć z pobliskiego parkingu dźwig z wysięgnikiem i inne maszyny budowlane. Powoli zaczęli odgruzowywać rumowisko, aby uwolnić ocalałe ofiary. Ryk silników, trzeszczenie ramienia żurawia i dźwięk kabli, oplatających się wokół ogromnych, potrzaskanych betonowych płyt, to wszystko łączyło się w uszach Callie w szczególną muzyczną kakofonię.

Na widok Callie Wes poczuł zarazem ulgę i wzruszenie. Na cały ranek i wczesne popołudnie znikła mu z oczu, pracując po przeciwnej stronie hotelu. Wyciągnęła do niego rękę na powitanie, a on uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Nie zrozum źle tego, co teraz powiem - odezwał się konspiracyjnym szeptem, kiedy stanęła obok niego przy samochodzie - ale jesteś balsamem na moje zmęczone oczy.

Fala gorąca oblała jej szyję i policzki. Uciekając przed jego pełnym uczucia spojrzeniem, spuściła wzrok i zaczęła z uwagą przyglądać się swoim ciężkim, zakurczonym butom.

- Uhm... dziękuję... ale na pewno wyglądam teraz jak strach na wróble. - Uśmiechnęła się nerwowo i gestem nakazała Dusty'emu, by usiadł. Położyła smycz na ziemi, a potem zdjęła kask i kamizelkę, która ciążyła jej po wielu godzinach wyczerpującej pracy. Potem rzuciła ochronną kurtkę. Chłodny poranek zdążył się już zmienić w ciepły dzień.

Wes powstrzymywał się, żeby wciąż się w nią nie wpatrywać. Mimo wojskowego ekwipunku Callie wyglądała jak kruszynka. Kiedy rozebrała się do oliwkowego podkoszulka i wojskowych spodni w maskującym kolorze, musiał zebrać całą wolę, żeby nie pożerać jej wzrokiem. Wiatr potargał jej wilgotne jasne włosy i Wes poczuł niemal ulgę, kiedy z powrotem włożyła pomarańczową kamizelkę i nasunęła na głowę czapkę z daszkiem.

- Czy to była żółta flaga? - zapytał poważnym tonem. Żółty kolor oznaczał, że mężczyzna zanadto się spoufalił, a kobieta poczuła się nieswojo. Wes nie mógł nic na to poradzić. Słowa same wyrwały mu się z ust, zanim zdążył pomyśleć. Jej niewinność i nieświadomość tego, jak bardzo jest atrakcyjna i kobieca, sprawiały, że wpadł po uszy.

Patrzył, jak jej miękkie wargi unoszą się w uśmiechu. Boże, były wprost stworzone do całowania. Czy ona zdawała sobie z tego sprawę? Chciał dowiedzieć się o niej wszystkiego, ale czas nie sprzyjał długim, intymnym rozmowom. Jak to możliwe, że od roku pracował w Camp Reed i ani razu jej nie spotkał? Przecież gdyby tylko ją wcześniej zobaczył, na pewno by ją zauważył i nie pozwolił odejść.

- Nie, wciąż zielony - zapewniła go nieśmiało. Odpięła manierkę od paska i przykłęka obok Dusty'ego, składając dłoń w miseczkę i nalewając do niej trochę wody. Pies od razu zaczął łapczywie pić.

Wystarczyło, że znalazła się blisko Wesa, a od razu czuła siłę jego pożądania. To było porywające, a jednocześnie napawające lękiem, zupełnie nowe doświadczenie. Callie syciła się nim jak spragniony wody kwiat.

Wes stał z rękami opartymi na biodrach, obserwując ją. Na pewno sama umierała z pragnienia, ale najpierw zatroszczyła się o psa. Takie rzeczy wiele mówią o człowieku, a Callie właśnie założyła sobie u niego na kolejny plus.

- Martwiłem się o ciebie - powiedział, przyglądając się spod zmarszczonych brwi temu, co zostało po słynnym hotelu. Prześladowały go obrazy Allison, stojącej na dachu płonącego wieżowca, a potem spadającej w dół, razem ze swoim partnerem, gdy dach niespodziewanie się zawalił. Widok ruin przypominał mu ten najstraszniejszy dzień w jego życiu. - W ogóle cię nie widziałem. Kiedy o dwunastej zaczął się wtórny wstrząs, wysłałem szeregowego Bertrama, żeby sprawdził, czy wciąż tam jesteś.

Callie była poruszona jego troską. Wciąż klęczała obok Dusty'ego, pojąc go wodą, nalewaną do dłoni dopóty, dopóki pies nie zaspokoił pragnienia.

- Wtórne wstrząsy to dla mnie nic nowego, Wes. To część mojej pracy. Wstrząs przewrócił mnie na chwilę, ale, jak widać, nic mi się nie stało. - Callie podniosła głowę i

zatonęła w spojrzeniu ciemnozielonych oczu. - A jak ty tu sobie radziłeś? Jak się czuje pan Trayhern? Widzę, że nie ma tu już tych ludzi, którzy przyszli rano.

Wes wpatrywał się w jej błękitne oczy. Marzył o tym, by znaleźć chwilę, którą mógłby spędzić tylko z nią, sam na sam.

- Morgan śpi na tylnym siedzeniu humvee - odparł, wskazując dłonią za siebie. Już dawno zdjął kurtkę i miał na sobie teraz tylko oliwkowy podkoszulek i spodnie w panterkę. - Prawie się przewracał, taki był wyczerpany. Udało mi się go namówić, żeby coś zjadł i napił się wody. Kiedy tylko skończył jeść, padł jak nieżywy. Pozwolę mu spać tak długo, aż sam się nie obudzi.

- Czy udało mu się znaleźć żonę? - spytała Callie, wstając z ziemi i sięgając po wodę. - Byłam po przeciwnej stronie hotelu, więc nie widziałam ani nie słyszałam, co się tu działo.

Wes potrząsnął głową.

- Niestety, nie. Kiedy przyleciał śmigłowiec z samochodem i zaopatrzeniem, na pokładzie był też lekarz wojskowy. Udało mi się namówić Trayherna, by pozwolił mu rzucić okiem na jego rękę. Przypominają teraz ochłapy mięsa. - Wes nie dodał, że gdyby to Callie była na miejscu Laury Trayhern, uwięziona pod gruzami, on sam zrobiłby to samo co Morgan. Nie pozostawiłby ukochanej bez pomocy. Na tę myśl Wes upomniał się w duchu, że nie kocha Callie, lecz tylko jej pożąda. Miłość do kobiety wykonującej niebezpieczny zawód wiązała się ze zbyt wielkim ryzykiem. Mimo to, gdy popatrzyła na niego, znów poczuł wzruszenie.

- Może mu pożyczymy parę naszych skórzanych rękawic? - zaproponowała Callie, wsuwając manierkę do pętli przy pasie. Zaburczało jej w żołądku - wyraźny znak, że ona i Dusty muszą coś zjeść, zanim rozpoczną dalsze poszukiwania.

- Tak, to dobry pomysł - uśmiechnął się Wes. Spojrzał na pracujące w oddali maszyny. - Masz mnóstwo zdrowego rozsądku, Callie. Potrzebujemy cię tutaj. Na pewno znajdziemy dla niego zapasową parę rękawic, gdy się obudzi. - Wesa dosłownie swędziały ręce na samą myśl, że mógłby zdjąć jej czapkę i przeczesać palcami krótkie, złote włosy. Czy w dotyku przypominałyby jedwab? Bardzo chciałby się tego dowiedzieć.

Skinęła głową i odpięła boczną kieszeń spodni. Sięgnęła głęboko do środka i wyciągnęła dwa batony proteinowe.

- Zdrowy rozsądek to coś, bez czego nie dałabym sobie rady w mojej pracy. Tu trzeba mocno stać nogami na ziemi, a nie bujać w obłokach. Jeden niewłaściwy ruch, a ja i Dusty przechodzimy do historii. - Podała Wesowi jeden z zawiniętych w folie batonów. - Jesteś głodny?

- Dzięki. - Wes wziął od niej baton. - Podobno wkrótce ma przylecieć huey z nowymi zapasami żywności. Wszystko, co mieliśmy, oddaliśmy ofiarom trzęsienia. Od chwili katastrofy nie mieli nic do jedzenia ani do picia. Nie mogłem znieść tego wygłodniałego wzroku dzieci.

- Masz miękkie serce, Wes. Nie powinno się oddawać wszystkich zapasów. To niebezpieczne. A jeśli huey będzie miał awarię silnika? Czy wtedy będziesz miał czym nakarmić swoich ludzi?

- Nie bardzo - przyznał. - Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć. - Pocierając twarz dłonią, dodał: - Chyba nie jestem przyzwyczajony do oglądania głodnych i spragnionych Amerykanów. To wszystko przez dzieci, one zupełnie mnie rozbroiły. Przyznaję się do winy.

- Rozumiem, dzieciom trudno odmówić. - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego opalonego ramienia, gładząc ciemne włoski. Ponieważ Wes był z zawodu inżynierem budownictwa, Callie domyśliła się, że sporo przebywał na świeżym powietrzu, niezależnie od pogody. Jego skóra była wilgotna od potu, zapewne z powodu słońca. Gdy go dotknęła, drgnął, ją też przeszedł dreszcz.

- Tak... - powiedział Wes. - Rzeczywiście uwielbiam dzieci. Ty pewnie dawno temu nauczyłaś się panować nad emocjami, prawda?

Callie nie przestawała go zadziwiać. Tak bardzo różniła się od wszystkich kobiet, które znał, nawet od Allison. Było w niej coś niezwykle autentycznego. Callie nie grała. Nie potrafiła udawać, szczerść miała we krwi. Dlatego właśnie tak bardzo pragnął poznać ją bliżej. Miał jednak świadomość, że nie wolno mu pokochać tej uroczej i wspaniałej dziewczyny. Gdyby coś jej się stało...

Callie uśmiechnęła się szeroko i oparła o przednią część humvee, rozrywając czerwono-srebrną folię, w którą zapakowany był baton proteinowy.

- O mało nie zapomniałam... - Sięgnęła do drugiej kieszeni i wyciągnęła z niej kilka suchych psich przysmaków. Dusty siedział już przy nodze, wpatrując się z wyczekiwaniem. Teraz z apetytem pochłonął smakołyki, a Callie dała mu dokładkę.

Wes również oparł się o samochód. Teraz dzieliło ich nie więcej niż trzydzieści centymetrów. Dzień był ciepły, było prawie dwadzieścia stopni. Niebo miało przedziwną barwę - szarość, czerń i żółć przecinały promienie słońca.

- Od jak dawna służysz w Camp Reed? - Z apetytem wgrzył się w baton. Po raz kolejny pomyślał o tym, jak bardzo podoba mu się w Callie jej troska o innych.

- Od dwóch lat. Czemu pytasz?

Uśmiechnął się lekko i przez chwilę nie odpowiadał, ciesząc się samą jej obecnością. Przynajmniej się od niego nie odsuwała.

- Jestem tu od roku, buduję mosty i drogi w bazie. Te, które są tam teraz, mają już czterdzieści lat i od dawna należał im się remont lub wymiana. Zastanawiałem się, jak to się stało, że nigdy przedtem nie widziałem cię w klubie oficerskim. Wydawało mi się, że tańczyłem już z każdą kobietą w bazie. Słynę z tego, że po pracy lubię się bawić. Jestem bardzo towarzyski i nigdy nie przeoczę pięknej kobiety. A może... jesteś mężatką? - wstrzymał oddech, kiedy się odwróciła, bo dostrzegł niedowierzanie na jej twarzy. Czy przekroczył granice? Miał nadzieję, że nie.

- Ja? Mężatką? - Callie zaśmiała się serdecznie. - Nie, nie mam męża. Gdyby tak było, nie dałabym ci wcześniej zielonego światła. A jeśli chodzi o klub oficerski, to nigdy tam nie chodzę. - Nie dodała, że już dawno słyszała o Wesie. Wiedziała, że trzyma się z grupą samotnych oficerów, którzy prowadzili bardzo towarzyski tryb życia. Kiedy rano Callie chodziła po rumowisku w poszukiwaniu ofiar, usiłowała sobie przypomnieć, dlaczego jego imię wydaje się jej znajome. Teraz już wiedziała. Wes słynął z tego, że jest duszą towarzystwa. W klubie oficerskim zyskał sobie przydomek Złoty Chłopiec. Młode dziewczyny z okolicy, które przychodziły na sobotnie zabawy, mówiły o nim w samych superlatywach, zachwycając się tym, jak świetnie tańczy i jaki jest przystojny. Teraz, kiedy Callie uświadomiła sobie, że Wes był w bazie obiektem damskich westchnień, tym bardziej nie mogła uwierzyć w to, że właśnie ona mu się spodobała.

- Ale... dlaczego? - spytał Wes. - W klubie oficerskim jest wspaniała restauracja. W piątki i soboty wieczorem można potańczyć. Jestem tam co weekend, ale nigdy cię nie widziałem.

Callie skończyła baton i sięgnęła po następny. Czołganie się przez pół dnia na czworakach pochłania ogromne ilości energii.

- Tak... teraz sobie przypominałam, że słyniesz z weekendowych zabaw. - Uśmiechnęła się i dodała: - Jestem raczej nieśmiała, Wes.

- Ale chyba tańczysz, prawda?

- Właściwie... cóż, uwielbiam tańczyć, ale... - Serce podskoczyło jej w piersi, kiedy Wes posłał jej promienny uśmiech. Rozmowa stała się nagle bardzo osobista.

- Ale... co? Wyglądasz, jakbyś mogła przetańczyć całą noc. Callie unikała jego spojrzenia.

- Tak... właściwie, po prostu tam nie chodzę...

- Dlaczego? Jak miałbym spotkać kogoś takiego jak ty, jeśli nie wychodzisz z ukrycia?
- drażnił się z nią.

Była młoda, miała dwadzieścia kilka lat, podobnie jak on. Wszyscy jego znajomi, którzy jeszcze nie założyli rodzin, bywali w klubie. To było miejsce, w którym zawierało się nowe znajomości i miło spędzało czas. Poza tym wcale nie przeszkadzała mu reputacja, jaką tam zdobył. Lubił żyć pełnią życia. I lubił kobiety.

Callie machnęła lekceważąco ręką i odparła:

- Och, chyba po prostu tam nie pasuję. - Jej głos stał się bardzo cichy. - Nie... po prostu tam nie pasuję.

Wyczuwając, że coś jest nie w porządku, Wes spróbował podejść do tematu bardziej delikatnie.

- Jesteś samotna, masz dwadzieścia parę lat. Jesteś ładna. Dlaczego nie miałabyś pasować do klubu oficerskiego?

Ona... ładna? Mężczyzna, na którego teraz patrzyła, był szczery i otwarty. Była bliska rzucenia jakiejś kąśliwej uwagi, ale słowa uwięzły jej w gardle. Przełknęła nerwowo ślinę i o mało nie zakrztusiła się batonem. Wes uważał, że ona jest ładna? To musiał być jakiś żart.

- Jestem tak przeciętna, jak to tylko możliwe - udało jej się w końcu odpowiedzieć zduszonym głosem. - Odkąd pamiętam, chłopcy zawsze mnie unikali. Nie jestem ładna, Wes. Ani trochę. Czasami chodziłam na dyskoteki z koleżankami, kiedy udało im się mnie namówić. W końcu jednak znudziło mi się podpieranie ścian i czekanie, aż ktoś mnie poprosi do tańca. Teraz jestem realistką.

Wes musiał powstrzymać się z całych sił, by nie wyciągnąć ręki i nie pogłodzić jej po policzku, mówiąc, że to nieprawda, że wcale nie jest przeciętna. Sposób, w jaki wydeła wargi i odwracała wzrok, mówił sam za siebie. Nie wiedział, jak złagodzić jej ból. Nie mógł pozwolić, by tak wspinała dziewczyna cierpiała. Była niezwykła, odważna, odpowiedzialna i... urocza.

- Cóż - powiedział w końcu - jest pewien problem. Wyglądało na to, że zupełnie się nie przejął jej uwagą na temat tego, jak wygląda. Oparł szerokie, mocne dłonie na biodrach i patrzył w stronę hotelu. W kąciakach jego ust igrał cień uśmiechu.

- Jaki problem? - spytała w końcu. Odwrócił głowę i wytrzymał jej spojrzenie.

- Co ci chłopcy mogli wiedzieć? Każdy mężczyzna godny tego miana patrzyłby na ciebie inaczej. - Jak bardzo chciał, by w to uwierzyła! Widział, że ten komplement zaskoczył Callie i wywarł na niej duże wrażenie.

Wesa ogarnęło zakłopotanie. Ostatnią rzeczą, jaką chciałby zrobić, było zranienie tej dzielnej, wspaniałej kobiety.

- Jestem równie nieciekawa jak te odłamy betonu - powiedziała z naciskiem, ucinając dalszą dyskusję. Wskazała na fragment podłogi wystający z rumowiska hotelu.

- Nie w moich oczach, uwierz mi - zapewnił Wes, po czym zamilkł, choć na usta cisnęło mu się wiele pytań. Kto sprawił, że Callie uważała się za nieatrakcyjną kobietę? Żałował, że nie mają czasu... chciałby mieć wiele godzin, by móc z nią porozmawiać i powiedzieć, jaka cudowna jest w jego oczach. Ale nie mógł tego zrobić. Widział, że do samochodu zbliża się kolejna grupka poszkodowanych.

- Pewnie uważasz, że cię podpuszczam, mówiąc, że jesteś ładna. Mam rację?

Callie zmarszczyła brwi i odpowiedziała:

- Tak.

- Ale tak nie jest. - Wstał i obrzucił uważnym spojrzeniem jej twarz. - Posłuchaj, to jeszcze nie koniec rozmowy - dodał zmysłowym szeptem, pochylając się nad nią, tak by nikt niepowołany nie mógł usłyszeć jego słów. - W moich oczach jesteś aniołem. W porządku? Dobrze. Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. A teraz muszę wywołać kilka osób przez radio. Idziesz do drugiego sektora?

Oszołomiona Callie skinęła w milczeniu głową i patrzyła, jak Wes podnosi radiostację, stojącą na dachu humvee.

- Tak...

- Tylko uważaj na siebie. Pamiętaj, że rezerwuję sobie u ciebie pierwszy taniec w klubie oficerskim, kiedy tylko ten koszmar się skończy. Poza tym już przygotowuję kosz piknikowy na spacer po plaży, na który się umówiliśmy. Obiecujesz, że przyjdiesz?

ROZDZIAŁ 4

2 stycznia, godzina 21.00

Laura Trayhern starała się nie wpaść w panikę, chociaż leżała w całkowitych ciemnościach na plecach, słaba i przerażona. Ból w prawej nodze nie ustawał ani na chwilę i w jakiś sposób właśnie on pomagał jej zachować trzeźwość umysłu. Gdziekolwiek dotknęła lewą ręką, napotykała gruz. Prawą mogła wyciągnąć tylko odrobinę do góry. Gdzieś z prawej strony dochodził prąd zimnego powietrza, które przenikało ją do szpiku kości. Nie mogła się poruszyć, więc zimno było tym bardziej dokuczliwe. Leżała na wychłodzonym betonie, tracąc resztki ciepła.

Ile czasu minęło, odkąd tu leży? Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała, był przerażający hałas, jakby ogromny odrzutowiec zamierzał wylądować na dachu hotelu. Potem budynek zatrzęsł się, jakby rzeczywiście uderzył w niego samolot. Laura zamknęła oczy i oblizała suche, spierzchnięte wargi. Z tego, co stało się później, zapamiętała tylko fragmenty. Przypominała sobie rozdzierający grzmot. Pamiętała, jak upadła na podłogę w łazience, gdzie przygotowywała się do wieczornego wyjścia. Nie zdążyła się jeszcze przebrać i miała na sobie wełniany kostium w kolorze śliwkowym, który właśnie zaczęła rozpinąć, gdy nastąpił wstrząs. Morgan wyszedł kilka minut wcześniej, by wypić drinka ze starym znajomym w barze na dole. Potem miał po nią wrócić i już razem planowali zejść na bal sylwestrowy w Sali Tropikalnej.

Co z Morganem? Czy zginął w czasie trzęsienia? Laura zatkała. Zaciśnęła dłoń na czymś, co zapewne było odłamkiem betonu. Ostre krawędzie wbijały się jej boleśnie w skórę. Nie! To niemożliwe! On nie mógł zginąć! Za bardzo go kochała. Wspólnie spędzone lata nie osłabiły jej uczuć do męża, przeciwnie, sprawiły, że ich miłość stała się jeszcze pełniejsza i silniejsza.

Hotel Hoyt był jednym z ulubionych miejsc Morgana jeszcze przed tym, nim się poznali. Przed wyjazdem do Wietnamu przez trzy miesiące stacjonował w Camp Reed i właśnie wtedy wpadał tu ze znajomymi, by potańczyć. A teraz... Po raz kolejny wokół Laury zatrzęsała się ziemia. Zamarła. Za każdym razem, kiedy zaczynał się wstrząs wtórny, ogarniała ją panika. Słyszała, jak otaczająca ją stal i beton trzeszczy i jęczy pod wpływem ogromnych sił. Czy płyta ześlizgnie się i zmiażdży ją? Kiedy Laura odzyskała przytomność po głównym uderzeniu, usiłowała poruszyć prawą nogą, ale zorientowała się, że jest przygnieciona. Lewa leżała na szczycie rumowiska, które przygniotło prawą, ale przynajmniej mogła nią poruszać. Nie mogła jednak usiąść. Sądząc z tego, co wyczuwała ręką, sięgając wokół siebie, przestrzeń, w której została uwięziona, przypominała kształtem trumnę. Po prawej stronie było sporo miejsca. Przesunęła się w tamtym kierunku tak daleko, jak tylko mogła, ale ból prawej nogi uniemożliwił jej dalsze ruchy.

Z góry nieustannie sypał się na nią kurz. Laura zaniósła się kaszlem, przyciskając do piersi poranione i zakrwawione ręce. Boże, ile by teraz dała za szklanek wody! Miała potwornie sucho w gardle i ustach.

Wróciła myślami do Morgana. Czy zginął? Czy wstrząs zastał go w windzie, gdy jechał na dół, by spotkać się z przyjacielem? Nie! Nie wolno jej tak myśleć. Musi to sobie zakazać.

Wydostanie się z tej śmiertelnej pułapki pod gruzami, choć będzie to niezwykle trudne. Podniosła kawałek betonu i odsunęła go na bok. Dach jej jaskini, utworzonej w rumowisku,

był niski, ale mogła odwrócić się na bok. Skoro dochodziło tu powietrze, gdzieś musi być droga prowadząca na zewnątrz. Jednak za każdym razem, gdy próbowała wyszarpnąć prawą nogę spod gruzu, przeszywał ją ból tak silny, że była bliska utraty przytomności. Nie wiedziała, jak mocno krwawi ze zranionej nogi. Nie mogła dosięgnąć ręką, by to sprawdzić. Od kolana w dół noga była zdrętwiała i Laura zupełnie jej nie czuła.

Pomyślała o dzieciach i serce w niej zamarło. Nie może umrzeć. One jej potrzebowały! Nie chciała myśleć o tym, co musiały teraz przechodzić. Czy dzieci wiedziały, że ona i Morgan znaleźli się w rejonie trzęsienia ziemi? Że jest uwięziona pod gruzami? Czy myślały, że rodzice nie żyją? Laura wydała z siebie ni to szloch, ni to jęk.

Czy Jason wiedział o tym, co się stało? Czy władze zawiadomiły ich najstarszego syna, słuchacza Akademii Marynarki Wojennej w Annapolis? Dobry Boże, dlaczego Morgan pokłócił się z nim tuż przed wyjazdem? Ich najstarszy syn wrócił na uczelnię, przepełniony urazą. Laura zamknęła oczy i przycisnęła pięści do piersi. Ostatnie spotkanie ojca i syna było burzliwe i pełne gniewu. Morgan martwił się, że pierworodny nie traktuje nauki dość poważnie i nie stara się dość mocno o dobre stopnie, które ułatwiłyby mu późniejszą karierę, a także kontakty ze starszymi rangą oficerami.

Jason zarzucał Morganowi, że oczekuje od niego wspaniałych osiągnięć po to, by zmazać z siebie odium skandalu z własnej młodości, kiedy to po powrocie z Wietnamu oskarżono go o zdradę. Uważał, że ojciec włożył mu na barki ciężar odpowiedzialności za oczyszczenie rodzinnego nazwiska i podtrzymanie długiej tradycji honorowej służby krajowi. Jason był już zmęczony presją i tym, że koledzy również oczekiwali od niego, że będzie bohaterem, który dorówna ojcu. W Annapolis Morgan Trayhern był żywą legendą. Większość najlepszych oficerów piechoty morskiej studiowała właśnie na tej uczelni. Morgan również. A teraz Jason poszedł w jego ślady. Tyle tylko, że syn był zmęczony ciągłymi staraniami, by dorównać ojcu. Wiedział, że nigdy nie będzie taki jak on, że nie sprosta wygórowanym oczekiwaniom. Laura starała się to wytłumaczyć mężowi, ale dla Morgana syn był uosobieniem ponad dwustuletniej tradycji, zgodnie z którą pierworodny wybierał karierę wojskową.

Laura widziała, jak w Jasonie narasta bunt. Czuła, że w głębi serca wcale nie odpowiada mu życie wojskowego i że zdał do akademii tylko po to, by sprawić przyjemność ojcu. Mogła tylko bezsilnie obserwować, jak obaj Trayhernowie nie potrafią zdystansować się do rodzinnego dziedzictwa. Czuła, że Jason zbliża się do momentu przełomu, ale nie potrafiła w żaden sposób mu pomóc. Nie wiedziała, jak by zareagował, gdyby się wtrąciła, i bała się, że

jej interwencja tylko pogorszyłaby sprawę. Choć Morgan bardzo kochał syna, nie potrafił uszanować jego indywidualnych pragnień i planów. W tym tkwił problem.

Laura westchnęła ciężko i otworzyła oczy. Nie popłynęły z nich łzy, ale to w niczym nie zmniejszyło rozdzierającego jej serce bólu. Morgan wywierał na syna presję, by starał się być zawsze najlepszy. Ale Jason nie mógł stać się własnym ojcem. Nie potrafił też żyć w jego cieniu. Laura zauważyła, że dopiero niedawno Morgan zaczął choć trochę rozumieć, że chłopak musi podążać własną drogą, a nie starać się zostać wierną kopią ojca.

Po kolejnej kłótni Jason wybiegł z domu i złapał autobus do Anacondy, a stamtąd samolot do Annapolis. Choć do rozpoczęcia zajęć zostało mu jeszcze pięć dni, nie mógł już dłużej znieść tych ciągłych utarczek i napięcia.

- Jason... mój biedny chłopczyk... - szepnęła drżącym głosem.

Co on musiał teraz czuć? Wiedział, że rodzice pojechali do południowej Kalifornii na sylwestra. Że zatrzymają się w hotelu Hoyt. Jak zniesie te straszne wiadomości? Laura przycisnęła dłonie do zamkniętych oczu, uderzając łokciami o betonowe odłamki. Musi przeżyć, jest potrzebna dzieciom. Musi się stąd wydostać. Ale jak to zrobić?

2 stycznia, godzina 21.00

Kiedy Callie schodziła z gruzowiska, słała się na nogach z wyczerpania. Zapadła już ciemność, rozświetlona jedynie przez setki ognisk, widocznych wszędzie dookoła, aż po horyzont. Dusty zeskoczył na ziemię, machając zamasyżycie ogonem. Ruszyła za nim, oświetlając sobie drogę latarką. O mało nie potknęła się o wystający odłamek betonu. Kiedy stała już bezpiecznie na ziemi, poklepała psa po karku.

- Dobry piesek. Chodźmy zobaczyć, czy Wes dostał już nowe zapasy. Umieram z głodu i założę się, że ty też.

Przeszukała dziś razem z Dustym pięć sektorów i w żadnym nie natrafiła na najmniejszy ślad życia. Odkryła za to dwadzieścia ciał zabitych. Kiedy szła w dół Palm Boulevard, zobaczyła, jak bardzo zmienił się od rana wygląd ich kwatery głównej. Ponieważ cały dzień pracowała po przeciwnej stronie hotelu, nie miała pojęcia, co robił przez ten czas Wes i jego ludzie.

Zauważyła latarnie, świecące jasnym światłem, wsparte na stalowych słupach i zasilane prądem z ustawionego w pobliżu generatora na ropę. Widziała Wesa, jak pochyla się nad planem rozłożonym na dachu humvee i rozmawia z podkomendnymi. Sam jego widok sprawił, że smutek znikł i wypełniło ją uczucie szczęścia. W pobliżu zauważyła dwa buldożery i koparki. Wokół humvee zgromadziła się też duża grupa, złożona prawdopodobnie z okolicznych mieszkańców. Rozmawiali z Wesem, podekscytowani.

Czasami miała wrażenie, że praca wyciska z niej wszystkie siły. Tak bardzo przygnębiał ją fakt, że Dusty nie znalazł ani jednej żywej osoby, że teraz kurczowo trzymała się każdej pozytywnej emocji, a widok Wesa był cudownym pokrzepieniem.

Podchodząc bliżej, rozpoznała w jednym z cywilów Morgana Trayherna. Ktoś dał mu należącą do umundurowania piechoty morskiej kamizelkę. Wieczorem powietrze ochłodziło się i było teraz nie więcej niż dziesięć stopni. Na horyzoncie zbierały się chmury i Callie zastanawiała się, czy będzie padać. Dla tysięcy pozbawionych dachu nad głową ludzi to byłby dodatkowy cios. W zasięgu wzroku widziała tylko kilka budynków, które oparły się wstrząsom. Jedynym schronieniem były namioty, dostarczone w ciągu dnia przez śmigłowce. Trawniki przed budynkami, otaczającymi niegdyś hotel Hoyt, zajmowały teraz rzędy namiotów. Nie, deszcz był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali.

Callie spostrzegła ponury grymas na twarzy Morgana. Dłonie miał zabandażowane, a w jednej z nich trzymał rękawice, które nosił w ciągu dnia. Od rana przekopywał rumowisko, szukając żony. Co jakiś czas dobiegały do niej jego wołania. To było takie smutne. Callie wiedziała z doświadczenia, że szanse na przeżycie tak silnego trzęsienia ziemi są znikome. Widząc jego spojrzenie, aż zadrżała. Musiał bardzo kochać swoją żonę. Chciałaby kiedyś spotkać mężczyznę, który pokochałby ją tak mocno. Niestety, wiedziała, że tak silne i trwałe uczucie pomiędzy dwojgiem ludzi zdarza się w dzisiejszych czasach niezwykle rzadko. Ludzie nie wiedzą, jak dbać o swoje związki, i przy najmniejszych kłopotach lub przeciwnościach najczęściej się rozchodzą. Nie tego chciała dla siebie. Marzyła o takim uczuciu, jakie połączyło tych dwoje, o miłości, która z upływem lat będzie umacniać się, a nie słabnąć. Callie domyślała się, że Morgan i Laura też musieli przeżyć trudne chwile i że w ich związku również zdarzały się kryzysy, bo takie jest życie. Jednak wzajemna miłość pomogła im je przetrwać, a także dojrzeć i rozwinąć się.

Kiedy Callie podeszła bliżej, otaczający Wesa ludzie rozeszli się do swoich zajęć, a on odwrócił się w jej stronę. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało, zauważając, jak przyćmione oświetlenie podkreśla jego wyraziste rysy. Kiedy ich oczy się spotkały, uśmiechnął się szeroko. To do niej się uśmiechał. Callie poczuła się tak, jakby urosły jej skrzydła.

- Masz dla mnie jakieś dobre wieści? - spytał, zwijając plan.

Callie wyglądała na przygnębioną i wyczerpaną. Twarz pokrywała jej warstwa kurzu. Mimo to dobrze było znów ją zobaczyć. Przez cały dzień Wes spoglądał w stronę hotelu, zastanawiając się, jak idą jej poszukiwania. Nastąpiło kilka kolejnych wstrząsów, a on nie zniósłby, gdyby coś jej się stało.

Callie rozpięła i zdjęła kask. Ponieważ wciąż miała na rękach grube rękawice, pasek wyslizgnął się jej z palców i kask spadł na ziemię, koziółkując kilka razy. Wes schylił się, by go podnieść.

- Niestety, nic - powiedziała cicho Callie, biorąc kask. - Dzięki.

- Wyglądasz na zmęczoną.

Od dwóch dni pracowała niestrudzenie po osiemnaście godzin na dobę, przeszukując ruiny Hoyta. Schodziła z rumowiska tylko po to, żeby coś zjeść i nakarmić Dusty'ego. Wes czekał z wytęsknieniem na te krótkie chwile, ale zwykle był wtedy zajęty pomaganiem cywilom, którzy przychodzili do niego po radę i wsparcie.

Otworzył drzwi humvee i sięgnął do środka.

- Po południu dostaliśmy nowy zapas racji żywnościowych. - Podał Callie paczkę. Posiłek był gotowy do spożycia po dodaniu gorącej wody. Łatwość przygotowania była nieoceniona w krytycznej sytuacji, a smak nawet znośny, choć oczywiście nie mógł się równać z przyrządzonym w domu posiłkiem. Ale na to jeszcze długo poczekają.

- Świetnie. Może będzie w końcu jakiś wybór. Mam dość jedzenia na okrągło makaronu z serem. - Uśmiechnęła się, a on odpowiedział uśmiechem.

- Powiedz, jak się czujesz?

- Jestem wykończona. A jak wy sobie radzicie? Widzę, że wyrosło miasteczko namiotowe - powiedziała, kładąc kask na dach samochodu, tak by nie spadł.

Callie wiedziała, że dowództwo Camp Reed stara się dostarczyć niezbędne zaopatrzenie do wszystkich obszarów w rejonie Los Angeles, dotkniętych trzęsieniem ziemi. Oznaczało to, że załogi śmigłowców latały bez przerwy, dowożąc jedzenie, wodę, leki i wszelki potrzebny sprzęt. Gdyby nie to, z czasem ludzie zaczęliby plądrować sklepy w poszukiwaniu jedzenia i wody. Taka była kolej rzeczy. Callie wiedziała z porannej rozmowy z Wesem, że wojsko pracowało nad oczyszczeniem prowizorycznej drogi, używając buldożerów należących do piechoty morskiej. Kiedy drogi będą już przejezdne, zaopatrzenie będzie można dostarczać wojskowymi transporterami w większych ilościach.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, radzimy sobie całkiem nieźle - odparł Wes. - Na szczęście mamy maszyny. Właściciel sklepu na rogu, Bob Dorffman, dysponuje małym dźwigiem. Ściągniemy go tu i zaczniemy używać jeszcze dziś wieczorem. Głównym problemem jest benzyna, ale na szczęście Dorffman ma pod sklepem duży zbiornik, na prawie cztery tysiące litrów, więc na jakiś czas wystarczy. Jakimś cudem wytrzymał wstrząsy. Nie pytaj mnie jak, bo sam nie mogłem w to uwierzyć. Już niedługo ta benzyna będzie na wagę złota.

Callie uśmiechnęła się.

- To rzeczywiście świetnie, że możemy z niej skorzystać. W Turcji widziałam, jak ludzie zabijali się dla litra benzyny. Czy postawiłeś straż przy zbiorniku?

- Nie... Jeszcze nie. Jutro wyślę tam dwóch ludzi. Przesłałem do dowództwa prośbę o posiłki, warty będą się zmieniać co dwanaście godzin.

- To dobrze. Będą nam tu bardzo potrzebni, i to już wkrótce. - Rozejrzała się dookoła. - Czy są jakieś szanse na ciepłą wodę?

Wes uśmiechnął się i skinął głową.

- Tak. Bob pilnuje kuchni. - Wskazał na przeciwną stronę ulicy. - Znaleźliśmy dużą stalową płytę i rozpaliliśmy pod nią ogień, a szeregowy Stevens odkrył rurę wodociągu, którą wstrząsy wypchnęły na powierzchnię. Jest w niej pęknięcie, z którego zbieramy wodę. Stevens jest odpowiedzialny za to, żeby ją gotować. Dzięki temu mamy pewność, że nie jest skażona. Można ją bezpiecznie pić i przyrządzać na niej racje żywnościowe. Poinformowaliśmy cywilów, że mogą zgłaszać się do nas po wodę i na razie wszystko idzie dość gładko. - Spochmurniał i dodał: - Oczywiście, jeśli kolejny wstrząs uszkodzi główny wodociąg, będziemy mieli poważny problem, bo to nasze jedyne źródło wody.

- Mamy wielkie szczęście, że trafiliśmy na wodę - zgodziła się Callie. - Nie liczyłabym na to, że będziemy się nią długo cieszyć. Z tego, co dziś czułam, wtórne wstrząsy mają siłę nawet sześciu stopni.

- Tak - przyznał smutnym głosem Wes. - Zgadzam się z tobą. Jeśli stracimy źródło wody... Cóż, na razie mamy pięćset osób i nie wiem, co z nimi zrobimy w takiej sytuacji.

- Wodę można dostarczać śmigłowcami - zasugerowała Callie.

- Tak, w ten sposób dowożą ją do innych sektorów. - Wes zatoczył ręką szerokie koło. - Rozmawialiśmy z logistyką w sprawie dostarczenia plastikowych zbiorników na wodę, ale z tego, co mi powiedzieli, nie mają już ich więcej. Wszystko, co było w Camp Reed, dostała straż pożarna.

- To tylko kwestia czasu - powiedziała cicho Callie. Choć przed nimi piętrzyło się tyle problemów, cieszyła się z tego, że mogła przez chwilę porozmawiać z Wesem. Wyglądał na wyczerpanego. Wiedziała, że przyczyną jest brak snu i stres związany z kierowaniem pracą całego zespołu. Ale było jeszcze coś trudniejszego do zniesienia: nikt nie mógł przejść obojętnie obok ogromu ludzkiego cierpienia, widocznego wszędzie wokół. Z czasem będzie jeszcze gorzej. Callie wiedziała z doświadczenia, że po kilku dniach zacznie szerzyć się panika. Wody i jedzenia zapewne na jakiś czas starczy, ale potem sytuacja będzie się stawała coraz trudniejsza. Kiedy w grę wchodzi przetrwanie, przestają obowiązywać zasady.

Większość ludzi jest gotowa kraść, kłamać, oszukiwać, a nawet zabijać, byle tylko zdobyć żywność i wodę. Zespół Wesa został wyposażony w broń, ale Callie wiedziała dobrze, że żołnierze nie chcą nikogo skrzywdzić, a zwłaszcza bezbronnych, zrozpaczonych cywilów. Była pewna, że oni też są zmęczeni i zdają sobie sprawę z tego, że najgorsze dopiero przed nimi. W takich chwilach ratownicy nie mogą liczyć na odpoczynek.

Wes widział, że Callie ledwie trzyma się na nogach. Zabrał jej pakiet z racją żywnościową i wziął pod rękę.

- Chodź - powiedział cicho. - Usiądź tam, a ja przyrządzę ci jedzenie. Czas, żeby ktoś zatroszczył się o ciebie...

Callie była wzruszona jego opiekuńczością. Choć nie skarżyła się ani słowem, zrozumiała, że Wes musiał zauważyć jej wyczerpanie i chciał jej pomóc. Z przyjemnością oparła się na jego mocnym ramieniu, kiedy prowadził ją przez usłaną gruzem ulicę.

- Najpierw muszę nakarmić Dusty'ego - zaprotestowała. Uśmiechając się pod nosem, odparł:

- Czy on też jada wojskowe racje żywnościowe? Obawiam się, że śmigłowce nie przywiozły dziś karmy dla psów...

Poprowadził Callie do krawężnika, który jakimś cudem ocalał. Tuż obok stała naprędce urządzona kuchnia polowa. Wes znalazł poobijaną aluminiową puszkę, otworzył pakiet z żywnością, sięgnął puszką do gotującej się wody i wlał ją do woreczka.

Callie usiadła na krawężniku, a Dusty położył się obok niej, wysuwając z pyska mokry język i ziewając ciężko.

- Jasne, że je. Ściśle biorąc, kiedy jesteśmy w trakcie poszukiwań, jest gotowy zjeść wszystko, co się nie rusza. - Wsunęła rękę do kieszeni na biodrze i wyciągnęła z niej ostatni psi przysmak. Pochyliła się i położyła go na ziemi przed Dustym, który rzucił się na niego łapczywie.

Ich praca wymagała dużego wysiłku fizycznego, oboje powinni więc regularnie się odżywiać. Tymczasem Callie od południa nie miała nic w ustach, a było już po dziewiątej wieczorem. Z wdzięcznością patrzyła, jak Wes przygotowuje dla niej posiłek. Kiedy był gotów, podał go jej wraz z plastikowymi sztućcami.

- Zaraz przygotuję coś dla Dusty'ego. Ty siedź i odpoczywaj - powiedział.

Zbyt zmęczona, żeby cokolwiek odpowiedzieć, Callie zajrzała do środka - miała kurczaka z makaronem. Dusty wpatrywał się w jedzenie. Czuł smakowity zapach.

- Zaczekaj chwilę, zaraz też coś dostaniesz - obiecała Callie, klepiąc psa po grzbiecie.

Podnosząc do ust pierwszy kęs, Callie starała się nie myśleć o ludziach, którzy wciąż mogli być uwięzieni gdzieś pod gruzami. Daleko przed sobą widziała pracujący żuraw, ustawiony na szeroko rozstawionych podporach, stabilizujących maszynę i dających pewność, że ramię nie przewróci się w czasie podnoszenia ciężkich betonowych płyt.

Tymczasem buldożery i spycharki nieustannie pracowały nad oczyszczeniem dróg dojazdowych. W tej chwili słychać je było z bulwaru, od tej strony, gdzie niedawno Callie prowadziła poszukiwania. Kiedy ratownik upewnił się, że pod gruzami nie ma żywych, maszyny zaczynały oczyszczanie gruzowiska i wydobywanie na powierzchnię ciał ofiar.

To była straszna, przygnębiająca praca. Do tej pory udało jej się zlokalizować, przy pomocy Dusty'ego, dwadzieścia ciał zabitych. Po drugiej stronie hotelu Wes urządził prowizoryczną kostnicę. Nie chciał, by ludzie widzieli ciała, więc teren ten był zamknięty. Jednak coraz większym problemem stawał się dobiegający stamtąd zapach. Callie zdążyła się przyzwyczać do unoszącego się w powietrzu pyłu, który nieustannie drażnił jej gardło, ale kiedy dołączał się do niego znajomy, słodkawy odór, nie potrafiła zapanować nad żołądkiem.

Jedząc makaron, który wydawał się całkowicie pozbawiony smaku, Callie patrzyła na krzątającego się obok Wesa. Kiedy wyłonił się z cienia, niosąc porcję jedzenia dla Dusty'ego ogarnęła ją radość. Nagle uświadomiła sobie, że w tym mężczyźnie wszystko jej się podoba. Gdy podszedł do niej, powiedziała:

- Na pewno nie jesteś jednym z dawnych rycerzy, który tylko przez pomyłkę trafił do naszych czasów?

Wes uśmiechnął się szeroko, otworzył torebkę z racją żywnościową i nalał do niej wodę.

- Może. Ale co w takim razie mam powiedzieć o tobie? To ty wspinasz się cały dzień po rumowisku. Jesteś ratownikiem. - Kąciki jego ust znów powędrowały w górę. - A może aniołem miłosierdzia?

Callie zmarszczyła nos i uciekła wzrokiem przed jego badawczym spojrzeniem.

- Aniołem?

- Tak właśnie nazywam cię w myślach. Nawet wyglądasz jak anioł - dodał konspiracyjnym szeptem, siadając obok niej tak blisko, że stykali się łokciami. Sprawdził temperaturę jedzenia, nie chcąc, by Dusty się sparzył, gdyby było za gorące. Potem otworzył torebkę szerzej, żeby jeszcze bardziej się ostudziło.

- Dziękuję za komplement - powiedziała Callie nieśmiało. Usta Wesa rozciągnęły się w uśmiechu.

- I nie myśl sobie, że powiedziałem to tak sobie. Naprawdę tak myślę.

Callie posłała mu zmęczony uśmiech.

- W porządku, zaczynam już wierzyć, że twoje komplementy są szczerze.

- To dobrze, bo właśnie takie są. To dlatego, że cię pożądam. - Chciałby powiedzieć „kocham”, ale nie mógł pozwolić, by to, co czuł do Callie, przerodziło się w głębsze uczucie. Z powodu bolesnej przeszłości to po prostu nie wchodziło w grę.

Fala gorąca ogarnęła jej szyję i twarz. Nie mogąc znieść jego spojrzenia, skupiła całą uwagę na posiłku. Nieważne, że prawie nie czuła jego smaku. Sama bliskość Wesa sprawiała, że cała topniała jak skute lodem jezioro pod wpływem słońca. Ostrzegała się w duchu, że przecież użył słowa „pożądanie”, a nie „miłość”, i że nie wolno jej pomylić jednego z drugim.

- Kiedyś w Turcji Dusty znalazł pod gruzami trzypiętrowego budynku starszego mężczyznę, i on też nazwał mnie w ten sposób. To był obcokrajowiec, Anglik. W Turcji większość ludzi to muzułmanie i nie wiem, czy w ich religii też są anioły... Kiedy sanitariusze wynosili go do karetki, na noszach, złapał mnie za rękę i powiedział, że jestem aniołem. Westchnęła. - To było naprawdę miłe. Dzięki temu łatwiej mi było znieść następny tydzień.

Wes skinął głową i położył ostudzoną rację żywnościową na ziemi przed psem. Dusty natychmiast rzucił się na nią.

- Nie dziwię się. - Nagle spochmurniał i spojrzał na hotel. - Co o tym sądzisz, Callie?

Lubiła sposób, w jaki wymawiał jej imię. Czuła, jak policzki zaróżowiły się jej z zadowolenia.

- Masz na myśli hotel? Chcesz wiedzieć, czy uważam, że ktoś mógł tam przeżyć?

- Tak. Zupełnie nie mam doświadczenia w takich sprawach. - Wes uśmiechnął się gorzko. - Buduję mosty i drogi dla wojska, ale rzadko mam do czynienia z budynkami zniszczonymi przez trzęsienia ziemi. - W świetle latarni, rozjaśniających otaczającą ich ciemność, widział rumieniec na policzkach Callie. Podobało mu się to, że jej oczy załśniły, gdy nazwał ją aniołem. Tak, była aniołem - dla niego i dla wielu innych ludzi. Miała potargane włosy i nagle poczuł nieodpartą chęć, by wyciągnąć rękę i przeczesać je palcami. Musiał mocno się powstrzymać, by tego nie zrobić.

Cicha i spokojna Callie budziła w nim coraz silniejsze pragnienie, by odrzucić złe doświadczenia z przeszłości i jeszcze raz zaryzykować poważny związek. Tymczasem to niemożliwe. Właśnie dlatego był tak dobrze znany w klubie oficerskim. Tańce, kolacje, kilka skradzionych pocałunków... tak, to mu odpowiadało. To było pożądanie, a nie miłość. Jednak Callie różniła się od wszystkich kobiet, które dotąd spotkał. Była zupełnie inna. Ku własnemu zdziwieniu poczuł, że pragnie otworzyć się przed nią i rozmawiać z nią bez końca. To go przerażało. W klubie prowadził błahe pogawędki i zawsze miał na podorędziu błyskotliwą

uwagę. Callie chciał poznać blisko, dowiedzieć się, kim jest w głębi serca. Interesowało go wszystko, co jej dotyczyło. Nigdy przedtem żadna kobieta nie obudziła w nim takiej ciekawości i takiego... pożądania. Dlatego Wes miał się na baczności. Musiał uważać.

- Kiedy skończę jeść, zamierzam wykorzystać sztuczne oświetlenie i przeszukać sektor dwudziesty czwarty, po tej stronie hotelu.

- Musisz odpocząć, Callie.

Wzruszyła ramionami i w milczeniu dokończyła jedzenie. Potem odłożyła plastikową torebkę i widelec na ziemię i powiedziała:

- Gdybyś to ty był uwięziony pod gruzami, Wes, czy chciałbyś, żebym teraz położyła się spać? A jeśli Dusty kogoś znajdzie? Mamy już sprzęt i ludzi, moglibyśmy tego kogoś wydobyć. - Popatrzyła uważnie w jego zatroskaną twarz. Widziała, że on też się martwi. - Dziękuję, że się o mnie troszczysz. To miłe. Zazwyczaj słyszę tylko od wszystkich dookoła coś wręcz przeciwnego: poszukaj jeszcze tu, jeszcze tam... Ludzie łatwo zapominają, że ja też jestem człowiekiem, a Dusty nie jest robotem, tylko psem. Musimy czasem odpocząć i się przespać.

Wes skinął głową i spojrzął z przygnębieniem na zniszczony budynek.

- Nie wiem, jak ktokolwiek mógłby przeżyć w takich warunkach, Callie. - Wskazał ręką na samotną postać pracującą w pobliżu rumowiska. - Strasznie mi go żal. Morgan Trayhern ma obsesję na punkcie żony. Mówi, że nie spocznie, dopóki jej nie odnajdzie.

- Po prostu ją kocha. Miłość sprawia, że człowiek jest zdolny do wszystkiego. Widziałam to niejednemu raz...

- Tak... Ja też znalazłem kiedyś taką kobietę...

Callie znieruchomiała. Słyszała żal w głosie Wesa, który nie odrywał wzroku od Morgana, penetrującego ruiny. Zastanawiała się, co się stało. Wes James był taki przystojny, wygadany i inteligentny, że Callie nie mogła z początku uwierzyć, że nie ma żony ani dziewczyny. Złoty Chłopiec z pewnością podobał się kobietom. Dlaczego więc nie ożenił się z jedną z nich? Czemu się nie zaręczył? Callie nie widziała w tym sensu.

- Dlaczego się z nią nie ożenisz?

Wes zdjął czapkę i zwichrzył w zamyśleniu krótkie, ciemne włosy.

- Zdaje mi się, że przyszedł czas na chwilę szczerości - rzekł cicho. - Kilka lat temu byłem zaręczony, mieliśmy wziąć ślub. Allison pracowała w straży pożarnej. - Wes posmutniał jeszcze bardziej i zniżył głos. - Zakochałem się w niej. Wiedziałem, jak ryzykowna jest jej praca, i wciąż się o nią martwiłem. Allison tylko się z tego śmiała i

obracała moje obawy w żart. - Wzruszył ramionami. - Zginęła w pożarze na pół roku przed datą naszego ślubu.

- Och, nie... To naprawdę straszne... Tak mi przykro, Wes. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak to jest stracić kogoś, kogo tak bardzo się kochało...

- Uwierz mi, to były najgorsze chwile w moim życiu. - Wyprostował się i powiedział zmienionym głosem: - Teraz to już przeszłość. Poprzysiągłem sobie, że będę się trzymał z daleka od kobiet, które wykonują niebezpieczne zawody. Może dlatego stałem się bywalcem klubu. Lubię kobiety, świetnie się czuję w ich towarzystwie, ale nie chcę się zakochać. To wszystko.

- Rozumiem. - Callie rzeczywiście wszystko rozumiała z zadziwiającą jasnością. Wcześniej Wes użył słowa „pożądanie”, a nie „miłość”. Teraz już wiedziała dlaczego. Ona miała niebezpieczne zajęcie, co tłumaczyło jego zdenerwowanie, gdy pracowała po przeciwnej stronie hotelu, schowana przed jego wzrokiem. A może zależało mu na niej bardziej, niż był gotów się przyznać?

Callie szybko odrzuciła tę myśl. Nie ma powodu sądzić, że jego niepokój jest czymś więcej niż tylko zwykłą ludzką troską, jaką okazałby każdemu człowiekowi w podobnej sytuacji. Teraz, kiedy wiedziała już, że Wes stracił kobietę, którą kochał, pojęła, w jaką stronę zmierza ich znajomość.

- Cóż, na pewno radzisz sobie lepiej niż ja - powiedziała sucho, podnosząc się z chodnika. Może odrobina szczerości z jej strony pomoże mu poczuć się lepiej.

Pochyliła się, sprawdzając, czy skórzane ochraniacze Dusty'ego trzymają się mocno na łapach, a potem zabrała pustą torebkę po psim jedzeniu i odłożyła ją razem ze swoją. Kiedy się wyprostowała, Wes patrzył na nią pytająco. Wskazała dłonią na swoją twarz.

- To żadna tajemnica, wystarczy spojrzeć. Jestem po prostu przeciętna, zwyczajna. Facetów pociąga uroda i styl, a nie ktoś taki jak ja. Nie maluję się. Nie noszę najmodniejszych ciuchów. - Uśmiechnęła się z przekąsem i pokazała na swoją fryzurę. - I nic nie robię z moimi prostymi, myszowatymi włosami. - Włożyła czapkę z daszkiem. - Teraz muszę wracać do pracy. Skoro oświetlona jest ta strona hotelu, myślę, że dołączę do pana Trayherna.

Wes patrzył, jak Callie przechodzi na drugą stronę ulicy. Golden retriever szedł posłusznie przy jej nodze. Zabrała leżący na dachu humvee kask, nałożyła go i ruszyła w stronę hotelu.

Jak mogła uważać się za przeciętną? To było dla niego coś niezrozumiałego. Tyle rzeczy w niej uważał za wspaniałe... Wstając powoli z ziemi, żałował, że nie może spędzać z

nią więcej czasu. O wiele więcej... Tęsknił za tym, by być z nią sam na sam, by porozmawiać na bardziej osobiste tematy. Ale w sytuacji, w której oboje się znaleźli, to było niemożliwe.

Westchnął. On też musiał wracać do pracy. Callie miała rację: ratownik powinien pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Morgan podniósł głowę i na chwilę przerwał wspinaczkę po gruzach.

- Porucznik Evans?

- Witam, pułkowniku Trayhern. - Callie patrzyła, jak Morgan stara się złapać równowagę, balansując na dwóch odłamkach betonu. - Na dziś skończyliśmy przeszukiwanie tamtych sektorów. Teraz zaczynamy tutaj. Pomyślałam, że dołączymy do pana z Dustym. - Poklepała psa po łbie i uśmiechnęła się. - Jeśli pies niczego tu nie znajdzie, będzie pan wiedział, że w tym sektorze na pewno nie ma pana żony. Morgan skinął głową z wdzięcznością i wyprostował się, opierając rękę na czymś, co zapewne niegdyś było fragmentem podłogi.

- Tak, poruczniku, to świetny pomysł, dziękuję. Naprawdę doceniam pani życzliwość. - Morgan wiedział już, że ratownicy dzielą teren rumowiska na sektory. Poszukiwania były dzięki temu systematyczne. W ten sposób można było mieć pewność, że żaden fragment rumowiska nie zostanie pominięty, a żadna żywa ofiara - przeoczona. Sam nie miał pojęcia, gdzie mogła znajdować się Laura, i był bardzo wdzięczny za pomoc zaproponowaną przez Callie. Jej obecność sprawiała, że odżyła w nim nadzieja na odnalezienie żony.

- Proszę mi mówić Callie. To dla mnie zaszczyt, że mogę panu pomagać i pracować razem z panem. My, wojskowi, powinniśmy trzymać się razem. - Posłała mu najbardziej optymistyczny uśmiech, na jaki ją było stać, choć w głębi duszy nie wierzyła, by ktokolwiek mógł przeżyć wśród takich zniszczeń. Mimo to pamiętała z poprzednich akcji ratowniczych, że zwykle codziennie znajduje się jedną lub dwie osoby żywe, przynajmniej przez kilka pierwszych dni. Potem największym wyzwaniem było dotarcie do nich na czas i wydobycie spod gruzów.

Callie zachowała jednak te myśli dla siebie. Widziała, jak w oczach Morgana pojawiła się nowa nadzieja. Nie chciała mu jej odbierać. W głębi serca czuła dojmujący smutek, bo wiedziała, że z każdą chwilą szanse na znalezienie kogokolwiek żywego maleją.

- Bardzo ci dziękuję, Callie - powiedział Morgan łamiącym się głosem.

Przyjrzała się uważnie rumowisku. Co najmniej trzy piętra budynku złożyły się jak harmonijka. Na lewo, tam gdzie nie sięgały światła ustawione przy humvee, królowała czarna, nieprzenikniona ciemność. Zawołała Dusty'ego i pies wskoczył na rumowisko,

węsząc i szukając. Callie ruszyła za nim, uważnie stawiając ciężko obute nogi i podpierając się dłońmi chronionymi przez grube rękawice.

Rozpoczęli w lewym górnym rogu sektora i powoli, krok po kroku, przesuwali się po jego przekątnej. Każdy nieostrożny ruch mógł sprawić, że jeden ze stalowych prętów przeszyje nagle jej ciało lub bok Dusty'ego. On też szedł bardzo ostrożnie, węsząc i tropiąc ludzkie ślady.

Po trzydziestu minutach przeszukali już ponad połowę sektora. Drugą połowę spowijały nieprzeniknione ciemności. Morgan szedł za nią, czasami pomagając w pokonywaniu rozpadlin pomiędzy gruzami. Callie była niska, a niektóre ze szczelin - bardzo szerokie. Była mu wdzięczna za pomoc.

Kiedy doszli na szczyt rumowiska, Dusty rzucił się naprzód. Callie przewróciła się, gdy niespodziewane szarpnięcieomal nie wyrwało jej smyczy z ręki.

Dusty szczeakał i parł do przodu.

Morgan pomógł Callie wstać.

- Co się dzieje?

- Dusty złapał trop! - Uśmiechnęła się promiennie. - Znalazł kogoś żywego! Szczeka tylko wtedy, kiedy znajduje rannego! Chodźmy!

Ruszyli w pośpiechu za psem, potykając się o powyginane metalowe pręty i przeskakując nad potrzaskanymi betonowymi odłamkami. Schodzili w dół, w ciemną otchłań. Oddychając ciężko, Callie przeskoczyła na następny kawałek betonu, wystający z rumowiska jak skrzydło samolotu. Dusty znów szarpnął mocno za smycz, która wyslizgnęła się z dłoni Callie, a potem zniknął pod zwałami gruzu, szczeakając głośno i radośnie.

Serce Callie waliło jak oszalałe, oddychała z wysiłkiem, starając się iść najszybciej, jak potrafiła. Żywy człowiek! Znalazł kogoś żywego! Callie włączyła latarkę i zsunęła się w szczelinę. Dusty zniknął jej z oczu, słysząc było tylko jego piskliwe ujadanie. Świecąc latarką w dół, Callie zastanawiała się, kogo znaleźli.

Morgan stał tuż za nią, dysząc ciężko. Ponieważ był dużo wyższy, bez trudu podniósł ją do góry, pomagając uwolnić uwięzniętą w szczelinie stopę. Callie omiotła światłem latarki miejsce. Otaczały ich zwały powyginanej stali. Kiedy postawiła stopę na ziemi, w powietrze wzbił się obłok pyłu z potrzaskanego betonu. Odzyskała równowagę, a potem odsunęła się na bok, robiąc miejsce dla Morgana, który również zsunął się w dół niecki.

- Co to? - wysapał, rozglądając się.

Promień światła wskazywał kierunek, z którego dobiegało szczekanie. Dusty stał przy wejściu do czegoś, co wyglądało jak tunel. Callie uklękła obok psa i pochwaliła go, przyglądając się otworowi.

Dusty machał energicznie ogonem i ciężko dyszał. Callie poklepała go po grzbiecie.

- Dobry piesek! - powiedziała. - Siad, Dusty, teraz spokój. Pies usiadł i przestał ujadać, choć jego ogon nie przestawał się poruszać. Brązowe oczy błyszczały.

Morgan wcisnął się w wąską przestrzeń obok tunelu, dotykając ramionami Callie. Czują gorąco bijące od jego rozpalonej twarzy, gdy wpatrywał się w otwór niewiele większy od niego.

- I co? - wydyszał. - Co widzisz?

Tam był ktoś żywy! Czy to jego żona? Nawet nie chciała sobie wyobrazić, jakie emocje musiały nim targać w tej chwili.

- Ciii... - szepnęła. Słyszała odległy hałas buldożerów i terkotanie generatora po drugiej stronie ulicy. - Chwileczkę... - Nachyliła się jeszcze niżej, uważając, by nie wejść do samego tunelu. Po tylu wstrząsach wtórnych mógł się zawalić nad każdym, kto próbowałby wsunąć się do środka.

- Halo! - krzyknęła, świecąc latarką w głąb otchłani. - Mówi Callie! Jestem tu, żeby ci pomóc. Czy mnie słyszysz? Jeśli możesz, odezwij się! - Ściany tunelu tłumiły jej głos. W świetle latarki widziała, że korytarz opada łagodnie przez mniej więcej dwa metry, a potem skręca gwałtownie w prawo. Otwór był dość duży, by zmieściła się w nim ona lub Dusty, ale nie było żadnej gwarancji, że dalej jest tak samo. Tunel mógł nagle się zwęzić lub kończyć ślepa uliczką.

- Pomocy!

Głos był słaby, ale Callie słyszała go wyraźnie. Była pewna, że to głos kobiety. Silny ciąg powietrza z prawej strony utrudniał nasłuchiwanie. Callie wsunęła się do środka. Jej ramiona ocierały się o beton i pręty zbrojeniowe, kiedy z trudem posuwała się naprzód.

- Słyszę cię! Kto ty jesteś? - zawołała głośno. Ściany tunelu i tym razem stłumiły głos, a prąd powietrza zniekształcił go. Callie słyszała, jak Morgan poruszył się niespokojnie. Czują go tuż za sobą.

- Laura...

Callie wciągnęła gwałtownie powietrze i odkrzyknęła:

- Jak się nazywasz, Lauro? - Serce waliło jej jak młotem. Morgan wstrzymał oddech.

- Trayhern...

- Boże! - krzyknął zduszonym głosem Morgan.

Callie uśmiechnęła się i odwróciła głowę, by na niego spojrzeć. Na jego twarzy malował się wyraz bezgranicznej ulgi, a w oczach lśniły łzy.

Czując, jak jej serce wypełnia radość, Callie krzyknęła:

- W porządku, Lauro Trayhern. Uratujemy cię! Wytrzymaj jeszcze tylko trochę!

ROZDZIAŁ 5

2 stycznia, godzina 22.00

Wes oddychał ciężko, przedzierając się do miejsca, gdzie Callie i Morgan przycupnęli między dwiema betonowymi kondygnacjami. Kiedy Callie skontaktowała się z nim przez radio, nie wierzył własnym uszom. Znaleźli żywego człowieka! Widział nadzieję w oczach Morgana. Zakurzona i zmęczona twarz Callie również rozjaśniał uśmiech. Jednak tym, co najbardziej go wzruszyło, były łzy na policzkach obojga.

- Ona żyje! - krzyknęła tryumfująco Callie, kiedy Wes klęknął obok tunelu.

- Jaki jest teraz schemat postępowania? - zapytał.

- Wchodzimy tam i sprawdzamy, w jakim ona jest stanie - odparła Callie. - Natychmiast dajemy jej wodę. Na pewno jest odwodniona. Poza tym potrzebny będzie koc, bo ofiary trzęsień ziemi są najczęściej wychłodzone, a czasem nawet w stanie hipotermii. - Kiedy wywołała go przez radio, powiedział, że natychmiast do nich idzie razem z sierżantem Cove'em i kapralem Orlandem. Teraz cieszyła się, że wziął ze sobą ludzi. W czasie tej akcji przyda się trochę męskiej siły.

Wes skrzywił się, włączył latarkę i zaczął uważnie oglądać tunel. Był wąski, zbyt mały, by zmieścić się w nim którykolwiek z jego ludzi. Mogła tam iść tylko Callie albo pies. Czy to nie było zbyt niebezpieczne?

- Wysyłałaś już tam Dusty'ego?

Callie uśmiechnęła się i przycupnęła przy nim, bardzo blisko.

- Nie. Nigdy nie wysyłamy naszych psów w takie miejsca. Pójdę sama.

- A jeśli będzie kolejny wstrząs wtórny? - Wes poczuł ukłucie strachu.

Twarz Callie rozświetlała nadzieja, jej oczy lśniły z podniecenia. Zaczęła zdejmować kamizelkę i kask, aż została tylko w spodniach i podkoszulku. Zapięła pas ciasniej, przesuwając manierkę w bok, na lewe biodro, tak by nie przeszkadzała jej, gdy będzie się czołgać wąskim tunelem.

Wzruszyła ramionami i odparła:

- Ryzyko zawodowe, Wes. - Spojrzała na Morgana. Na jego twarzy malowały się nadzieja i strach. Wzięła go za rękę i powiedziała: - Pójdę tam i sprawdzę, czy uda mi się

dotrzeć do pańskiej żony. Jeśli tak, ocenię jej stan fizyczny. Biorę ze sobą wodę i dam jej się napić, jeśli tylko będzie przytomna.

Niecka, w której się znajdowali, mogła pomieścić sześć osób. Z punktu widzenia Callie warunki do akcji ratunkowej były doskonałe. Tunel zaczynał się pomiędzy dwoma betonowymi płytami zasłaniającymi wejście. Dlatego nikt go wcześniej nie zauważył i trzeba było Dusty'ego, by go odszukać.

- Zaczekaj... - Wes odpiął od pasa radio i podał je Callie. - Zabierz to ze sobą.

Sierżant Cove i kapral Orlando właśnie dotarli na miejsce. Poprosił sierżanta, by dał mu swoje radio. Na twarzach żołnierzy malowało się oczekiwanie. Wes rozumiał ich nadzieje, ale wiedział również, jak wiele rzeczy może jeszcze pójść nie tak, jak powinno. Przed godziną miał miejsce ostatni wstrząs wtórny. Jednak teraz musieli działać; rozkazał sierżantowi Cove'owi, by przyniósł z namiotów kilka koców.

- Dzięki - powiedziała Callie, przypinając radio do pasa i przesuając je na biodro, by też było bezpieczne w czasie przeciskania się przez tunel. Uklękła przy wejściu i dodała: - Wstrząsy następują mniej więcej co godzinę i piętnaście minut. Możemy założyć, że do następnego mamy jeszcze mniej więcej kwadrans.

Wes położył dłoń na jej drobnym ramieniu. Odwróciła się w jego stronę, zaskoczona. Nagle było mu obojętne, co pomyślał o tym gościu pozostali mężczyźni. Przeciągając palcami po jej skórze, rzekł:

- Tak, mamy dziesięć minut, Callie. A potem musimy stąd uciekać. Nie wiem, ile ci zajmie dotarcie do pani Trayhern.

Spoważniała.

- Albo czy w ogóle mi się to uda. Módlcie się, żebym dotarła do niej na czas.

- Tylko uważaj na siebie - powiedział Wes cichym, rwącym się głosem. Potem nachylił się i szepnął: - Rezerwuję sobie pierwszy taniec w klubie, gdy tylko wrócimy do bazy i wszystko się uspokoi. Obiecujesz?

Jego głos był przepełniony uczuciem. Callie zdała sobie sprawę, że Wes poważnie traktuje ją i rodzącą się między nimi bliskość. Ogarnęła ją radość i przez chwilę rozkoszowała się jego obecnością. Mocniej zacisnęła palce na jej ramieniu. Czuła, że naprawdę się o nią boi.

- W porządku - odszepnęła. Spojrzała na lewy nadgarstek, na fluorescencyjne wskazówki swojego zegarka. - Krzycz do mnie co minutę, dobrze? Kiedy tam wejdem, nie wiem, czy będę miała dość miejsca, by sprawdzić czas. - Uśmiechnęła się z przekąsem. - Taniec, co?

- Tak. Obiecujesz?

- Obiecuję - szepnęła. Uśmiechnęła się do Morgana, który stanął trochę z boku. W jego oczach malowała się niecierpliwość. Odwróciła się i wsunęła do tunelu.

Natychmiast otoczyły ją ciemności. Czołgała się powoli na kolanach osłoniętych skórzanymi ochroniaczami. Każdy ruch, choćby najostrożniejszy, przynosił kolejne otarcia i skaleczenia. Obok czuła pęd świeżego powietrza, chłodzący jej moką od potu skórę. Nagle zrozumiała, jak bardzo się boi. Poświeciła latarką. Wąski strumień światła przesywał atramentową ciemność, odsłaniając rozbite szkło, odłamki betonu i stalowe pręty. Czołganie się przypominało slalom. Kiedy skręciła w prawo, owiał ją pęd zimnego powietrza.

Callie oddychała z wysiłkiem.

- Laura? - zawołała, a potem odczekała chwilę. Żadnej odpowiedzi. Przełknęła ślinę i oblizwała wyschnięte wargi, czując spływającą po czole strużkę potu. Znowu zawołała w głąb tunelu.

- Laura! Słyszysz mnie? To ja, Callie! Przyszłam po ciebie!

- Tak... słyszę cię... jesteś blisko...

Dzięki Bogu! Callie uśmiechnęła się i ruszyła dalej.

- Minuta.

Głos Wesa dobiegł ją dokładnie w chwili, gdy skręciła za róg. Łokcie przeszył ostry ból. W przeciwieństwie do kolan, nie były osłonięte. Nie zważając na ból, posuwała się dalej, z ulgą stwierdzając, że poniżej tunel się rozszerza. Ostrożnie wybierała punkt zaczepienia, opuszczając się w dół. Nie mogła sobie pozwolić na upadek. Gdyby straciła kontrolę nad tym, gdzie opiera ręce, mogłaby przeciąć sobie żyły o wystający kawałek szkła lub metalu.

Czuła wokoło wiele zapachów, a żaden z nich nie był przyjemny. Szczególnie zaniepokoił ją lekki zapach gazu. Do jej wrażliwych nozdrzy dobiegł też odór moczu i ekskrementów. Po czole spływał jej pot. Oddychała ciężko. W świetle latarki zauważyła otwierającą się przestrzeń, szeroką na niewiele ponad metr i tak samo długą. Najwidoczniej w czasie trzęsienia ziemi dwa piętra zawały się jedno na drugie, a pomiędzy nimi pozostała wąska jaskinia, wsparta na dwóch blokach betonu. Po prawej stronie zobaczyła bladą, kobiecą dłoń. Smukłe palce były pokryte pyłem.

Callie przemierzała ostatnie półtora metra dzielące ją od jaskini. Kiedy poruszyła latarką, Laura Trayhern odwróciła się w jej stronę. Jej oczy wpatrywały się w nią z nadzieją i przerażeniem. Leżała na plecach, sufit jaskini wisiał zaledwie pół metra nad jej twarzą.

- Dwie minuty! - zawołał Wes.

- Cześć, Laura - szepnęła Callie, uśmiechając się. - Jestem Callie. - Wyciągnęła rękę i ścisnęła zimną dłoń kobiety.

Uścisk Laury również był mocny.

- Cześć... Dzięki... że przyszedłaś. Zaczęła płakać.

Callie odwróciła się z trudem w ciasnej przestrzeni i odpięła od paska manierkę z wodą.

- Proszę, napij się. Na pewno jesteś odwodniona. - Udało jej się na wpół uklęknąć i podnieść głowę Laury, podsuwając manierkę do jej spierzchniętych, popękanych ust. Kobieta piła bardzo długo. Gruz jeszcze raz zaczął trzaskać i przesuwać się. Czy betonowe piętro zawali się, miażdżąc je pod sobą? Groziło im wielkie niebezpieczeństwo.

Kiedy Laura skończyła pić, Callie zakręciła manierkę.

- Jesteś ranna? - spytała cicho. Podniosła latarkę i przyjrzała się kobiecie.

- Prawa kostka - szepnęła Laura, pokazując dłonią w jej stronę. - Nie mogę jej stamtąd wyciągnąć.

Callie przysunęła się bliżej, uderzając głową o sufit. Ból był tak silny, że przez chwilę zupełnie ją zamroczyło. Stłumiła jęk. Kiedy poczuła na twarzy ciepłą stróżkę, zrozumiała, że rozcięła sobie głowę.

- Tak, widzę... Zaczekaj, spróbuję się tam dostać... - Wcisnęła się głębiej. - Poza tym nic ci nie jest? Jakies inne rany?

- Chyba wszystko w porządku. Tylko ta noga.

- Czy wiesz, że na górze czeka twój mąż? Jest cały i zdrowy. Udało mu się uciec z hotelu tuż przed tym, nim się zawalił.

Laura załkała i przycisnęła dłoń do ust.

- Och, dziękuję ! Dziękuję ci. On żyje! Żyje. Callie zaśmiała się cicho.

- Tak, jest cały i zdrowy. - Uniosła się na łokciu i zaczęła odsuwać bryły betonu, przygniatające kostkę Laury. Na wełnianej spódnicy zauważyła ciemne plamy.

- Trzy minuty.

Cholera! Callie odsłoniła stalowy pręt, który wygiął się, blokując kostkę Laury. Świecąc wokół latarką, znalazła inny pręt, długości około pół metra.

- Nad twoją nogą zgiął się metalowy pręt - wyjaśniła, oddychając ciężko. - Spróbuję go podważyć, żebyś mogła wyciągnąć nogę. To może być bolesne. Nie mam tu za wiele miejsca.

- Rób, co uważasz za słuszne - powiedziała Laura, łkając. - Ja tylko chcę się stąd wydostać. Chcę żyć...

- Cztery minuty.

Jęcząc i stękając, Callie wsunęła w końcu lewar między płytę a pręt. Laura syknęła z bólu.

- Przepraszam - szepnęła Callie, chwytając dźwignię obiema rękami i naciskając z całych sił. Ani drgnęła. Cholera! Stal była gruba na ponad centymetr i na pewno łatwo się nie wygnie. Callie nacisnęła znów, jeszcze mocniej. Słyszała, jak Laura jęczy z bólu. Ocierając czoło drżącą ręką, spojrzała na pręt, który więził Laurę.

- Pięć minut.

Callie chwyciła ciężko powietrze, wpatrując się w stalowy pręt i szukając innego sposobu, by go poluzować.

- Wiesz, w takich chwilach żałuję, że jestem taka drobna. Nie mam dość siły...

- Ja też nie jestem wysoka. To, czego brakuje nam w mięśniach, nadrobimy sprytem.

Callie uśmiechnęła się. Podobała się jej odwaga Laury.

- Dobrze, proszę pani.

- Mów mi Laura. Co chcesz teraz zrobić?

Callie wyjaśniła swój plan, opisując dokładnie pułapkę.

- A jeśli pod dźwignię włożysz kawałek drewna? W ten sposób możesz włożyć więcej siły, prawda?

- Tak... masz rację. Zaczekaj... - Callie zaświeciła wokół latarką.

- Sześć minut.

- Dlaczego oni wołają do ciebie co minutę? - zainteresowała się Laura.

Callie znalazła spory kawałek drewna.

- Co godzinę i piętnaście minut przychodzą wtórne wstrząsy. To znaczy, że do kolejnego zostało nam jakieś pięć minut. Chcą, żebyśmy wyszły na powierzchnię przedtem. Nie wiemy, ile jeszcze wytrzymają te betonowe płyty, więc lepiej, żeby nas tu nie było, kiedy rumowisko zacznie się przesuwać.

Laura skinęła głową. Zrozumiała to, czego Callie nie powiedziała wprost: że wtórny wstrząs może je tu pogrzebać na zawsze.

- Rozumiem, Callie. W takim razie uciekaj stąd, kiedy skończy się czas. Nie ma sensu, żebyśmy zginęły obie, jeśli ściany nie wytrzymają.

Callie zachichotała, wsuwając kawałek drewna pod dźwignię przy kostce Laury.

- Cóż, nie mówiłam im tego, ale tak naprawdę nie obchodzi mnie, ile czasu minęło. Zostanę tu dopóty, dopóki cię nie uwolnię. Tylko dlatego powiedziałam temu porucznikowi na górze, że ma mi podawać czas, żeby go czymś zająć. Dzięki temu nie będzie się tak o mnie martwił.

- To musi być miły gość - Laura uśmiechnęła się lekko. - Może i jesteś drobna, ale masz wielkie serce, Callie. Cieszę się, że tu jesteś...

- W porządku, spróbujemy jeszcze raz. - Callie chwyciła pręt mocno obiema rękami i z całych sił szarpnęła, używając ciężaru ciała, by go przesunąć. - Ruszaj! Do cholery, ustąp wreszcie! - Z całej siły szarpała oporny metal.

- Siedem minut.

Spróbowała jeszcze raz. Ramię bolało coraz mocniej z każdą kolejną próbą. Całe jej ciało krzyczało, żeby przestała, ale ona pchała i pchała dalej, aż w końcu metalowy pręt z trzaskiem przesunął się na bok.

- Udało się! - krzyknęła Laura.

- Osiem minut.

Łapiąc z wysiłkiem powietrze, Callie odrzuciła stalowy pręt i wyciągnęła drewniany klocek.

- W porządku, Laura, teraz wyjaśnię ci, co musisz zrobić. Posłuchaj mnie uważnie i postępuj dokładnie tak, jak powiem, zgoda?

- Dobrze - szepnęła Laura.

Ostry ból przeszywał jej stopę i promieniował w górę, aż do kolana. Czuła się tak, jakby miała zemdleć, poczuła też mdłości. Wiedziała, że mocny ból może wywoływać wymioty, a w tej chwili była to ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła. Starła się skupić całą uwagę na Callie, która wczouła się obok i położyła jej dłoń na ramieniu. Otworzyła oczy. Spocona twarz Callie błyszczała w szarym świetle, wypełniającym wąską wnękę.

- Chcę, żebyś przewróciła się na prawy bok. Musisz zejść z tej półki, na której leżysz. Kiedy się odwrócisz, pociągnę cię za ramiona w dół, na podłogę. Nie bój się, podtrzymam cię, ale musisz być bardzo ostrożna. Na ziemi leży mnóstwo potłuczonego szkła i ostrych betonowych odłamków.

Callie szybko zdjęła rękawice i włożyła je na dłonie Laury. Potem odpięła ochraniacze na kolana i przypięła je Laurze. Kiedy skończyła, położyła jej dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się pokrzepiająco.

- Masz na sobie teraz sprzęt, który umożliwi ci ucieczkę. Ja radzę sobie w takich sytuacjach nawet przez sen. Gotowa?

Laura przełknęła nerwowo ślinę.

- Tak...

- Liczę do trzech. Raz, dwa, trzy... - Callie użyła całej swojej siły, żeby ściągnąć Laurę z półki w tej samej chwili, gdy kobieta odwróciła się na prawy bok. Na szczęście ona również była drobna.

Twarc Laury stężała z bólu. Callie starała się podeprzeć jej prawą nogę, gdy przesuwaly się z półki na podłogę.

- Dziewięć minut, Callie!

- Już idziemy! - odrzyknęła. - Laura jest wolna! Przygotujcie wszystko na jej wyjście!

Ranna była bardzo słaba i chwiała się na nogach. Callie pomogła jej znaleźć wejście do tunelu.

- Wszystko będzie dobrze - szeptała, kładąc dłoń na biodrze kobiety i na wpół prowadząc ją, a na wpół przepychając przez tunel. - Nie musisz się spieszyć, wszystko będzie dobrze. Uda nam się, tylko uważaj na siebie. - Zaświeciła latarką, żeby Laura widziała przed sobą drogę. Czy da radę pokonać pionowy szyb ze złamaną kostką? Callie nie była tego pewna. Droga prowadziła bardzo stromo w górę. Czy Laura miała dość silne ramiona, by podciągnąć się do wyjścia? Oddychając z wysiłkiem, przesuwala się za nią, krok po kroku.

Laura chwyciła występną w poszarpanym betonie i usiłowała podciągnąć się do góry. Mogła sobie pomagać tylko lewą nogą, prawa była całkowicie bezużyteczna. Ból sprawiał, że myślała z przerażającą jasnością.

Czuła, jak Callie popycha ją do góry. Musiały uciec! Jej dzieci potrzebują matki, a ona potrzebuje Morgana! Miłość i tęsknota za rodziną sprawiły, że znalazła w sobie dość sił, by podciągnąć się i wsunąć do ostatniego odcinka tunelu, na którego końcu czekała już ekipa ratunkowa.

Callie czołgała się szybko tuż za Laurą, widziała już wylot tunelu. Wtedy właśnie usłyszała grzmot.

Wstrząs wtórny!

Z ust Callie wyrwał się krzyk. Czuła, jak tunel trzęsie się konwulsyjnie, a napierający beton trzeszczy złowrogo. Rytmiczne wstrząsy miały ją po wąskim korytarzu od ściany do ściany. Laura zdążyła wyjść z tunelu. Callie słyszała krzyki jej i Morgana, kiedy spotkali się na powierzchni. Wciąż czołgała się naprzód, choć wszystko wokół trzęsło się i wibrowało. Nie dbała już o to, że może się pokaleczyć; marzyła tylko o tym, by wydostać się na zewnątrz i uniknąć uwięzienia pod gruzami, jeśli wejście do tunelu się zawali.

Pędziła do przodu tak szybko, jak tylko potrafiła. Kiedy do wylotu zostało kilka metrów, zaczęła jeszcze mocniej odpychać się nogami. Ból. Wyciągając ręce do przodu, wystrzeliła z tunelu jak kula armatnia.

Wes poczuł niewysłowioną ulgę.

- Szybko! - krzyknął łamiącym się głosem. Wokół groźną falą przetaczał się ryk wstrząsu wtórnego. Wes czuł, jak rumowisko pod jego stopami drży i przesuwala się

niebezpiecznie. Wyciągnął ręce, chcąc pochwycić uciekającą z tunelu Callie. Morgan tulił już swoją żonę, prowadził na brzeg ruin, gdzie dwaj żołnierze pomogli im zejść bezpiecznie na ziemię.

Sekundę później Wes trzymał Callie w ramionach. Wydawała się taka drobna i bezbronna... Ziemia zadrżała znowu. W jednej sekundzie stali, w następnej Wes przewracał się na plecy, ciągnąc za sobą Callie. Przede wszystkim pragnął ją chronić. Słyszał jej przerażony krzyk, kiedy padali na ziemię. Wstrząs okazał się o wiele silniejszy, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

Wes uderzył z impetem w twarde, szorstki beton. Ramiona zaciskał na drobnym ciele Callie, chroniąc ją przed upadkiem. Jej głowa spoczywała teraz w zagłębieniu jego szyi. Czuł na skórze gorący, urywany oddech.

- Wszystko w porządku... już dobrze - wyszeptał jej do ucha. - Jesteśmy bezpieczni. Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało... Jesteś już bezpieczna...

Sparaliżowała go myśl, że o mały włos jej nie stracił. Mogła zginąć, tak samo jak zginęła Allison! Upiory przeszłości wróciły, przynosząc otepiający ból. Tak bardzo się o nią bał... Ale w tej chwili mógł tylko tulić ją mocno w ramionach.

Callie była oszołomiona. Kiedy Wes przewrócił się na ziemię, pociągając ją za sobą, znaleźli się jakby we mgle - tak gęsta była chmura kurzu. Czuła jego mocne ramiona, którymi ją chronił.

Słyszała, jak jęknął z bólu, gdy uderzyli o twarde podłoże. Przestraszyła się, że może być ranny, i próbowała oswobodzić się z jego objęć. Ale ich ciała były ze sobą splecione zbyt mocno, a przemieszczające się rumowisko przyciskało ich jeszcze bliżej do siebie. Łapiąc powietrze, Callie słyszała cichnące grzmoty. Wstrząs słabł, przesuwał się w inne rejony. Opadający pył drażnił jej gardło. Zakaszła gwałtownie. Wes powoli usiadł, nie wypuszczając jej z ramion. Nie opierała się. Czuła się tak bezpiecznie...

Po chwili Wes bez słowa rozluźnił uścisk i ujął jej twarz w dłonie.

- Callie? - W jego łamiącym się głosie słychać było strach. I tęsknotę. Gdzie kończy się pożądanie, a zaczyna głębsze uczucie?

Do diabła, nie zamierzał teraz tym zaprzętać sobie głowy.

W betonowej rozpadlinie byli ukryci przed ludzkim wzrokiem, zasłonięci chmurą wolno opadającego pyłu. Jego ludzie myśleli w tej chwili tylko o tym, żeby jak najszybciej przetransportować Laurę Trayhern do namiotu medycznego i zapewnić jej najlepszą opiekę, jaka była możliwa. Wes i Callie byli sami.

Nie odwracała głowy i wpatrywała się w niego błyszczącymi oczami. Tuląc w drżących dłoniach jej twarz, wyszeptał chrapliwym głosem:

- O mało tam nie zginęłaś, Callie...

A potem nachylił się, żeby ją pocałować.

Callie zamarła, gdy ciepłe usta dotknęły jej rozchylonych warg. Widziała w jego przymkniętych oczach tęsknotę i pożądanie. Jeszcze przed chwilą groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo, a teraz tulił ją w ramionach mężczyzna, który jej pragnął. Życie, oto co się liczy. Callie poddała się i nakazała protestującemu rozpaczliwie rozumowi, by zamilkł. Z jakiegoś powodu, mimo że była przeciętna i nieatrakcyjna, Wes jej pragnął. Callie wiedziała, że powodowała nim namiętność, a nie miłość. Jednak gdy przyciskał wilgotne wargi do jej ust, z radością syciła się pocałunkiem. Gładził jej policzki, nachylając się nad nią i całując jeszcze mocniej.

Całą sobą poddała się temu mężczyźnie. Jej piersi przyciśnięte do jego męskiego torsu, jego wilgotne wargi, pijące łączywie z jej ust... Callie zapomniała o otaczających ją nieszczęściach i katastrofach. A więc to takie uczucie - być pożądaną, naprawdę pożądaną. Rozkosz ogarnęła ją porywającą falą i Callie poddała się temu cudownemu uczuciu, otworzyła usta dla jego poszukujących warg. Był silny, ale jednocześnie czuły, i bez wstydu odwzajemniała jego pieszczoty. W jego ramionach poczuła, że żyje, choć jeszcze przed chwilą śmierć omal nie schwyciła jej w swe zimne objęcia.

Czas jakby się dla nich zatrzymał. Kiedy Wes w końcu oderwał usta od jej warg, Callie otworzyła powoli oczy. Było w nich pożądanie... Całe jego ciało eksplodowało pragnieniem. Pieszcząc jej gładkie, zaróżowione policzki i przeczesując palcami zakurzone, potargane włosy, wyszeptał łamiącym się głosem:

- Jesteś taka odważna, Callie... jesteś aniołem, prawdziwym aniołem.

Te słowa były jak balsam dla jej duszy. Jakaś część niej nie mogła w nie uwierzyć, ale inna czuła się jak w niebie. Callie starała się uciszyć ten głos, który mówił jej, że nie powinna w to wierzyć. Gorące spojrzenie ciemnozielonych oczu przenikało ją do głębi. Dotyk rąk, ocierających pył z jej policzków, a potem gładzących niesforne włosy, sprawił, że do oczu napłynęły jej łzy.

- Ja... ja nie wiedziałam... - Głos jej się łamał i nie potrafiła powiedzieć nic mądrzejszego.

Wes przyglądał się jej w skupieniu.

- Czego? Czego nie wiedziałaś? - Znów pogładził potargane włosy, a potem położył dłonie na jej ramionach. Te ramiona, te ręce uratowały przed chwilą od niechybnej śmierci

inną kobietę. Wpatrywał się w nią pytająco. - O czym mówisz, Callie? Powiedz mi, co ci leży na sercu. Widzę w twoich oczach, że coś cię gnębi. Możesz mi wszystko powiedzieć...

Wtedy popłynęły łzy. Callie wiedziała, że płacz nie przystoi oficerowi piechoty morskiej, ale nie potrafiła dłużej go powstrzymać.

- Ty... jesteś taki łagodny, taki delikatny... - Zacisnęła powieki, a łzy złożyły wyraźny ślad na pokrytych pyłem policzkach.

- Mój cudowny aniele - wyszeptał Wes, przyciągając Callie do siebie i tuląc czule. - Nigdy, w całym moim życiu nie spotkałem nikogo takiego jak ty, Callie. Jesteś wyjątkowa. Cudowna. Za każdym razem, kiedy na ciebie patrzę, ciepło mi się robi na sercu. I wtedy zaczynam się bać. Naprawdę bać. - Zaśmiał się krótko, z zakłopotaniem, i pogładził ją po plecach. Jej koszulka była wilgotna od potu i zaczął się martwić, czy Callie się nie zaziębi. - Spodobałaś mi się od pierwszego wejrzenia. Kiedy cię zobaczyłem, stałaś tam, z tymi wielkimi, niebieskimi oczami i cudownymi ustami. - Westchnął i wycisnął gorący pocałunek na jej wilgotnych, splątanych włosach. - A teraz jesteśmy tutaj, na miejscu najgorszego kataklizmu, jaki kiedykolwiek spotkał Stany Zjednoczone... Zrozum, samo to, że spotkaliśmy się właśnie w takich okolicznościach... To zupełnie szalone. I to mnie przeraża. - Wes chciał jej powiedzieć więcej, bo wiedział, że nie znają dnia ani godziny. Poczuł, że chce przeżyć każdą chwilę swojego życia tak, jakby miała być ostatnią. Jednak zamilkł.

Callie leżała obok, a serce waliło jej mocno. Jego słowa były jak balsam gojący stare, niezabliźnione rany. Wes uważał, że ona jest piękna! To było coś niezwykłego, nieznanego, ale mimo to Callie wierzyła w szczerść jego słów. Słyszała ją w jego głosie, kiedy mówił, co do niej czuje. Nieśmiało przesuwając dłoń z silnej piersi w stronę męskiego ramienia, podniosła głowę i zatoneła w jego spojrzeniu.

- Nie wiem, co się ze mną dzieje, Wes. - Głos jej drżał. - Ja też się boję. - Wiedziała, że on jej pragnie, ale nie kocha. Tymczasem dla niej oddzielenie tych dwóch emocji nie było łatwe, a wiedziała, jak niebezpiecznie jest mylić je ze sobą. Musiała pamiętać, że Wes nigdy nie obiecywał jej swojego serca. Nie potrafił wyzwolić się od przeszłości.

- Ja też. Boję się, że cię wystraszę przez to, że jestem taki niecierpliwy. Nie chcę, byś myślała, że prawię ci puste komplementy. Tak nie jest. Nie mógłbym ci tego zrobić... - Zaśmiał się i rozejrzał dookoła. - Niezłe miejsce na to, żeby spotkać kogoś takiego jak ty.

- Wes, mamy dużo pracy...

- Wiem. Ludzie, którzy potrzebują naszej pomocy, są najważniejsi.

Callie skinęła głową i powoli usiadła. Na ustach wciąż czuła smak jego pocałunku. Dotknęła dolnej wargi opuszką palca i spojrzała nieśmiało na Wesa. Zapadający zmrok

wyostrzył jego rysy i sprawił, że z jego twarzy emanowała jeszcze większa siła i zdecydowanie.

- Wes, mam wrażenie, że ogarnia mnie szaleństwo. Nie mogę już się w tym wszystkim połapać... ta katastrofa, ty... i ja...

- Tak, wiem, to wszystko tak szybko się dzieje. - Kąciki jego ust uniosły się nieznacznie.

- Jestem wykończona - wyznała Callie.

- Widzę, że padasz z nóg. Kilka minut temu ledwie uniknęłaś śmierci... - Rzucił okiem na tunel, który po ostatnim wstrząsie wtórnym zamknął się prawie całkowicie. Potem odwrócił się i spojrzał na Callie.

- Jesteś najwspanialszą, najodważniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Twoja praca jest taka niebezpieczna...

Ciepło jego głosu przenikało ją na wskroś. W zapadającym zmroku powietrze staowało się coraz chłodniejsze i jej spoconym ciałem raz po raz wstrząsały dreszcze. Wes zdjął kurtkę i otulił ją troskliwie. Callie po raz kolejny zaskoczyła jego opiekuńczość.

- Czytasz w moich myślach? - spytała, z wdzięcznością wtulając się w ciepłą kurtkę. Z przyjemnością patrzyła, jak jego twarz rozjaśnia chłopięcy uśmiech. Wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Nie, zazwyczaj nie, ale ty jesteś wyjątkiem. Chodź. Z tyłu humvee przyszykowaliśmy dla ciebie poślanie. Możesz się tam położyć i trochę zdrzemnąć.

Callie pogłaskała Dusty'ego, który cały czas siedział grzecznie przy nodze. Pies zamachał ogonem.

- To wspaniale. On też zasłużył sobie na odpoczynek. Dzięki.

Chwyła wyciągniętą rękę Wesa. Drugą podniosła smycz, a Dusty ustawił się karnie przy nodze, gotowy do drogi. Kiedy Callie wyprostowała się, napotkała badawczy wzrok Wesa.

- Co się stało? - spytała.

- Wcale nie żałuję tego, że cię pocałowałem. Ani tego, że cię pożądam.

- Ja też niczego nie żałuję, Wes.

I rzeczywiście, nie żałowała, choć czuła strach większy niż kiedykolwiek w życiu. Kiedy schodzili w dół po rumowisku, zastanawiała się, czy to, co się stało między nimi, było tylko wynikiem sytuacji. Wiedziała z własnego doświadczenia i obserwacji, że w warunkach kryzysowych ludzie często zachowywali się gwałtownie i nieodpowiedzialnie, i dokonywali

nieprzemyślanych wyborów, których normalnie nigdy nawet by nie rozważali. Czy to właśnie działo się z nimi?

ROZDZIAŁ 6

2 stycznia, godzina 23.00

Callie zataczała się ze zmęczenia, kiedy szła w stronę obozu. Widziała z daleka, jak sierżant Cove zakłada na złamaną nogę Laury Trayhern prowizoryczne łąpki, żeby unieruchomić staw. Niedaleko zaparkowanego humvee rozłożono dla niej dwie ochronne kurtki i kilka koców. Każda ofiara kataklizmu, unieruchomiona przez kilka dni i pozbawiona odpowiedniego ubrania, była narażona na hipotermię.

Callie polubiła sierżanta Cove'a. Ten doskonały lekarz był uosobieniem spokoju i niezależnie od okoliczności sypał żartami jak z rękawa. Ponieważ nie dysponował noszami, na których mógłby położyć Laurę na czas zakładania łąpek, wybrał kawałek trawnika przed namiotami, oczyścił go z odłamków i przykrył kocami.

Morgan Trayhern klęczał przy żonie, trzymając jej drobną, zakurzoną dłoń. Delikatnie przyciskał ją do własnej piersi i cicho przemawiał, uspokajając Laurę, podczas gdy sierżant Cove zajmował się złamaną kostką.

Wes chwycił Callie pod ramię przy zejściu z rumowiska. Miała wielką ochotę oprzeć się na nim, ale to byłoby wbrew zasadom. Wojsko bardzo niechętnie patrzyło na jakiegokolwiek przejawy uczuć między żołnierzami. Zamiast tego podniosła głowę i zatopiła wzrok w jego zatroskanym spojrzeniu. Poczuła na ustach lekkie łaskotanie, kiedy przypomniała sobie gorący, namiętny pocałunek.

W świetle wojskowych lamp wszystko wydawało się nierealne, jak ze snu. Wes wciąż stał przy Callie, ale z żalem musiał puścić jej rękę. Był przecież dowódcą drużyny i nie mógł sobie pozwolić na okazywanie uczuć na oczach podkomendnych.

Callie uśmiechnęła się z wysiłkiem i podeszła do Morgana.

- Jak się czujesz? - spytała Laurę.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi prawie niezauważalnie. Na jej twarzy malowało się ogromne zmęczenie.

- Lepiej, już o wiele lepiej... Dziękuję ci. Uratowałaś mi życie.

Callie poklepała grzbiet Dusty'ego, który stał przy nodze i machał entuzjastycznie ogonem.

- Nie, to on cię uratował. Gdyby nie on, pewnie nigdy byśmy cię nie znaleźli. To jemu należą się podziękowania.

Wes również podszedł bliżej.

- Zaraz po tym, jak wydostała się pani z tunelu, tunel zaczął się zapadać. Kiedy porucznik Evans z niego wyskoczyła, ściany już się waliły. Ona i jej pies uratowali pani życie. Gdyby nie znaleźli pani na czas, te tony gruzu pogrzebałyby panią na zawsze. Mieliśmy ogromne szczęście.

Morgan spojrzał na żonę i mocniej ścisnął jej rękę.

- Dobry Boże...

Laura westchnęła głośno i zamknęła oczy. Spod przymkniętych powiek płynęły łzy. Nie miała siły mówić, ścisnęła tylko mocniej silną, ciepłą dłoń męża.

Morgan podniósł głowę i spojrzał na nich.

- Kiedy ten koszmar się skończy, Callie, do twojej jednostki wpłynie czek na pokazną sumę. W ten sposób chcę ci podziękować. Zaslugujesz na medal za to, co zrobiłaś. Gdybyś tam wtedy nie poszła, gdybyś nie walczyła o nią do ostatka, Laura już by nie żyła. - Głos mu się załamał, kiedy spojrzał jeszcze raz na żonę. Odgarnął jej z policzka splątane, pokryte pyłem włosy. - Nie chcę nawet myśleć o tym, jak wyglądałoby nasze życie bez niej...

Callie widziała ich spojrzenia, a to, co wyrażały, głęboko zapadło jej w serce. Rzuciła okiem na Wesa, który mrugnął do niej, a potem odsunął się na bok.

- Kapral Orlando! - zawołał.

Orlando stał przy samochodzie od strony kierowcy, w rękę trzymał radio.

- Tak jest!

- Czy kontaktowaliście się z załogą hueya w Camp Reed? Czy już wiedzą, że potrzebujemy natychmiastowej pomocy medycznej?

Orlando skinął głową.

- Tak, rozmawiałem z nimi. - Spojrzał na zegarek na grubym nadgarstku. - Wygląda na to, że mamy szczęście. Jeden ze śmigłowców zboczył ze swojej normalnej trasy i leci do nas. Zostawi tu zaopatrzenie, które wiozł do innego sektora, i zabierze panią Trayhern. - Uśmiechnął się. - Przyda nam się więcej zapasów. Kiedy wyładujemy z maszyny namioty, żywność i wodę, będzie w niej dość miejsca, żeby mogła zabrać panią Trayhern i jej męża do bazy. Tam zajmą się nią lekarze ze szpitala polowego.

Wes skinął z zadowoleniem głową.

- W porządku, kapralu. Dziękuję.

Wes chciałby zostać dłużej przy Morganie i jego żonie, ale nie mógł. W dole ulicy widział kolejną grupkę cywilów, najwyraźniej okolicznych mieszkańców, zmierzających w ich kierunku. Przez cały dzień wysyłał ludzi i maszyny w boczne uliczki, na poszukiwanie

uwięzionych pod gruzami ofiar. Ponieważ na razie Callie nie znalazła nikogo żywego w ruinach hotelu oprócz Laury Trayhern, Wes postanowił wycofać z rumowiska ciężki sprzęt i wykorzystać go gdzie indziej. Wiedział, że w razie potrzeby będzie go można z łatwością ściągnąć z powrotem.

Kątem oka widział, jak Callie siada na krawężniku i poi Dusty'ego wodą. Jej twarz była szara z wyczerpania. Ochronna kurtka wydawała się na nią zbyt duża. Wesa znów ogarnęło wzruszenie. Przypomniawszy sobie, jak odważną duszę kryła w sobie ta drobna postać. Bał się uczuć, które Callie w nim wyzwalala.

Sierżant skończył opatrywać kostkę Laury i wstał. Na jego twarzy malował się wyraz zadowolenia. Morgan troskliwie otulał żonę wojskowymi, zielonymi kocami. Dbał o to, by nie było jej zimno.

Wes otworzył bagażnik terenowego humvee i obejrzał prowizoryczne łóżko, które jego ludzie przygotowali z tyłu wozu. Namioty, które dotychczas dostali z bazy, posłużyły jako magazyny na sprzęt i zapasy żywności. Tylko dzięki temu, że śmigłowiec powinien wkrótce przylecieć poza kolejnością z drugą partią zaopatrzenia, Wes mógł myśleć o rozstawieniu namiotów dla siebie i swoich ludzi. Do tej pory wszyscy ucinali sobie tylko czterogodzinne drzemki w samochodzie. Cóż, to i tak lepsze niż nic.

Callie wstała i ruszyła w jego stronę. Kiedy podeszła do samochodu, powiedział:

- Wsiadaj. To będzie twój dom na najbliższe kilka godzin. Musisz się trochę przespać, inaczej padniesz.

Callie popatrzyła na koce rozłożone z tyłu humvee. Poślanie wyglądało na przestronne i wygodne, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Czy mój pies może spać ze mną? On też jest wykończony. Wes uśmiechnął się i skinął głową.

- Jasne, żaden problem. Czy w domu też śpisz razem z nim?

Callie posłała mu kose spojrzenie, a potem poklepała ręką podłogę wozu. Dusty natychmiast wskoczył do środka.

- Nie. Kiedy z nim nie pracuję, Dusty zostaje w psiarni w bazie. Z przyjemnością zabierałabym go do domu, ale przepisy na to nie pozwalają. Mam mieszkanie w Oceanside, ale w tych okolicznościach trudno by mi było do niego dotrzeć.

- Jasne, wiem o czym mówisz - mruknął Wes. - Przecież większość z nas mieszka w Oceanside. Słyszałem przez radio, jak mówili, że ekipy ratownicze są lokowane w hotelu oficerskim na terenie bazy. To zwyczajny hotel, z wszystkimi wygodami. Miłe miejsce, żeby odpocząć i zregenerować siły po kilku dniach pracy tutaj.

Callie weszła do samochodu.

- Mogłoby być o wiele gorzej - powiedziała. - To doskonałe miejsce, żeby porządnie się umyć i przespać. - Schyliła się i zaczęła rozsznurowywać wysokie, wojskowe buty. - Łóżko. Gorący prysznic. Marzenie... wiele bym teraz dała za gorącą kąpiel... - Zmarszczyła nos i uśmiechnęła się łobuzersko. Pachniała potem, kurzem i smarem.

Wes wyciągnął rękę i ścisnął jej ramię.

- Mam dobre wieści dla nas wszystkich. Dowództwo organizuje kolejną grupę, która ma przejąć ten rewir i zluzować nas. Z tego co wiem, przyznano nam dwadzieścia cztery godziny wolnego na odpoczynek w bazie. Będziesz miała swój ciepły prysznic, miękkie łóżko i normalne jedzenie... - Miał ochotę dodać: „i noc w moich ramionach”, ale nie zrobił tego.

- To wspaniała wiadomość! Przyślą też ratowników z psami?

- Tak. Sierżant Lucy Perkins cię zastąpi.

- Tak się cieszę!

Pod oczami miała głębokie cienie. Dłonie jej się trzęsły, gdy usiłowała rozplątać sznurowadło. Pochylił się nad nią, mówiąc:

- Zostaw, ja to zrobię. Szybko rozwiązał sznurowadła.

- Dzięki, Wes... Czuję się tak, jakby to były nie moje ręce, taka jestem zmęczona.

Padam z nóg...

- W porządku, zdrzemnij się.

Callie wyglądała jak porzucony psiak, kiedy odsunął się, żeby zamknąć tylne drzwi humvee. Jeśli dobrze odczytał spojrzenie jej błękitnych oczu, chciała, by został przy niej, tulił i kochał tak, jak sam o tym marzył. Przystając z wahaniem, z dłońmi wciąż opartymi na drzwiach samochodu, powiedział gardłowym głosem:

- Jeśli spojrzysz na mnie tak samo w hotelu oficerskim, trafisz wprost do mojego łóżka i w moje ramiona.

Zamknął drzwi.

Callie siedziała nieruchomo, a wspomnienie jego słów otulało ją jak ciepły, cudowny szal. Znowu czytał w jej myślach! Nie przestawał jej zadziwiać. Patrzyła, jak mija samochód i rusza przed siebie. Od zachodu dobiegał ją warkot nadlatującego śmigłowca. To dobrze. Laura i Morgan polecą nim do bazy. Tam zaopiekują się nią najlepsi specjaliści ze szpitala wojskowego, który cudem uniknął zniszczeń podczas trzęsienia.

Callie położyła się na kocach i przytuliła do Dusty'ego. Pies spał spokojnie. Noc była chłodna. Przykryła się wełnianym kocem i podłożyła rękę pod głowę, a po chwili spała już głębokim, twardym snem.

3 stycznia, godzina 6:00

Wes obudził się gwałtownie. Od trzech godzin spał w fotelu kierowcy. Światło brzasku miało dziwny, brązowoszary kolor i wcale mu się to nie podobało. Wyprostował się, potarł zmęczone powieki i przeciągnął dłonią po policzku. Powinien się ogolić, ale nie miał o tym nawet co marzyć. Woda była zbyt cenna, żeby marnować ją na takie fanaberie. Poprzedniego wieczoru śmigłowiec przywiózł do ich sektora nową drużynę ratowników, a także koce, namioty, łóżka polowe, trochę leków, jedzenie i właśnie wodę. Na gruzach hotelu zauważył młodą kobietę z owczarkiem niemieckim. Domyślił się, że to sierżant Lucy Perkins. Zanim poszedł do samochodu na kilka godzin zasłużonego snu, wydał jeszcze rozkazy swoim ludziom, żeby rozstawili namioty.

Teraz widział dwa z nich, stojące tuż obok samochodu - po drugiej stronie czegoś, co jeszcze kilka dni temu było chodnikiem. Pod każdą plandeką mieściły się dwa składane łóżka. Spod wejściowych klap wystawały obute stopy żołnierzy, dla których, podobnie jak dla Wesa, była to pierwsza od wielu godzin okazja do krótkiego snu.

Uniósł się lekko i ostrożnie odwrócił w fotelu. Dokładnie za nim spała Callie. Leżała na boku, z ręką pod głową. Choć była umorusana i zmęczona, widział jej pełne usta, łagodną krągłość piersi, ukrytych pod kocem, i cień, rzucany na policzki przez gęste, długie rzęsy. Była drobna i z pozoru delikatna, ale jednocześnie kryła się w niej niezwykła odwaga. Kto by pomyślał, że będzie ryzykować życie tak jak ostatniej nocy?

Wes uśmiechnął się lekko. Dusty leżał przy swojej pani, chrapiąc głośno. Jemu też należały się wielkie brawa. Gdyby nie on, nigdy nie odnaleźliby Laury Trayhern.

Znów przeniósł wzrok na Callie. Ogarnęła go nieprzeparta chęć, by jej dotknąć. Marzył o tym, żeby obudzić ją pocałunkiem. Chciał wziąć ją w ramiona i dzielić z nią najwspanialsze chwile uniesień.

Sięgnął pomiędzy oparciami i pogładził jej splecione włosy. Rozum mówił mu, że nie może posunąć się dalej. W końcu był jej dowódcą i obowiązywały go pewne zasady. Nie, będzie musiał cierpieć w milczeniu i zajmować się innymi, bardziej pilnymi sprawami.

Wysunął się ostrożnie z samochodu i zamknął za sobą drzwi, starając się nie obudzić Callie ani Dusty'ego. Przeciągnął się i rozejrzał. Powietrze było wilgotne i chłodne, a zachmurzone niebo zwiastowało kolejny ponury dzień. Przygnębiła go ta myśl. Z pobliskiej rafinerii wciąż wydobywał się dym, który zaciągał niebo ciężkim całunem. W dole ulicy widział ogniska rozpalone na trawnikach przed ruinami domów. Wokół gromadzili się ludzie, starając się choć trochę ogrzać. Nie było czasu do stracenia. Wes podszedł do jednego z namiotów i potrząsnął wystającymi z niego butami, budząc sierżanta. Czekало ich mnóstwo

pracy. Czas pracował na ich niekorzyść, a w ruinach czekali być może kolejni uwięzieni ludzie, których szanse przeżycia malały z każdą chwilą. Musiał jak najszybciej porozmawiać z nową ratowniczką.

3 stycznia, godzina 7.00

- Hej, śpiochu...

Callie jęknęła. Jak przez mgłę usłyszała głos Wesa. Kiedy poczuła, że ktoś chwyta ją za ramię i potrząsa lekko, otworzyła z wysiłkiem oczy. Dusty zerwał się na cztery łapy i uderzał ją miarowo ogonem, merdając wesoło. Jęknęła znowu.

- Uhm... Która godzina? - zamruczała, siłą woli zmuszając się, by usiąść. Koc zsunął się z niej i zrolował wokół pasa. Czowała się poobijana, całe ciało miała obolałe.

Wes nachylał się do środka humvee przez tylne drzwi. Z dwudniowym zarostem wyglądał nieomal groźnie, ale w jego oczach widziała wesołe iskierki. Przeczesała palcami skłębione włosy. W tej chwili żałowała, że nie ma ze sobą grzebienia.

- Pora wstawać. Już siódma. Pozwoliłem ci spać tak długo, jak tylko mogłem. Sierżant Cove przygotował racje żywnościowe z jajkami, przyleciały wczoraj ze świeżą dostawą. Zjesz z nami śniadanie?

Tak bardzo chciałby wziąć ją teraz w ramiona! Wyrwana ze snu, wyglądała niewinnie, a jednocześnie bardzo pociągająco. Powieki miała lekko spuchnięte, usta rozchylone. Jak by to było, budzić się obok niej? Zmusił się, by odejść od samochodu. Dusty natychmiast wyskoczył na ziemię. Callie wyszła za nim, podnosząc z ziemi smycz. Otuliła się kurtką. Poranek był bardzo chłodny.

- Za chwilę do was dołączę - powiedziała rozspanym głosem.

Wes skinął głową i odszedł w stronę prowizorycznych toalet. Poprzedniego dnia kazał swoim ludziom postawić dwie drewniane konstrukcje, z których teraz korzystali zarówno oni, jak i okoliczni mieszkańcy. Wiedział, że jednym z najważniejszych zagrożeń klęsk żywiołowych są choroby zakaźne. Dlatego kiedy tylko znalazły się maszyny, rozkazał wykopać doły i postawić toalety.

Callie wciąż jeszcze była na wpół przytomna, gdy weszła do namiotu, w którym cała drużyna jadła śniadanie. Namioty były na tyle wysokie, by można w nich było stanąć. Po bokach stały dwa łóżka, na jednym siedziało dwóch żołnierzy piechoty morskiej, na drugim Wes. Kolejni dwaj żołnierze usadowili się na podłodze.

- Pani porucznik - zaczął sierżant Cove i wręczył jej gorącą rację żywnościową - na dzisiaj dla pani i psa przygotowaliśmy ostatni namiot po tamtej stronie. - Uśmiechnął się. - Jest tam łóżko, koce i poduszki. Co pani na to?

Callie usiadła na podłodze przy wejściu. Miała ochotę zająć miejsce obok Wesa, ale bała się ostentacji. W jego oczach widziała to samo pragnienie, choć na pewno on też by się zgodził, że rozsądniej było nie siadać obok siebie.

- Sierzancie, na pewno będzie mi tam jak w niebie. Dziękuję!

Z apetytem zabrała się za śniadanie. Oczywiście, nie były to prawdziwe jajka, ale sproszkowany półprodukt, zalany gorącą wodą. Jednak w tej chwili zadowoliliby się byle czym. Sierżant pomyślał też o Dustym, na którego w misce czekała podgrzana racja z wołowiną.

Wes mechanicznie podnosił do ust plastikową łyżkę, prawie nie czując smaku jedzenia. Niezależnie od nazwy, wszystkie „dania” przygotowane ze sproszkowanych racji wydawały się smakować tak samo: jak zmielony karton. Nie mógł jednak nie odnotować, że obecność Callie pozytywnie wpływa na wszystkich obecnych. Już wcześniej zauważył, że żołnierze zachowują się lepiej, jeśli pracują w mieszanych zespołach. Podobało mu się to.

Callie spojrzała na Wesa.

- Co mamy dzisiaj w planie?

- To samo co wczoraj. Ty kontynuujesz poszukiwania na gruzach hotelu Hoyt, chcę też, żebyś wprowadziła w sytuację sierżant Perkins, która od rana przeszukuje te rejony, których ty jeszcze nie sprawdziłaś. Ja zabieram moich ludzi i sprzęt budowlany do pomocy cywilom, których domy zostały zniszczone. Jeśli znajdziesz w gruzach rannych lub zabitych, daj mi znać przez radio, a przyślę do ciebie dźwig, żeby pomógł w ich wydobyciu.

- Jeśli Dusty znajdzie kogoś żywego, pomożesz nam?

- Możesz na mnie liczyć. - Wes spojrzał na niebo. - Zbiera się na deszcz.

Callie popatrzyła niewesołym wzrokiem na ciemne chmury nadciągające znad oceanu.

- W czasie deszczu moja praca jest jeszcze bardziej niebezpieczna. Rumowisko staje się śliskie i zdradliwe.

Wes miał wielką ochotę powiedzieć jej, żeby była ostrożna, ale ugryzł się w język. Musiał pamiętać o tym, że jest wojskowym, i jego podkomendni nie powinni widzieć, jak faworyzuje jednego z nich. Pod żadnym pozorem nie mógł dopuścić do tego, by ktokolwiek zauważył, co dzieje się pomiędzy nim a Callie. Posłał więc Callie tylko krótkie, porozumiewawcze spojrzenie, które mówiło jej wszystko bez słów. Taką przynajmniej miał nadzieję.

- W porządku, zabierajmy się do roboty - rzucił rozkazującym tonem. - Liczy się każda minuta. Spotykamy się tu wszyscy o dwunastej w południe, wtedy ustalimy dalsze plany. Szeregowy Bertram, zostaniecie przy samochodzie i będziecie nadzorować komunikację

radiową pomiędzy naszym centrum dowodzenia a bazą. Ja razem z ludźmi i sprzętem będę na Marshal Street. - Poklepał wiszący przy pasku telefon komórkowy. - W razie potrzeby dzwońcie do mnie.

Bertram skinął głową.

- Tak jest.

Wes wiedział, jak cenne stały się teraz telefony komórkowe. Jedyne problem polegał na tym, że okolica była pozbawiona prądu, nie było więc jak ładować baterii. Co prawda, mieli generator na ropę, ale on wystarczał tylko na tyle, żeby zasilać radiostację i komputer w namiocie dowódcy, a nocą kilka latarni.

Callie skończyła jeść. Założyła Dusty'emu skórzane ochraniacze na łapy, a potem kamizelkę w jaskrawym, pomarańczowym kolorze. Jeszcze tylko kask, który zostawiła w samochodzie, i będzie gotowa. Kiedy skończyła się ubierać, zaczęło padać. Zły znak na początek dnia. Kurtka leżała w przeznaczonym dla niej namiocie, na łóżku. Co prawda, była nieprzemakalna, ale tylko do pewnego momentu. W styczniu temperatura rzadko przekraczała dwanaście stopni, a w deszczu, kiedy wilgoć powoli przesiąka przez kolejne warstwy ubrania, można przemarznąć do szpiku kości.

Przed wyjściem Callie pożegnała się z całą drużyną, uśmiechając się i podając wszystkim po kolei rękę w skórzanej rękawicy.

- Uważajcie na siebie, chłopaki. Do zobaczenia o dwunastej.

Wes posłał jej przelotne, bardzo gorące spojrzenie, a jej serce zaśpiewało z radości i poczuła się tak, jakby ktoś nagle dodał jej skrzydeł. Czekał ją kolejny ciężki dzień.

3 stycznia, godzina 12.00

Cała drużyna stłoczyła się w namiotach, by zjeść południowy posiłek. Callie przysiadła obok Wesa na jednym z łóżek. Naprzeciwko zajęli miejsca sierżant Cove i kapral Orlando. Na zewnątrz słychać było monotonny, nieprzerwany szum deszczu. Reszta drużyny, w tym Lucy i jej pies, zgromadziła się w drugim namiocie. Callie pałaszowała gorącego kurczaka z makaronem. Dusty siedział przy nodze, pożywiając się racją żywnościową przygotowaną przez kaprala.

- Jak ci idzie? - zapytał Wes. Cały ranek spędził razem ze swoimi ludźmi na Marshal Street. Martwił się o Callie i Lucy, które przeszukiwały rumowisko w zimnie i deszczu. Jakby tego było mało, w ciągu dnia wydarzyło się kilka wstrząsów wtórnych. Za każdym razem, kiedy ziemia drżała, Wes miał ochotę biec w stronę hotelu i sprawdzać, czy nikomu nic się nie stało. Starał się jednak opanować niepokój i skupić na tym, co sam miał do zrobienia. Pod gruzami domów na Marshal Street też mogli być żywi ludzie.

- Nie najlepiej - odparła niewesoło. - Postanowiłyśmy z Lucy, że teraz skupimy się na froncie hotelu. Wszystkie sektory z tyłu zostały już sprawdzone.

- Uważam, że i tak mieliśmy dużo szczęścia, że udało nam się znaleźć chociaż jedną żywą osobę - powiedział Wes, jedząc z apetytem. Ucieszył się, kiedy Callie usiadła obok niego. Marzył o tym, żeby objąć ją, tulić i całować, ale nie mógł tego zrobić. Nie tutaj.

- Wiem - westchnęła Callie. - Ale trzeba zawsze mieć nadzieję, nawet w beznadziejnej sytuacji. - Kiedy był obok, nie potrafiła myśleć racjonalnie. Jego żarliwe, gorące spojrzenia rozpałały ją równie mocno, jak delikatny dotyk. Całe jej ciało wypełniła tęsknota.

- Czy w takich sytuacjach jak ta często znajdujecie żywych ludzi pod gruzami? - spytał kapral Cove.

- Zwykle niewielu, zazwyczaj tylko kilku - odparła Callie. Deszcz bębnił donośnie w nieprzemakalne pokrycie namiotu. - Taka pogoda pogarsza sprawę. Kiedy pada, uwięzione pod gruzami ofiary o wiele szybciej mogą popaść w hipotermię, a nawet umrzeć. Ich szanse na przeżycie gwałtownie maleją.

- To prawda - przytaknął Orlando, a w jego głosie słychać było smutek. - Spotkaliśmy się z takimi sytuacjami.

Callie spojrzała na Wesa.

- A wam udało się kogoś znaleźć?

Skinął głową i przełknął ostatni kęs. Wyrzucił pustą torebkę do worka na śmieci i powiedział:

- Na razie trzy do jednego. Uwolniliśmy spod gruzów trzy żywe osoby. Czwarta... cóż, to był starszy człowiek i nie wytrzymał tak długo.

- To okropne - szepnęła Callie. Uśmiechnęła się do nich pocieszająco. - Ale trzy osoby udało się wam uratować. To wspaniale.

- Teraz problem w tym, żeby zapewnić im pomoc medyczną - powiedział Wes.

- Mamy za mało lekarstw - dodał Orlando. - Tylko aspirynę. Żadnych antybiotyków ani środków przeciwbólowych. - Spojrzał na Cove'a. - Oczywiście, bardzo cenimy waszą pomoc, sierżancie. To wspaniale, że możemy liczyć na doświadczonego lekarza.

Cove skinął głową.

- - Wiem, o czym mówicie. Ci ludzie nie mają nawet dachu nad głową, a do tego od rana pada. Czy możemy im jakoś pomóc?

- Niestety, nie. Okoliczni mieszkańcy zorganizowali się w grupy i przeszukują teren, szukając kawałów drewna i cegieł, z których mogliby zbudować prowizoryczne schronienie.

Logistyka dopiero zaczęła opracowywać plan działania. Niewielkie zapasy leków, jakimi dysponował szpital wojskowy, już dawno zostały rozesłane w teren. Wes wiedział, że dowództwo starało się o dalsze dostawy, ale to mogło potrwać jeszcze parę dni. Na całym Wschodnim Wybrzeżu organizowano pomoc dla dotkniętego katastrofą rejonu Los Angeles. Kiedy bezcenne antybiotyki i środki przeciwbólowe dotrą wreszcie na miejsce, na pewno rozejdą się błyskawicznie. Do tej pory wszyscy będą musieli jakoś znieść ból.

- Pani Daltry z Marshal Street uruchomiła jadłodajnię, w której gotuje zupy dla okolicznych mieszkańców. - W głosie Orlanda słychać było nutkę dumy. - Ta kobieta to prawdziwa święta. Ludzie z całej okolicy zaczynają działać wspólnie, przynoszą wszystkie puszki i zapasy jedzenia, które udaje im się wydobyć z ruin, do jej domu. Pracują razem, by jakoś przetrwać.

- Będą musieli sobie poradzić - zauważył ponuro Wes. - Rozmawiałem dziś rano z pilotem śmigłowca. Powiedział mi, że jak na razie wciąż nie ma ani jednej drogi prowadzącej do kotliny Los Angeles. Żaden pojazd nie jest się w stanie przedostać, żeby dostarczyć zapasy jedzenia i wody. Ci ludzie naprawdę są zdani na siebie. Załoga Camp Reed wciąż pracuje nad oczyszczaniem dróg, ale na to potrzeba czasu. Dopiero kiedy będzie można uruchomić konwoje samochodów z zaopatrzeniem, sytuacja się poprawi. Na razie jesteśmy zdani na śmigłowce. Wszystkim będzie naprawdę ciężko.

Callie skinęła głową.

- Tak, widziałam takie sytuacje w Turcji i w Meksyku. Ludzie albo zaczynają ze sobą współpracować, albo kradną i rabują, a każdy myśli tylko o sobie... wtedy człowiek potrafi nawet zabić, żeby zdobyć trochę jedzenia. Są tylko takie dwie możliwości.

- Żałuję, że nie mamy żadnych pisemnych instrukcji, jak postępować w takiej sytuacji. Ludzie wciąż zwracają się do nas, oczekują, że dostarczymy im żywność, leki, wodę... A my nie mamy takich zapasów. Szpital polowy w Camp Reed przyjmuje tylko najcięższe przypadki. Wciąż musimy podejmować decyzje, kogo tam wysłać. Pilot mówił mi, że w bazie przestają już sobie radzić, mają tak dużo chorych i rannych. Transportowce C - 141 i herkulesy mogą już korzystać z lotniska, więc najciężej ranni, którzy wymagają operacji, są przewożeni do któregoś z miast na Zachodnim Wybrzeżu.

- Widzę, że Camp Reed stało się centrum wszystkich działań ratowniczych - zauważyła Callie. Pochyliła się i podrapała Dusty'ego za uszami. Pies podniósł łeb i spojrzał na nią, a spojrzenie jego złotobrzowych oczu wyrażało niczym niezmacone uwielbienie.

- To prawda - potwierdził Wes - ale to przekracza nasze siły. Nie ma możliwości, żeby pojedyncza baza wojskowa, choćby największa, rozwiązała problem dziesiątków tysięcy

ludzi, którzy po tym trzęsieniu ziemi pozostali bez dachu nad głową. - Pokiwał smutno głową.
- Nie, to tylko początek koszmaru. Kiedy skończą się zapasy wody i żywności, ludzie wpadną w panikę.

- Nie zapominajmy o zagrożeniu chorobami - wtrącił sierżant Cove. - Wiem, że ludzie w tej okolicy są przyzwyczajeni do picia nieprzegotowanej wody. Jestem lekarzem i zdaję sobie sprawę, że to najprostsza droga do epidemii. Cholera i tyfus pojawią się szybciej, niż ktokolwiek by się spodziewał. Ludzie nigdy nie słuchają, gdy się ich ostrzega. A kiedy pojawi się biegunka i odwodnienie organizmu, trudno im będzie pomóc. Jest jeszcze jeden problem: nie ma prądu, więc rośnie ryzyko zatruc pokarmowych. Właściwie ludzie powinni używać tylko puszek, ale głód jest wrogiem rozsądku. Boję się, że z czasem sytuacja będzie się pogarszać.

- Potraficie oddać otuchy, chłopaki. - Callie postanowiła rozładować nieco ponury nastrój. Lepiej niż ktokolwiek z obecnych wiedziała, jakie zagrożenia wiążą się z katastrofą tej skali. Takie perspektywy mogłyby załamać największego optymistę.

Wes studiował twarze podkomendnych. Od rana wszyscy pracowali z całych sił, pomagając usuwać potrzaskane belki i stopy cegieł z domów, w których mogli znajdować się ranni. Widział, że są na skraju fizycznego wyczerpania, ale zauważał też ich zacięte spojrzenia. Ci ludzie byli gotowi jeszcze długo pracować ponad siły, bez słowa skargi, by znaleźć i uratować uwięzionych pod gruzami.

Przeniósł wzrok na Callie. Na jej twarzy malowało się to samo skrajne wyczerpanie. Mimo to samo patrzenie na nią sprawiało, że w jego serce wstępowała nowa nadzieja. Jej łagodne podejście do ludzi i wrodzona delikatność miały dobroczynny wpływ. Obserwując twarze żołnierzy, widział, że jej obecność nie tylko na niego działa kojąco. W jakiś sposób sprawiała, że wstępowały w nich nowe siły. Ciekawe, czy była tego świadoma.

- W porządku - powiedział. - Bierzmy się do roboty. Mamy jeszcze wiele do zrobienia.

ROZDZIAŁ 7

3 stycznia, godzina 16.00

Callie przemierzała rumowisko, szcękając z zimna zębami. Razem z Dustym ślizgała się po pokrytych wodą odłamkach, z trudem zachowując równowagę. Choć deszcz nieco zelżał, wciąż nie przestawało padać. Callie przemokła do suchej nitki i mimo że była nieustannie w ruchu, zaczynała powoli przemarzać. W dole, na Palm Boulevard, trwał nieustający ruch. Wes zaczynał jej przypominać policjanta z drogówki, kierującego coraz większą liczbą ludzi, którzy zgłaszali się do niego po pomoc, radę i zaopatrzenie.

Doskonale wiedziała, pod jaką presją musi teraz znajdować się Wes. Wszyscy oczekiwali od niego pomocy, podczas gdy w rzeczywistości jego możliwości były bardzo ograniczone. Po południu nie udało się znaleźć więcej żywych na Marshal Street, więc ciężkie maszyny pracowały teraz przy odgruzowywaniu terenu na zachód od hotelu. Wes został przy centrum dowodzenia, kierując rannych do swojego namiotu, który przeznaczył na ambulatorium. Callie zastanawiała się, gdzie będzie spał. Przeszło jej przez myśl, że w jej namiocie jest jedno wolne łóżko. Czy on je zajmie? To bardzo prawdopodobne. W wojsku zdarzało się, że kobiety i mężczyźni z jednej jednostki spali w tym samym pokoju.

Ta myśl sprawiła, że jej serce wypełniło cudowne oczekiwanie.

W tej samej chwili Dusty szarpnął gwałtownie smycz i zaczął szczekać.

Callie natychmiast ruszyła za nim, starając się nie przewrócić na potrzaskanej i mokrej od deszczu betonowej płycie. Pies wyrывał się do przodu, biegnąc w stronę krawędzi płyty, a potem zeskoczył w wąskie zagłębienie. Z nadzieją w sercu podążyła za nim, ślizgając się na ostrych odłamkach. Dłonie przeszywał jej ostry ból. Liczne rozcięcia i siniaki stanowiły pamiątkę po szaleńczej ucieczce z tunelu, z którego uratowała Laurę Trayhern. Zeskoczyła ciężko w dół, straciła równowagę i uderzyła o ziemię. Dusty z furią rozkopywał gruz i szczekał donośnie.

Callie z trudem podniosła się na kolana i rozejrzała wokół. Otaczał ją potrzaskany beton, odłamki szkła i powyginane stalowe pręty.

- Siad - rozkazała Dusty'emu.

Pies posłusznie poszukał w miarę równego kawałka ziemi i usiadł, machając ogonem.

Callie obserwowała uważnie otoczenie. Nad sobą widziała fragment stropu. To bardzo dobry znak. Skoro betonowa płyta opierała się na fragmencie ściany, być może pod nią utworzyła się przestrzeń, w której ktoś przeżył trzęsienie.

- Halo! - zawołała, przykładając złożone dłonie do ust. - Jest tu ktoś? - Deszcz i wisząca w powietrzu wilgoć tłumili głos. Przechyliła głowę i przez chwilę nasłuchiwała.

Cisza.

Zawołała jeszcze raz.

Dusty zaskomlał.

- Pomocy!...

Z rumowiska dobiegł ją stłumiony kobiecy głos. Uśmiechnęła się, czując wstępującą w nią na nowo nadzieję. Odpowiedziała, krzycząc z całych sił, choć wiedziała, że gruz tłumii głos tak samo skutecznie jak padający deszcz.

- Mam na imię Callie. Jestem tu, żeby ci pomóc. Jak się nazywasz?

Czekała, nasłuchując, ale odpowiedź nie nadeszła. Przysiadła na piętach, opierając dłonie na przemoczonych udach. Kobieta może być ciężko ranna, niewykłuczone, że traci i na nowo odzyskuje przytomność. Callie wstrzymała oddech, czując gorączkowe bicie własnego serca. Wreszcie, po długiej chwili, kobieta odezwała się znowu.

- Tracy Fielding... ratuj... moje dziecko... Ona ma dopiero pięć miesięcy... musisz nam pomóc...

Callie przełknęła nerwowo ślinę i odpowiedziała:

- Słyszę cię, Tracy. Trzymaj się, zaraz wezwę pomoc. W jakim jesteś stanie? Czy jesteś ranna?

Grube, skórzane rękawice ślizgały się na sprzączce. Żeby odpiąć od pasa bezcenny telefon, musiała zdjąć jedną z nich. Odblokowała klawiaturę i wsunęła aparat pod kaptur, żeby osłonić go od deszczu.

- Nie mogę oddychać... ona chce jeść, a ja nie mam mleka!... Proszę, ratuj nas...

Callie wybrała numer zeszywniałymi z zimna palcami, przycisnęła telefon do ucha i czekała.

- Porucznik James.

W głosie Wesa słychać było skrajne wyczerpanie, dla niej jednak brzmiał jak najpiękniejsza muzyka.

- Wes? Tu Callie. Znaleźliśmy dwoje rannych w sektorze czwartym. To kobieta i pięciomiesięczne niemowlę. Potrzebuję twojej pomocy. Możesz tu przyjść? Najlepiej jak najszybciej.

Słyszała, jak Wes wciąga głęboko powietrze.

- Jasne. Czekaj, zaraz tam będę - zapewnił. Wyłączyła telefon i ostrożnie wsunęła go do pokrowca.

Potem włożyła skórzaną rękawicę, zapięła kurtkę i wstała, żeby Wes mógł ją łatwiej odszukać. Nadchodził zmierzch. W dole, na ulicy, widziała żuraw budowlany, stojący beczynnie niedaleko hotelu. Wes i jego ludzie używali mniejszych maszyn, szukając rannych w ruinach.

Serce zabiło jej mocniej, kiedy go zobaczyła. Szedł szybkim krokiem. Ciemny zarost sprawiał, że jego twarz nabrała groźnego wyrazu, ale ona czuła tylko radość. Był coraz bliżej, szybko wspinając się po gruzach. Callie pochyliła się i pogłaskała Dusty'ego.

- Dobra robota, piesku - pochwaliła go.

Retriever zamachał radośnie ogonem. Z pyska zwisał mu wilgotny, różowy język.

Callie wiedziała, że są słabo widoczni. Ze wszystkich stron otaczały ich zwały potrzaskanego betonu, tworzącego prowizoryczne ściany. Wiedziała, że w każdej chwili grożą zawaleniem.

Wes uśmiechnął się, zeskakując tuż obok Callie.

- Co macie? - Wpatrywał się intensywnie w jej zmęczoną, mokrą twarz. Otoczył ją ramionami, z trudem łapiąc równowagę. Mokry beton był zaskakująco śliski.

Callie odpowiedziała uśmiechem.

- To Dusty je znalazł. Matka i pięciomiesięczne dziecko. Nazywa się Tracy Fielding. Ma trudności z oddychaniem i nie ma mleka dla dziecka.

Wes rozejrzał się.

- Jak myślisz, jak głęboko może być?

- Sądząc z tego, jak słabo ją słyszać - odparła Callie, klękając na ziemi i pokazując, skąd dobiegał głos rannej - pewnie dwa do trzech metrów. Myślę, że może chwilami tracić przytomność, poza tym jest bardzo osłabiona... więc może być bliżej. Powiedzmy, że dwa metry.

Wes przykucnął obok, tak że ich biodra i ramiona się stykały. Teraz widział miejsce, które wskazał Dusty, szczekając i merdając ogonem. Przyjrzał mu się uważnie. Na szczęście deszcz ustawał. Naparł ciężarem ciała na beton i westchnął.

- Co się stało? - spytała Callie, widząc jego zmarszczone brwi.

- Będziemy musieli użyć dźwigu. - Wskazując ręką do góry, spytał: - Widzisz tę płytę?

Callie powiodła wzrokiem za jego palcem.

- Tak.

- Trzeba ją podnieść.

- Musimy ją podnieść, bo to jedyny sposób, żeby do nich dotrzeć?

Wes wstał, pocierając w zamyśleniu brodę.

- Właśnie. - Przyglądał się dźwigowi, zastanawiając się, w jaki sposób najlepiej go wykorzystać. - Powinno się nam udać. - Przyjrzał się Callie. Domyślał się, że musiała zmarznąć, bo była cała przemoknięta. Podkrążone oczy wskazywały na to, jak bardzo jest wyczerpana. Każdy z nich dawał teraz z siebie wszystko, często kosztem własnego zdrowia. - Co możemy teraz zrobić dla Tracy i jej dziecka?

- Ty ściągnij tu ludzi i przygotuj akcję ratunkową, a ja porozmawiam z nią i postaram się dowiedzieć, w jakim dokładnie jest stanie.

- Dobrze. - Wes odpiął od paska telefon i zadzwonił do sierżanta Cove'a, który dowodził poszukiwaniami w innym sektorze. Rozmowa była krótka i rzeczowa. Schował telefon i odwrócił się do Callie.

- Wszystko w porządku - rzekł. - Możemy zaczynać. Chciałbym zakończyć ten dzień w towarzystwie młodej mamy i jej maleństwa, wyciągniętych cało i zdrowo z tej dziury.

3 stycznia, godzina 19.00

Zapadła już noc, ale Callie nie mogła i nie chciała przerwać walki o wydobywanie spod gruzów Tracy Fielding i jej dziecka. Na szczęście dźwigiem udało się już usunąć największe bryły betonu. Teraz razem z dwoma żołnierzami odgarniała mniejsze kawałki gruzu. Deszcz przestał padać, ale od morza przysła lodowato zimna bryza, przenikająca do szpiku kości. Na pewno uwięzione pod gruzem matka i córka marzyły jeszcze bardziej niż ona, upomniała się w duchu, ze zdwojonym zapałem wracając do pracy.

Nikt nie myślał nawet o przerwie na kolację. Sierżant Cove usiadł za sterami dźwigu, a szeregowy Bertram obsługiwał spychacz, na którego szufłę zrzucały gruz osoby pracujące na górze. Nisza powiększyła się i miała już rozmiary dwóch samochodów. Wes nadzorował prace i umacniał odsłaniające się ściany, by gruz nie pogrzebał ich wszystkich. Za każdym razem, kiedy odsłaniali kolejną warstwę, Callie wołała Tracy i pytała, jak czuje się ona i dziecko. Niepokoiła się, bo kobieta odpowiadała coraz rzadziej.

Usłyszała Wesa, nakazującego wstrzymanie pracy maszyn. Teraz kolej na nią. Szczękając z zimna zębami, opadła na kolana i obserwowała odsłonięty teren, czekając niecierpliwie na światło wojskowej latarni. Kiedy żołnierze przenieśli ją bliżej, zobaczyła wyraźnie, że koparka odsłoniła otwór wielkości mniej więcej osiemdziesięciu centymetrów.

Zastanawiała się właśnie, jak wejść do środka, kiedy okolicą targnął kolejny wstrząs. Callie przywarła do ziemi, rozrzucając szeroko ramiona i ze wszystkich sił starając się pozostać na miejscu. Odgłos trzęsienia zawsze ją przerażał, miała wtedy wrażenie, że znalazła się pod kołami pędzącego pociągu. Na szczęście wstrząs nie był zbyt silny i po kilku sekundach wszystko się uspokoiło. Stojący obok reflektor zachwiał się, ale nie przewrócił i nadal oświetlał teren. Widziała, że jakimś cudem jama ocalała, nie zasypana przez rumowisko.

Wciąż drząc z zimna i szczękając zębami, Callie zajrzała do otworu. Położyła się na brzuchu i sięgnęła ręką najdalej, jak mogła. Przesuwała palcami po szorstkim betonie i zimnej stali. Nagle poczuła coś miękkiego i ciepłego. Tracy!

- Tracy? Czy to ty? Czujesz moją rękę?! - krzyknęła z radością, głosem załamującym się z emocji. Przesunęła się jeszcze bliżej, usiłując sięgnąć ręką głębiej. Udało się! Czowała teraz

wyraźnie, że dotyka bezwładnej kobiecej ręki. Od reszty ciała dzieliło ją nie więcej niż pół metra.

- Tracy?

Wstrzymała oddech, nasłuchując. Żadnej reakcji. Przekręcając dłoń, udało się jej przytknąć dwa palce do nadgarstka Tracy. Znieruchomiała, całą sobą starając się wyczuć pod palcami tętno. Może to niewłaściwe miejsce? Wcisnęła się jeszcze głębiej do wejścia, kopiąc nogami gruz i czołgając się z wysiłkiem. Udało się! Chwyliła mocno nadgarstek kobiety. Był całkowicie bezwładny, ale Callie wiedziała, że teraz na pewno trzyma palce na pulsie. Wydawało jej się, że czeka całą wieczność, mając nadzieję poczuć choć najłabsze uderzenia.

Nic.

- Nie! - Przesunęła dłoń, chwytając nadgarstek pod innym kątem. Pulsu wciąż nie było. Przesunęła dłoń wyżej. Prawie natychmiast natknęła się na miękki, ciepły kształt, leżący na brzuchu Tracy. Wiedziała, że to dziecko.

Kiedy poczuła pod palcami małe ciało, dobiegło ją kwilenie. Zamarła w napięciu. Tak, to musiało być ono. Wyczuwała łaskotanie miękkiej bawełny, z jakiej szyje się dziecięce ubranka.

Wycofała się powoli z otworu i krzyknęła:

- Pospieszcie się! Wciąż dzieli nas od nich mnóstwo gruzu, ale są już blisko, na wyciągnięcie ręki! Tracy nie odpowiada na moje wołanie, pewnie jest nieprzytomna, a poza tym nie mogłam wyczuć u niej pulsu. Słyszałam, jak dziecko płacze. Musimy jak najszybciej je stamtąd wydostać! - Odwróciła się i zaczęła rękami odgarniać gruz, pracując z zapamiętaniem i determinacją.

Wes zsunął się do rozpadliny. Dołączył do niego również starszy szeregowy Stevens. Wszystkim nagle krew zaczęła krążyć szybciej w żyłach. Wes pracował ramieniem przy ramieniu z Callie. U niego również świadomość, że od sukcesu dzieli ich już tak niewiele, spowodowała gwałtowny przyływ adrenaliny. Callie odgarniała gruz jak szalona, przedzierając się przez kolejne warstwy szkła i stali. Otwór powiększał się. Po półgodzinie udało im się odsłonić połowę ciała Tracy.

Wes nakazał Stevensowi, by zrobił miejsce dla Callie, która przyklękła i nachyliła się nad otworem. Wciągnął głęboko powietrze i otarł pot z czoła. Zapadła cisza. Wszyscy nasłuchiwali w oczekiwaniu. Słyszał tylko bicie swojego serca. Modlił się w duchu, by obie przeżyły. Obserwował Callie, która odpięła od pasa latarkę i zaświeciła nią w kierunku ofiar.

- Tracy? - W jej głosie słychać było niepewność i nadzieję. Chwyliła bezwładną, zakrwawioną dłoń kobiety. Skierowała światło w jej stronę. - Nie! - Serce zamarło jej w

piersi. Twarz Tracy Fielding miała siny kolor, jakby uszło z niej życie. Callie załkała bezradnie: - Nie! Cholera...

Przesuwając światło latarki w dół, zobaczyła dziecko. Leżało na martwej piersi matki, ubrane w zakurzony, żółty bawełniany kombinezon i maleńkie buciki. Łzy napłynęły jej do oczu, zamazując obraz. Czuła, jak obok nachyla się nad nią Wes. Choć nie zamienili ani słowa, była mu wdzięczna za milczące wsparcie.

- Matka nie żyje - wydusiła w końcu. - Schodzę po dziecko. Potrzyмай... - Wyłączyła latarkę i odwróciła się, podając ją Wesowi.

Potem z powrotem wsunęła się do tunelu, najdalej jak mogła, i powoli przemieszczała się w stronę dziecka. Ręce jej drżały, kiedy ostrożnie obejmowała maleństwo i zabierała je z ciała matki. Potem wyciągnęła je na powierzchnię. Z pomocą Wesa wstała na kolana, rozpięła kurtkę i schowała pod nią dziecko, tuląc i ogrzewając je własnym ciepłem.

- Jak dziecko? - spytał Wes zachrypniętym głosem, pomagając jej wstać.

- W porządku... tak myślę - odparła Callie, przełykając łzy. Spojrzała mu prosto w oczy, mając nadzieję, że ich nie zauważy.

- Tak mi przykro - powiedział cicho. Choć oczy miał suche, widać było, że bardzo się przejął.

Callie zacisnęła powieki, starając się powstrzymać płacz. Czuła niemowlę, poruszające się przy jej piersi. To dobry znak.

- Ściągnijcie tu sierżanta Cove'a, niech sprawdzi, czy matka na pewno nie żyje. Ja nie jestem lekarzem, ale mimo prób nie udało mi się wyczuć u niej pulsu. Poza tym jej skóra jest zimna.

Wes skinął głową. Wciąż trzymał Callie za ramię, pomagając jej zachować równowagę na nierównym gruncie. Przytulała dziecko tak troskliwie... Na twarzach stojących obok żołnierzy malował się smutek. Widzieli, co się stało, i zrozumieli, że prawdopodobnie nie udało im się uratować matki. Mieli nadzieję, że dziecko przeżyje.

- Teraz szeregowy Bertram i starszy szeregowy Stevens pomogą ci zejść bezpiecznie z tego gruzowiska, tak żeby ani tobie, ani dziecku nic się nie stało.

Callie z wdzięcznością oparła się o mocne ręce, które sprowadziły ją bezpiecznie. Niosła w ramionach zbyt cenny skarb, by mogło mu się cokolwiek stać. Kiedy dotarli do obozowiska, Callie natychmiast schroniła się w swoim namiocie. Szeregowy Bertram pobiegł po kilka dodatkowych koc dla niej i dziecka. Powietrze było chłodne i wilgotne. Callie delikatnie położyła maleństwo na rozkładanym łóżku i przykłęka obok. Ostrożnie poruszała jego rączkami i nóżkami, sprawdzając, czy nic mu się nie stało. Niemowlę było śliczne, miało

czarne, kręcone włoski i wielkie, niebieskie oczy. Zakwiliło cicho, gdy Callie zdjęła zakurzony żółty kombinezon i zaczęła odpinać brudną pieluszkę, a potem uśmiechnęło się. Po chwili w wejściu pojawił się szeregowy Bertram, niosąc dodatkowe koce.

- Dziękuję wam, szeregowy.

- Tak jest... - Wszedł do namiotu, patrząc ciekawie na dziecko. - To dziewczynka? Prawda, że śliczna?

Callie zawinęła maleństwo w suchy koc.

- To prawda, jest piękna. - Uniosła zawiniątko i przytuliła do piersi. Przez rozchylone poły namiotu widziała Wesa. Szeregowy odsunął się od wejścia, żeby go przepuścić.

- Potrzebuję trochę mleka - powiedziała słabym ze zmęczenia głosem. - Przydałaby się też butelka do karmienia niemowląt.

Twarz Bertrama rozpromieniła się nagle.

- Proszę pani, już wiem, co zrobimy! Na Beechwood Street mieszka kobieta, która kilka tygodni temu urodziła dziecko. Musi mieć w domu butelki i inne rzeczy potrzebne niemowlętom i na pewno jedną nam pożyczy, jeśli ją poprosimy.

Wes zmarszczył brwi i w skupieniu przyglądał się Callie, która wstała z łóżka i kołysała dziecko w ramionach.

- A mleko? Myślisz, że możemy wykorzystać mleko w proszku z racji żywnościowych? Czy będzie dobre dla dziecka?

- Jasne. To doskonały pomysł.

Wes odwrócił się i rozkazał Bertramowi jak najszybciej skontaktować się z kobietą z Beechwood Street.

Szeregowy zasalutował, obrócił się na pięcie i pobiegł ulicą ile sił w nogach.

Callie zakręciło się w głowie. Usiadła na łóżku, wciąż kołysząc maleństwo.

- Rozpuść mleko w przegotowanej wodzie - powiedziała. - Najlepiej w połowie objętości, żeby było gęstsze i bardziej pożywne. Jeśli znajdziesz cukier, możesz dodać łyżeczkę.

Wes potaknął i wychylił głowę z namiotu.

- Starszy szeregowy Stevens?

- Tak jest! - Żołnierz zatrzymał się i wszedł do namiotu. Na widok Callie i dziecka uśmiechnął się szeroko. Potem spowaźniał, podszedł do Wesa i stanął przed nim na baczność.

- Weźcie z zapasów żywnościowych mleko w proszku i wymieszajcie je z wodą, w proporcji dwa do jednego. Potem ostudźcie mleko, tak żeby dziecko mogło je wypić od razu, gdy tylko Bertram przyniesie butelkę.

Twarz Stevensa pojaśniała z zadowolenia.

- Już się robi, panie dowódcu! - odparł i pobiegł w stronę namiotu z zaopatrzeniem.

Wes zawahał się. Byli nareszcie sami, nawet jeśli mieli dla siebie tylko parę minut. To było cudowne, móc siedzieć obok Callie i patrzeć, jak tuli z czułością w ramionach maleńką istotkę. Klęknął obok i wyciągnął dłoń, gładząc jej aksamitny policzek.

- Pewnego dnia będziesz wspaniałą mamą - powiedział w zamyśleniu.

Nie przestawało jej zadziwiać, że Wes potrafił w ciągu kilku chwil stworzyć nastrój intymności. Zamknęła oczy i cieszyła się jego bliskością. Tęskniła za nim, była spragniona jego obecności. Momenty takie jak ten były dla niej na wagę złota.

- Tego maleństwa nie byłoby teraz z nami, gdyby nie ty

- odparła cicho, tłumiąc wzruszenie. - Nie wiem, co się między nami dzieje, Wes... Tak bardzo cię potrzebuję, a przecież dopiero się spotkaliśmy. To wszystko jest zupełnie szalone. Chodzę po gruzach budynków, szukając ludzi uwięzionych pod rumowiskiem, a mimo to nie mogę przestać o tobie myśleć. - Ściągnęła brwi. - Czy kiedyś przeżyłeś coś podobnego?

Wyciągnął dłoń, podtrzymując dziecko i pomagając je kołysać.

- Nie, nigdy. Ja też nie umiem tego wyjaśnić, Callie.

- Daremnie szukał słów, które mogłyby wyrazić to, co czuł i myślał. - To samo dzieje się ze mną, aniele. Jesteśmy w samym środku piekła, wokoło tylu cierpiących, rannych i zrozpaczonych ludzi... a mimo to, choć otacza nas morze ludzkiego nieszczęścia, ja wciąż mam przed oczami twoją cudną twarz i piękne, błękitne oczy. One mnie prześladują. - Wes uśmiechnął się z wysiłkiem, przezwyciężając wyczerpanie.

- Chcę tylko, żebyś wiedziała jedno, Callie: będziemy jeszcze mieli czas, żeby odkrywać siebie nawzajem. Wiem, że teraz dużo się dzieje dookoła...

Westchnęła, kiedy pogładził jej mokry od łez policzek.

- Dzieje się za dużo i za szybko. Jestem zbyt zmęczony, żeby to wszystko teraz zrozumieć, i ty na pewno też. - Uśmiechnął się. - Mam dobrą wiadomość dla ciebie i reszty drużyny.

Westchnęła znowu i wtuliła policzek w jego dłoń.

- Przyda mi się odrobina optymizmu. Co to za wiadomość?

Wes spojrzał na zegarek.

- Za godzinę wylądaje tu Huey z drużyną zmienników. Lucy zostanie z psem i będzie kontynuować poszukiwania, a my polecimy do Camp Reed na dwadzieścia cztery godziny. Co ty na to? Jak ci się podoba taka niespodzianka?

Callie była uradowana.

- Naprawdę? Już za godzinę?? - Pamiętała, że Wes już wcześniej wspominał o czekającej ich wizycie w obozie, ale nie wiedziała, kiedy ona nastąpi.

- Tak, nie żartuję, Callie. Wreszcie czeka nas zasłużony odpoczynek. - Z żalem odsunął dłoń od jej policzka. Marzył tylko o tym, by całować ją do utraty tchu. Kiedy tak czule kołysała w ramionach niemowlę, nie potrafił oderwać od niej oczu. Callie mogła być członkiem elitarniej formacji wojskowej, ale nie traciła przez to ani odrobiny ze swej kobiecości. On potrafił to najlepiej docenić.

Wiedział, że Bertram i Stevens wrócą lada chwila. Nie chciał, by któryś z nich usłyszał to, co chciał jej teraz powiedzieć, nachylił się więc i wyszeptał:

- Powiem ci, czego pragnę, ale ty musisz się zgodzić. - Wziął głęboki oddech i spojrzał wprost w jej lśniące, błękitne oczy. - Kiedy znajdziemy się w Camp Reed, chcę, żebyś zamieszkała ze mną w pokoju. Razem weźmiemy gorący prysznic, a potem położymy się do łóżka i będę tulił cię w ramionach. Chcę poznać każdy centymetr twojego ciała i chcę, żebyś ty poznała moje.

Callie pochyliła głowę i zamknęła oczy. Nigdy jeszcze nie słyszała z ust mężczyzny tak szczerego i żarliwego wyznania.

Dziecko poruszyło się i Callie rozsunęła kurtkę, pozwalając mu wysunąć główkę. Drżącymi palcami pogładziła kędzierzawe loczki.

- Powiedz mi, co o tym myślisz i co teraz czujesz - poprosił Wes łamiącym się głosem. Podniósł się z kolan i stanął trochę dalej, wiedząc, że zaraz w namiocie pojawią się jego podkomendni. Ze względu na dyscyplinę wojskową nie chciał, by ktokolwiek wiedział o tym, co dzieje się między nim a Callie. Sposób, w jaki gładziła kręcone, wilgotne włosy niemowlęcia, sprawiał, że znów zatęsknił za jej dotykiem. Od lat nie pozwalał sobie na uczucia, bronił się przed emocjami. Był surowy, stanowczy, zdecydowany. Zetknięcie się z ludzkim nieszczęściem odmieniło go, niemal złamało, otworzyło na cierpienie innych. W głębi duszy czuł, że ból jego serca może ukoić tylko Callie, że ona potrafi go pocieszyć, wspomóc, przekazać choć trochę siły, którą w sobie miała.

Callie odwróciła głowę i napotkała jego mroczne spojrzenie, w którym płonęło pożądanie.

- Przecież... ja to ja, nie rozumiesz? Nigdy przedtem facet taki jak ty nie zwrócił na mnie uwagi. Z jednej strony, to miłe, pochlebiasz mi, ale z drugiej strony, boję się jak diabli. Przecież wcale nie jestem ładna... Wciąż nie mogę zrozumieć, jak mogę ci się podobać...

- Callie, w moich oczach jesteś piękna. Czy to nie najważniejsze?

- Tak, masz rację. Ja się po prostu boję, to wszystko.

- Pragnęła go całym sercem, ale wiedziała, że on prędzej czy później odejdzie, ponieważ nie będzie chciał się poważnie zaangażować. Miał swoje powody, o których jej powiedział. Nie proponował jej niczego więcej niż przelotną przygodę. Początkowo wydawało jej się, że to jej odpowiada. Jednak teraz w sercu zaczynało rodzić się głębsze uczucie i czuła się jeszcze bardziej dezorientowana i niepewna siebie.

- W porządku. Nie chcę cię do niczego zmuszać. Nie zamierzam wywierać na ciebie presji. Do tanga trzeba dwojga, a my nie musimy się spieszyć.

- Wes, muszę ci coś powiedzieć. Obawiam się, że nie mam zbyt wiele doświadczenia, jeśli chodzi o związki z mężczyznami. W liceum wszyscy mnie unikali.. Koledzy wyśmiewali się ze mnie i przezywali.

- Dlaczego?! - Poczł gniew i nie potrafił go ukryć. Nie mógł znieść bólu, który widział w jej oczach i słyszał w jej głosie.

- Moi rodzice byli bardzo biedni i nie stać ich było na to, żeby mnie modnie ubierać. Mama szyła ubrania dla całej rodziny. Mieszkaliśmy na farmie w Minnesocie, ojciec uprawiał ziemię, ale potem miał wypadek i uszkodził sobie kręgosłup. Do dziś porusza się na wózku inwalidzkim. Straciliśmy ziemię, farmę. Staliśmy się bankrutami... i to złamało mojego ojca. Przedtem ciężko pracował, ale nikogo nie musiał o nic prosić. Uwielbiał przyrodę, często zabierał nas na wycieczki. A teraz został przykuty do wózka... - Przygryzła wargę i zamilkła na chwilę. Potem zdecydowała, że Wes zasługuje na to, by poznać całą prawdę. Mówiła więc dalej, ściszym głosem. - Po szkole pracowałam, żeby pomóc w utrzymaniu rodziny. Byłam najstarsza z rodzeństwa i czułam się za to odpowiedzialna. Mama nie mogła iść do pracy, bo musiała zajmować się najmłodszymi dziećmi. Staralam się, jak mogłam, żeby nam wszystkim żyło się lepiej. Pracowałam w dwóch różnych miejscach, ale i tak nie starczało nam pieniędzy, żeby kupić wszystkim ubrania i buty. W końcu zaczęliśmy robić zakupy w sklepach z używaną odzieżą. Ale nawet w najcięższych czasach, gdy było naprawdę trudno, nasze ubrania zawsze były czyste i uprasowane. Wes spochmurniał.

- A dzieci w szkole jak to dzieci, i tak o wszystkim wiedziały. I dlatego się z ciebie wyśmiewały.

- Tak. Dzieci potrafią być okrutne wobec tych, którym gorzej się powodzi. To, skąd kto pochodzi, też było ważne, a nasza okolica nie cieszyła się szacunkiem. - Uśmiechnęła się lekko. - Ty nie wyglądasz mi na osobę pochodzącą z ubogiej rodziny.

- Nie, nigdy nie musieliśmy walczyć o przetrwanie tak jak twoja rodzina. Mój ojciec jest znanym architektem, mieszka w Hartford w stanie Connecticut. - Wes był zadowolony, że nieoczekiwanie nadarzyła się okazja do dłuższej rozmowy. - Chciał, żebym poszedł w jego

ślady i kontynuował rodzinną tradycję. Wtedy zaczęły się kłopoty. - Uśmiechnął się gorzko. Kiedy w odpowiedzi kąciki jej ust również uniosły się w górę, poczuł, jak bardzo pragnie wziąć ją w ramiona. Stojąca obok namiotu latarnia rzucała trochę światła, podkreślając jej regularne rysy i wielkie, błyszczące inteligencją oczy.

- Woląłeś karierę wojskową - domyśliła się Callie.

- Tak. - Wes zaśmiał się chrapliwie. - Chciałem uczestniczyć w budowaniu nowego, lepszego świata. Chyba odziedziczyłem po nim zdolności, ale bardziej zależało mi na tym, żeby pomagać innym. Pochodzę z uprzywilejowanej rodziny, Callie. Nigdy nie musiałem głodować ani martwić się o to, skąd wziąć pieniądze, by przeżyć kolejny dzień. Potem zdałem na Harvard, tak samo jak ojciec. Nie musiałem zabiegać o stypendium, ojciec wszystko finansował. Po studiach zgłosiłem się do szkoły oficerskiej, a potem wstąpiłem do armii.

- Pewnie twój ojciec nie był z tego powodu zadowolony? Wes potrząsnął głową i odparł:

- Nie, ale od tego czasu minęło już kilka lat i chyba się z tym pogodził.

Callie spojrzała na dziecko.

- Masz jakieś rodzeństwo?

- Nie, jestem rozpieszczonym jedynakiem. Zaśmiała się cicho i powiedziała:

- Nas było w rodzinie sześcioro. Trzej bracia i trzy siostry. Co miesiąc posyłam połowę pensji do domu, rodzicom. To dla nich wielka pomoc. Dzięki temu nie muszą już brać zasiłku i ojciec nie czuje się już taki przygnębiony swoim kalectwem. Jest bardzo dumnym człowiekiem. Do czasu wypadku nigdy nie musiał nikogo prosić o pomoc.

- Wciąż mieszkają w Minnesocie? - Wes cieszył się z tej rozmowy. Marzył, by mogli bez przeszkód poznawać się nawzajem i rozmawiać, rozmawiać... Bardzo chciał dowiedzieć się jak najwięcej o Callie.

- Tak. Mają ładny mały domek w International Falls. To bardzo blisko granicy z Kanadą. Razem z rodzeństwem staramy się uzbierać trochę pieniędzy, żeby na stare lata kupić im małą farmę. Ojciec na pewno czułby się lepiej, gdyby mógł wyprowadzić się z miasta i znów zamieszkać na wsi. Miasto go przygnębia.

Wes skinął głową.

- Doskonale go rozumiem. Chociaż wychowałem się na przedmieściach dużego miasta, każdą wolną chwilę spędzałem w lesie. Uwielbiam kontakt z przyrodą, kocham zapach lasu.

- Jako inżynier budownictwa lądowego chyba dużo czasu spędzasz na dworze?

- Tak. - Popatrzył na nią badawczo. - Twoją pracę też trudno nazwać biurową.

Uśmiechnęła się pomimo zmęczenia.

- Nie wiem jak ty, ale ja zamierzam tu na kość.

Wes właśnie miał zamiar ją przytulić, kiedy usłyszał na zewnątrz odgłos kroków. To pewnie Bertram wracał z butelką dla dziecka.

- Pamiętaj, że moja propozycja wciąż jest aktualna. Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że Callie nagle opuściła niepewność i przestała mieć wątpliwości. Wes rzeczywiście do niczego jej nie zmuszał. To zaproszenie było dla niej komplementem. Wspaniałym komplementem.

- Dzięki... - szepnęła wzruszona. Twarz oblał jej rumieniec. Z trudem powstrzymywała łzy, które nagle napłynęły do oczu.

- Nie masz nawet pojęcia, jak cudownie się przy tobie czuję. Jesteś darem, Wes...

ROZDZIAŁ 8

4 stycznia, godzina 9.00

Hej, Callie!

Ktoś chwycił ją za ramię i mocno potrząsnął.

- Już dziewiąta. Wstawaj.

Głos kapitan Susanny Wilson wyrwał ją z głębokiego snu. Callie jęknęła i z trudem otworzyła oczy. Za oknem psy szczekały w boksach. Z korytarza dobiegały odgłosy porannej krzątania. Kiedy się odwróciła, zobaczyła twarz pani kapitan, pochylającej się nad łóżkiem.

- Tak, tak... już wstaję...

Susanna uśmiechnęła się lekko i zwolniła uścisk. Czekwała spokojnie, podczas gdy Callie wydobywała się spod warstwy koców.

- Co się z tobą dzieje, Evans? Dostajesz dwadzieścia cztery godziny na odpoczynek, o których ja mogę tylko pomarzyć, i śpisz pod kocami tu, w sztabie, nie rozbierając się nawet z mokrych ciuchów, zamiast pójść do hotelu oficerskiego, wziąć gorący prysznic i położyć się w wygodnym, czystym łóżku!

Callie odsunęła koce. Wciąż była przemoczona, ale przynajmniej trochę się ogrzała. Oczy miała zapuchnięte i ciągle jeszcze na wpół spała. Zza drzwi dobiegały ją odgłosy krzątania.

- Odprowadziłam Dusty'ego do jego boksu - wymruczała - i nie miałam siły iść ani kroku dalej.

- Więc zvaliłaś się tutaj. - Susanna oparła ręce na biodrach. - Wcale ci się nie dziwię. Ale dość już tego, pani porucznik. Zabieraj się stąd do hotelu oficerskiego, i od razu pod prysznic! Jesteś brudna jak nieboskie stworzenie.

Callie posłała jej słaby uśmiech i przeczesła palcami zmierzwiłone włosy.

- Masz rację, jestem rzeczywiście ubłocona.

- Delikatnie powiedziane. Zmiataj stąd, ale już. I żebym cię tu nie widziała przed szesnastą. Szeregowy Snelling zajmuje się psami, więc nie martw się o Dusty'ego. A teraz znikaj. Jasne?

- Jasne... już się robi...

Callie patrzyła, jak przystojna pani dowódca, ubrana w wojskowe piaskowe spodnie, wychodzi z pokoju. Kiedy wysiedli ze śmigłowca, Wes odwiózł dziecko do szpitala, a ona odprowadziła Dusty'ego do psiarni. Jakby nagle skończyła jej się benzyna w baku, po prostu padła tam, gdzie stała. Potem urwał się jej film.

Kiedy wkładała zabłocone, ciężkie wojskowe buty, myślała o dziewczynce. Nazwali ją Jane, bo nikt nie wiedział, jak ma naprawdę na imię. Callie żałowała teraz, że nie spytała o to matki. Na szczęście znali jej nazwisko, więc kiedy tylko dotrze tu Czerwony Krzyż, będą mogli zacząć poszukiwania ojca dziecka lub dalszych krewnych.

Zdrętwiałe palce z trudem radziły sobie z zawiązywaniem sznurówek. Jej myśli krążyły teraz wokół Wesa, wypełniając jej serce radością.

Czy czekał teraz na nią w swoim pokoju? Nie wiedziała, czego się spodziewać. Chciała tego, ale była zbyt zmęczona. Czuliła, że on to zrozumie. Wstała, wygładziła pogniecione spodnie i naciągnęła na głowę czapkę. Najpierw zajrzy na chwilę do Dusty'ego, a potem pójdzie do hotelu oficerskiego, wziąć cudowny gorący prysznic.

4 stycznia, godzina 10:00

Kiedy po długiej, gorącej kąpieli Callie zakładała świeże i czyste ubranie, wreszcie poczuła się znów jak ludzka istota. Pokój był mały, ale schludny. Za oknem roztaczał się niesamowity widok. Hotel leżał niespełna kilometr od lotniska, a panujący na nim ruch mógł przyprawić o zawrót głowy. W krótkim czasie Callie naliczyła co najmniej dziesięć herkulesów Lockheed C - 141. Te średniej wielkości samoloty transportowe, napędzane czterema silnikami turbośmigłowymi, kołowały w pobliżu magazynów, na pewno wypełnione dostawami dla odciętych od świata terenów. Jednak główny ciężar dostaw spoczywał na ogromnych samolotach C - 141 Starlifter. Callie dostrzegła trzy z nich na pasach startowych. Powietrze drżało od pracujących na pełnych obrotach silników, gdy wzbijały się w powietrze. Callie domyślała się, że transportują leki i materiały opatrunkowe, bo przy magazynach stało kilka ciężarówek ze znakiem służb medycznych. W całej bazie wrzała praca. Żołnierze w biegu rozładowywali humvee i luki samolotów. Żywność, leki i wszelki niezbędny sprzęt

dostarczano potrzebującym dwiema drogami - do dalszych, bardziej niedostępnych sektorów leciały samolotami, a wokół bazy wykorzystywano wojskowe ciężarówki.

Callie uczesała świeżo umyte włosy i włożyła czapkę. Burczało jej w brzuchu. Na szafce nocnej znalazła kartkę informującą, że kantyna mieści się w namiocie rozbitym przy wschodniej stronie hotelu. Czy uda jej się odnaleźć Wesa w takim tłumie? Wcześniej zauważyła jego nazwisko na grafiku wiszącym w holu i wiedziała, że przydzielono mu pokój numer 210. Ona mieszkała w 320. Przez dłuższą chwilę wahała się - szukać go czy nie? Po chwili skarciła się jednak w myślach za tchórzostwo. Nadszedł czas, żeby wziąć się w garść i uspokoić rozchwiane emocje. Czują, że to stres związany z pracą sprawia, że nie potrafi trzeźwo myśleć. Wyszła z pokoju i ruszyła w stronę jadalni. Korytarz był pełen wojskowych w polowych mundurach, od podporuczników do wyższych stopniem oficerów. Zauważyła nawet kilku pułkowników. Hotel oficerski, w którym w normalnych okolicznościach mieszkali tylko nieliczni kawalerowie lub goście, teraz był przepelniony. Zniszczonymi drogami nikt nie był w stanie wydostać się z bazy do domu, a samoloty wykonywały jedynie rejsy związane bezpośrednio z akcją.

Zapadał zmierzch, ale powietrze było przejrzyste i rześkie. Callie z zadowoleniem obserwowała bezchmurne niebo. Wyglądało na to, że przez najbliższe dni nie będzie deszczu, a to bardzo pomagało jej w pracy. Klapy namiotu - jadalni były podniesione, w środku ustawiono kilkadziesiąt długich stołów. Zauważyła przy nich kilku ratowników z jej oddziału. Pomachali do niej przyjaźnie, zapraszając do swojego stolika. Callie wzięła aluminiową tacę i ustawiła się w kolejce do baru. Kucharze nakładali jedzenie, wystawione w wielkich brytfannach: placki, jajecznicę z prawdziwych jajek, pachnący smakowicie smażyony bekon. Był także wielki kocioł dymiącej czarnej kawy. Callie przełknęła ślinę. Umierała z głodu.

- Tu jesteś!

Callie podskoczyła. Obracając się niezdarnie, zobaczyła Wesa, który ustawił się za nią w kolejce, a teraz uśmiechał się.

- Wes, to ty... Cześć. - Gorące spojrzenie zielonych oczu sprawiło, że nagle wszystkie prześladowające ją wątpliwości znikły. Miał na sobie czysty, wyprasowany mundur, był ogolony i uczesany. Wyglądał naprawdę wspaniale. Callie ogarnęła tęsknota.

Czując na policzkach zdradliwy rumieniec, wyjąkała:

- Ja... nie dotarłam wczoraj nawet do hotelu. Odprowadziłam Dusty'ego do psiarni i po prostu padłam.

Samo patrzenie na nią sprawiało, że Wes odzyskiwał siły. Uśmiechnął się wyrozumiale. Powoli zbliżali się do nakładających jedzenie kucharzy.

- Nie martw się. Mówiłem, że nie chcę cię popędzać. Patrząc w jej jasne błyszczące oczy, Wes zaczął rozumieć,

jak ogromnie wyczerpujące były dla niej ostatnie dni. Widział umyte i uczesane włosy, lekko zaróżowione policzki i pogodną twarz. Najbardziej podobał mu się sposób, w jaki jej wargi lekko wyginały się do góry. Znowu ogarnęło go pragnienie, by całować je bez opamiętania. By się z nią kochać.

Nadeszła ich kolej. Callie przywitała się z kucharzami i poprosiła o solidną porcję jajecznicy, smażony bekon, kilka razowych tostów i smażone jabłka w sosie cytrynowym. Zauważyła w głębi pustą stół i wskazała na niego ręką.

- Usiądziemy tam? Wes nachylił się nad nią.

- Chcesz, żeby wszyscy widzieli cię ze mną? - szepnął, drocząc się.

- Wchodzę w to, jeśli ty masz odwagę - odparła ze śmiechem.

- Bez wahania. Skoro piękna kobieta zaprasza mnie, żebym usiadł i towarzyszył jej przy śniadaniu, jak mógłbym odmówić? Idę za tobą.

Callie usiadła przy niewielkim drewnianym stoliku i patrzyła, jak Wes sadowi się naprzeciwko. Jedli z apetytem, w milczeniu. Otaczał ich szum i gwar około setki ludzi. Gdy Callie skończyła jeść, podniosła do ust toporny, ceramiczny kubek z gorącą kawą. Smakowała wybornie i Callie rozkoszowała się każdym łykiem.

- Jedliśmy jak para wygłodniałych wilków - zażartował Wes, odsuwając tacę z pustymi talerzami.

Callie zaśmiała się.

- Chyba rzeczywiście zgłodnieliśmy.

- Tak, masz rację. W końcu jak długo można jeść tylko racje żywnościowe z proszku. To nie to samo co prawdziwe jedzenie. - Uśmiechnął się.

Callie oparła łokcie na stole, podnosząc kubek.

- To prawie mistyczne przeżycie - powiedział Wes, mrużąc z zadowoleniem nad swoim kubkiem kawy.

Callie przytaknęła z uśmiechem.

- Prawda? Kto by pomyślał, że porządny posiłek i kubek prawdziwej, mocnej kawy potrafią sprawić człowiekowi taką przyjemność?

- Do tego nie musieliśmy wydawać fortuny w pięciogwiazdkowej restauracji.

- Zastanawiam się, jak się czuje Jane...

- Myślałem o tym samym. Zamierzam wybrać się do szpitala i sprawdzić, co u niej słychać. - Spojrzał na Callie. - Masz ochotę przejść się tam ze mną i zobaczyć małą?

Callie czuła, jak serce bije jej mocno w piersi.

- Z przyjemnością. Rano, kiedy mnie obudzili, od razu o niej pomyślałam.

- Ja też - wyznał Wes. Nagle posmutniał. - Nie wiem, co z nią dalej będzie. Szpital polowy już teraz przestaje sobie radzić z pacjentami, a wciąż dowożą nowych. Wiem, że rozstawili kilka dodatkowych namiotów, w których umieścili łóżka dla lżej rannych.

- Widziałeś, jak wygląda lotnisko? Pracuję tu od lat, ale jeszcze nigdy nie panował tu taki wielki ruch.

- Tak - skinął głową Wes, powoli obracając kubek w mocnych, a jednocześnie smukłych dłoniach. - Dziś rano obserwowałam, co się tam dzieje. Rozmawiałem też z oficerem kontroli lotów. Powiedział mi, że pracują na maksymalnych obrotach i nie są w stanie obsłużyć więcej maszyn.

- A ja myślałam, że największym problemem jest nie dostarczenie zaopatrzenia do bazy, ale dalej, poza bramę, tam, gdzie trzęsienie ziemi było najsilniejsze i spowodowało największe straty.

- Bingo - mruknął z podziwem Wes. - Wczoraj zrozumiałem, że jesteśmy na początku długiej, trudnej drogi, Callie. To dopiero przygrywka. Czeką nas wytężona praca. Będziemy mieli do czynienia z tysiącami bezdomnych...

W jego głosie słychać było smutek i troskę.

- Masz rację - powiedziała cicho i w milczeniu dopiła kawę.

Wes popatrzył jej w oczy, pociemniałe ze zmartwienia.

- Zresztą, sama najlepiej wiesz, o czym mówię. Jesteś ekspertem. Widziałas podobne katastrofy w Turcji.

- Rzeczywiście, tam było naprawdę strasznie - zgodziła się Callie. - Ale to, co stało się tutaj, jest o wiele gorsze. Masz rację, że utknęliśmy tu na długo. Rozmawiałam o tym z moim dowódcą, kapitan Wilson. Kwatera główna współpracuje z nią przy opracowywaniu długoterminowej strategii wykorzystania naszych zasobów.

- Ludzie i psy też czasem muszą odpocząć - powiedział cicho Wes. Chciał wyciągnąć rękę i pogłodzić jej drobną dłoń, ale się powstrzymał. - Pracowałaś ponad siły, Callie. To się nie może powtórzyć.

Wzruszyła ramionami.

- Jak mogłabym pracować inaczej niż na pełnych obrotach? Nie potrafię niczego robić na pół gwizdka. A jeśli tam, pod gruzami, byłby ktoś, kogo kochasz? Czy wtedy umiałbyś odpoczywać?

- Rozumiem. Morgan Trayhern też nie robił przerw. Przewracał się ze zmęczenia, ale znajdował w sobie siłę, żeby szukać dalej.

- Właśnie - powiedziała z mocą Callie. - Hej, to mi przypomniało, że kiedy będziemy w szpitalu, miło byłoby zajrzeć też do Laury. Rzadko mam okazję spotykać się później z ludźmi, których uratowałam. Myślę, że to będzie odmiana po tym ogromie nieszczęść, które oglądamy.

- A więc wszystko ustalone. W drogę.

4 stycznia, godzina 11.00

Callie trzymała w ramionach małą Jane Fielding. Dziewczynka była teraz ubrana w różowy, bawełniany kombinezon i otulona w niebieski kocik. Wes stał obok, z uśmiechem przyglądając się dziecku.

- Wygląda na zdrową i zadowoloną - powiedział cicho, delikatnie gładząc czarne, kręcone włoski dziecka.

Callie tuliła dziewczynkę, która zachowywała się spokojnie i uśmiechała.

Wes rozejrzał się. Oddział dziecięcy przeżywał istne oblężenie. Na twarzach pielęgniarek malowało się zmęczenie. Małych pacjentów było więcej niż miejsc. Niemowlęta i noworodki, niektóre urodzone w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, wypełniały salę nieustannym płaczem. Wszystkie łóżeczka były zajęte. Siostra przełożona, kapitan Barbara Loews, pozwoliła im wziąć Jane na ręce. Teraz Callie patrzyła z przyjemnością, jak Wes nachyla się nad małą i delikatnie głaszcząc ją po różowym policzku.

- Świetnie wygląda, zwłaszcza gdy się pamięta, w jakim stanie ją znaleźliśmy.

Callie skinęła głową i z żalem położyła dziecko z powrotem do łóżeczka.

- Dzieci mają niezwykłą zdolność regeneracji, nawet po najstraszniejszych przeżyciach. Dorosłym nie przychodzi to z taką łatwością.

Wes uśmiechnął się.

- Przynajmniej jedna historia z happy endem. Chodź, poszukamy teraz Trayhernów. Laura leży na oddziale pooperacyjnym.

4 stycznia, godzina 13.00

Callie otworzyła cicho drzwi i zajrzała do niewielkiej, pomalowanej na biało sali. Laura Trayhern siedziała w łóżku, oparta o poduszki, z nogą na wyciągu. Obok niej, na brzegu łóżka, przysiadł Morgan. Na widok Callie uśmiechnęli się i skinęli zapraszająco, otworzyła więc szerzej drzwi i weszła, przyzywając gestem Wesa.

- Dzień dobry. - Zdjęła czapkę i wyciągnęła rękę do Laury. - Wpadliśmy tylko na chwilę, zobaczyć, jak się pani czuje.

Laura uścisnęła mocno drobną dłoń.

- Już dobrze, Callie. Witaj, Wes. Co u was słychać? Właśnie rozmawialiśmy o was z Morganem.

Wes zdjął czapkę i spojrzał na Morgana, który stał teraz obok żony, opierając rękę na jej ramieniu.

- Wszystko w porządku, proszę pani. Postanowiliśmy zajrzeć i spytać, jak samopoczucie i co z kostką.

Laura uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Mów mi Laura. A co do mojej kostki, to jak widzisz, wszystko powoli idzie ku lepszemu. - Spojrzała na męża.

- Właśnie rozmawialiśmy o tym, jak oddziały piechoty morskiej radzą sobie w tej trudnej sytuacji.

Laura była bardzo blada, pod jej dużymi, bystrymi oczami widać było głębokie cienie. Rozległe siniaki przybrały barwę fioletową. Ręce Morgana wciąż były obwiązane bandażami. Callie domyślała się, że lekarze musieli mu założyć wiele szwów, bo kiedy poszukiwał żony, przekopując się gołymi rękami przez zwały betonowych odłamków i potrzaskanego szkła, bardzo się pokaleczył.

- Robimy wszystko, co możemy - powiedziała Callie.

- Camp Reed to największa baza wojskowa w południowej Kalifornii, ale i tak rozmiary tego kataklizmu przerosły nas wszystkich.

Morgan przyglądał się im uważnie.

- Odesłano was tu, do bazy, na odpoczynek?

- Tak jest - potwierdził Wes. - Dziś o szesnastej trzydzieści mamy lot powrotny i wznawiamy poszukiwania w ruinach Hoyta.

Morgan potrząsnął głową i powiedział ściszym głosem:

- To przerażająca katastrofa. Trudno sobie wyobrazić ogrom zadań, z którymi musi sobie teraz radzić dowództwo akcji ratowniczej. Przecież ci wszyscy ludzie, odcięci od świata, potrzebują wody. To teraz najważniejsze pytanie: jak dostarczyć im wodę?

Laura pogłodziła męża po rękę i popatrzyła na niego z czułością.

- Morgan współpracuje z dowódcą bazy. Ma doświadczenie w tego rodzaju sytuacjach. Skontaktowaliśmy się już z ludźmi z Perseusza. Niedługo przylecą tu, by wspomóc dowództwo akcji.

Callie widziała czułe, pełne żaru spojrzenia Laury i Morgana. Rozpoznawała je teraz - Wes patrzył na nią tak samo... Cieszyła się każdą chwilą, którą spędzali razem.

- Wczoraj udało nam się uratować niemowlę. To dziewczynka, nazwaliśmy ją Jane. - Głos jej się załamał. - Niestety, matka zmarła, zanim się do niej dostałam, ale dziecko przeżyło. Siostra oddziałowa na pewno pozwoli Morganowi przenieść ją z oddziału dziecięcego tutaj, na górę. Mogłabyś ją karmić i się z nią bawić. Pielęgniarki na pewno będą wdzięczne za taką pomoc, a mała też poczuje się lepiej.

- Wspaniały pomysł! - Laura delikatnie ścisnęła zabandażowaną rękę męża. - Tak bym chciała też na coś się przydać. Jest tyle do zrobienia, a ja leżę tu beczynn timer, unieruchomiona. Poza tym wiesz, Morgan, jak kocham małe dzieci. Czy zejdiesz tam potem i załatwisz to?

- Jasne. Jesteś stworzona do tego, by opiekować się dziećmi. Poza tym może nie będziesz się tak nudziła.

- To złamanie musiało być poważne - zauważyła Callie, wskazując na nogę Laury.

- Trzy godziny spędziłam na stole operacyjnym - uśmiechnęła się smutno Laura. - Kość była potrzaskana w wielu miejscach. Musieli założyć śruby. Ale teraz czuję się już dużo lepiej. Właściwie przestałam odczuwać ból, jestem tylko bardzo zmęczona.

- Ale potem, kiedy wszystko się zrośnie, będziesz mogła normalnie chodzić? - spytała Callie. Od pierwszej chwili bardzo polubiła Laurę, która emanowała pozytywną energią. To właśnie jej ciepło i życzliwość sprawiły, że Callie poczuła do niej sympatię. W jej twarzy, okolonej prostymi, jasnymi włosami, opadającymi swobodnie na ramiona, było coś kojącego.

- Tak - odparł Morgan. - Będzie chodzić. Laura zaśmiała się i dokończyła:

- Lekarze mówią, że czeka mnie jeszcze długa i żmudna rehabilitacja. Kiedy przypominam sobie, co przeżywałam zaledwie dwa dni temu, gdy leżałam pod gruzami w całkowitych ciemnościach, nie wiedząc, czy dożyję jutra, to naprawdę wydaje mi się drobnostką.

Callie skinęła ze zrozumieniem głową. Wyciągnęła rękę i niezgrabnie pogładziła Laurę po ramieniu.

- To straszne, znaleźć się w takiej pułapce. Na pewno jeszcze długo będą cię prześladowały wspomnienia i koszmarne sny. Najczęściej tak właśnie się dzieje. To się nazywa zespół stresu pourazowego.

Laura zmarszczyła brwi.

- Masz rację, rzeczywiście nie mogę się opędzić od wspomnień. - Spojrzała w górę, na męża. - I nie mogę spać w nocy - dodała. - Nie powinnam jednak narzekać. Jestem w szpitalu, pod dobrą opieką, a tam pod gruzami wciąż są ludzie, którzy nie mają nawet wody, nie mówiąc już o lekach przeciwbólowych. Dlatego staram się nie użalać nad sobą za bardzo.

Callie znów skinęła głową.

- Kiedy wracacie do domu?

- Do Montany? - spytała Laura.

- Jeszcze długo nie - odparł ze smutkiem Morgan. - Na razie samoloty zabierają stąd tylko najciężej rannych, którzy wymagają natychmiastowej operacji. Szpital nie radzi sobie z taką liczbą chorych, więc część z nich odsyła starlifterami i herkulesami do San Francisco, Seattle i Portland. Wszystkie szpitale na Zachodnim Wybrzeżu uczestniczą w systemie Federalnej Agencji do Spraw Kryzysowych, wymieniając się informacjami o swoich możliwościach i przyjmując rannych.

- Więc na razie jesteście skazani na nasze towarzystwo? - przekomarzała się Callie. Widziała, jak Laura uśmiecha się.

- Możemy jeszcze kiedyś wpaść z wizytą?

- Z przyjemnością jeszcze was zobaczę. Poza tym wcale mi nie przeszkadza, że tu jestem - zaprotestowała. - Morganowi udało się dodzwonić z komórki do domu, więc cała rodzina już wie, że żyjemy i jesteśmy cali. To oczywiste, że wszystkie samoloty i śmigłowce wożą teraz ciężko rannych, zaopatrzenie i pomoc medyczną. A ja nie należę do żadnej z tych kategorii. Mogę poczekać.

- To potrwa jeszcze co najmniej kilka tygodni - ostrzegł ją Morgan. - Może nawet dłużej. Jestem w stałym kontakcie z logistyką i kiedy tylko będzie to możliwe, dostaniemy miejsca w samolocie. Na razie wiem, że moi ludzie będą tu lada dzień. Nasz samolot też przyda się do lotów z zaopatrzeniem. Wciąż dostajemy meldunki z terenu i wiemy coraz więcej na temat tego, jakich zniszczeń dokonało trzęsienie ziemi. Okazuje się, że nie wszystkie lokalne lotniska zostały całkowicie zdemastrowane. Nasz samolot może korzystać z krótkich pasów startowych, więc oddajemy go do dyspozycji logistyki. Wykorzystają go tam, gdzie będzie najbardziej przydatny. Poza tym zgłaszają się do nas właściciele awionetek i piloci cywilni. Ich pomoc bardzo się przyda, bo pilotów wojskowych jest mało, a przecież nie mogą latać bez przerwy. Przepisy mówią bardzo wyraźnie, ile godzin odpoczynku na dobę im się należy. To dobrze, bo przemęczony człowiek zaczyna popełniać błędy, a błąd pilota może kosztować ludzkie życie. Dlatego pomoc cywilów jest dla nas taka ważna. Dzięki temu możemy planować długofalową strategię.

- Tak jest. Poza tym musimy pamiętać o tym, że samolot ma obowiązkowe przeglądy po pięciu, dziesięciu, dwudziestu i trzydziestu godzinach lotu - dodał Wes. - Wtedy przejmują go mechanicy.

- To prawda - przytaknął poważnie Morgan. - Latanie samolotem lub śmigłowcem bez przeglądu nie wchodzi w grę. To też wiąże się z ogromnym ryzykiem. Tak, bardzo

potrzebujemy wykwalifikowanych mechaników lotniczych. Największy problem w tym, jak ich znaleźć. Bez telefonów i łączności radiowej to prawie niemożliwe.

- To prawda, mamy pełne ręce roboty - zgodziła się Callie, z przerażeniem myśląc o ogromie pracy, która czekała Morgana i Wesa.

Laura była coraz bardziej zmęczona. Wes położył rękę na ramieniu Callie.

- Pozwólmy im teraz trochę odpocząć. Jeszcze tu wrócimy. Kiedy wychodzili, Laura chwyciła Callie za rękę.

- Dziękuję ci z całego serca za to, co dla mnie zrobiłaś. Gdyby nie ty, nie byłoby mnie dziś tutaj. - Łzy napłynęły jej do oczu.

Callie także ogarnęło wzruszenie.

- Ja... cieszę się, że mogłam to zrobić. Mam tylko nadzieję, że uda nam się uratować jeszcze więcej ludzi. Nie mamy już wiele czasu...

- Zanotowałem sobie twoje nazwisko i nazwę jednostki, Callie - rozległ się chrapliwy głos Morgana. - Obiecuję ci, że kiedy tylko opanujemy sytuację i wszystko wróci do normy, nie zapomnimy o tobie. Należą ci się od nas solidne podziękowania.

- Ależ... przecież to był nasz obowiązek. Poza tym, kochamy naszą pracę. Ratownik żyje właśnie dla takich chwil, kiedy udaje mu się wyciągnąć kogoś spod gruzów. Kiedy patrzę na was razem, jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu.

Wes stał bez ruchu, słuchając pełnych emocji słów Callie.

Imponowała mu jej skromność. Nigdy nie używała słowa „ja”, tak jakby chciała usunąć się w cień, i uważała swoją niezwykłą odwagę i umiejętności za coś zwyczajnego. Był z niej naprawdę dumny. Widział, że Morgan naprawdę mówi szczerze. Callie i Dusty zasługiwali na to, by ich wyróżnić i pochwalić. Wiedział też jednak, że dla dowództwa jednostki to co robiła, nie było niczym wyjątkowym. Wykonywała tylko swoją pracę, więc nie czekał na nią medal.

Wyszli z sali na pełen ludzi, ruchliwy korytarz. Wes korzystał z okazji, by cieszyć się jej bliskością, przypadkowym dotknięciem dłoni. Na dół zjechali windą, co biorąc pod uwagę okoliczności, było niezwykle. Elektrownia atomowa, dostarczająca prąd do bazy, jakimś cudem przetrwała wstrząsy i wciąż funkcjonowała. Wojskowi elektrycy naprawili zerwane kable i teraz okolica Camp Reed była jedynym miejscem w promieniu kilkudziesięciu kilometrów, korzystającym z tego dobrodziejstwa cywilizacji.

Na zewnątrz również trwała gorączkowa krzątanina. Sanitariusze, ratownicy medyczni, nosze z chorymi, a także łżej ranni wypełniali chodnik przed szpitalem. Na równo przystrzyżonym trawniku rozstawiono namioty, aby pomieścić wszystkich potrzebujących pomocy. Jak okiem sięgnąć trwała walka z czasem i skutkami żywiołu. Wes spojrzął na

Callie, która również nie mogła oderwać wzroku od mrówczej krzątaczki. Ruszyli powoli w stronę ulicy.

- A jak ty się czujesz? - spytał, trochę poniewczasie. Spojrzała na niego pytająco.

- Ja? Dobrze. Naprawdę poczułam się lepiej, kiedy zobaczyłam małą i Laurę.

W jego oczach zalśniły łobuzerskie ogniki.

- A spotkanie ze mną? - Bał się, czy taka bezpośredniość jej nie wystraszy, ale nie potrafił się powstrzymać.

Uśmiechnęła się z wahaniem, jakby przyłapał ją na gorącym uczynku.

- Muszę przyznać, że moja druga myśl po tym, jak zostałam dziś rano brutalnie obudzona, dotyczyła ciebie.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? - Zatrzymał się tuż przy krawężniku. Wokół nich przelewał się tłum. W stronę głównej bramy Camp Reed jechał sznur co najmniej trzydziestu wojskowych ciężarówek, bardzo hałaśliwych. Wiozły zapasy wody, żywności i leków dla ofiar trzęsienia ziemi w pobliżu bazy - tam, gdzie drogi zostały już na tyle oczyszczone, by dojazd był możliwy.

Callie wyczuła w głosie Wesa troskę. Na jego ustach błąkał się rozbrajający, chłopięcy uśmiech.

- Nie chcę, żeby rozboleła cię głowa.

- Wyciągasz zbyt daleko idące wnioski.

Lubiła, kiedy tak się z nią droczył. W jakiś sposób te przyjacielskie docinki sprawiały, że nabierała pewności siebie i sama też zaczynała go prowokować.

- Tego właśnie się bałam.

- Ale można mnie jeszcze uratować.

- Tak? Uśmiechnął się szeroko.

- Pocałunek przywróci mi życie.

- Prosi się pan o kłopoty, poruczniku.

- Wiem. - Wes westchnął, patrząc w jej roześmiane, błyszczące oczy. - Tylko ty możesz mnie uratować od losu gorszego niż śmierć.

- Jasne - zachichotała. - Zamiast sztucznego oddychania będę cię ratować pocałunkiem.

- Wystarczy jeden, żeby postawić mnie na nogi - zapewnił ją.

Lubił, kiedy była w takim pogodnym, psotnym nastroju.

To była inna Callie niż ta, którą znał na co dzień, ale bardzo mu się spodobała. Miała bardzo stresującą pracę, a przecież udało jej się zachować poczucie humoru nawet w najbardziej ponurych i przygnębiających okolicznościach.

Callie stała z rękami w kieszeniach i patrzyła mu prosto w oczy.

- Wiesz co, Wes? Jestem jednak tchórzem.

- Co takiego? - Zszedł z chodnika na jezdnię, tak że ich oczy znalazły się prawie na tym samym poziomie. Po jej zmarszczonych brwiach widział, że mówi poważnie. - W moich oczach z pewnością nie. Wręcz przeciwnie, jesteś najodważniejszą kobietą, jaką znam.

Wzruszyła bezradnie ramionami.

- Nie... nie o tym mówiłam. Chodzi mi o to, że jestem tchórzem w sensie emocjonalnym. Chodzi mi... o wczorajszą noc. Kiedy odprowadziłam Dusty'ego, nagle ogarnął mnie strach. - Odwróciła wzrok, uciekając przed jego badawczym spojrzeniem. - Bałam się przyjść do hotelu, bo wtedy mogłabym pójść do twojego pokoju.

- Rozumiem. - W jej twarzy można było czytać jak w otwartej księdze. Chciał ją pocieszyć, przytulić, ale wiedział, że nie może tego zrobić.

- To miałam na myśli, mówiąc, że jestem tchórzem - westchnęła. - To na pewno dlatego, że moje nieliczne związki skończyły się katastrofą. Właściwie przyzwyczaiałam się już do tego, że mężczyźni traktują mnie tylko jako kogoś, kogo można wykorzystać do zaspokojenia własnych potrzeb, i nic więcej.

- To dlatego... ja też pewnie za bardzo cię ponaglałem. Myślałaś, że jestem taki sam jak oni?

Callie skinęła głową.

- Pragnę być blisko ciebie, Wes. Jeszcze nigdy z nikim się tak nie czułam. Ale kiedy wczoraj, w namiocie, rozmawiałeś ze mną tak szczerze i bez ogródek, po prostu się spłoszyłam. Wiedziałam, że zrobiłeś to nie dlatego, żeby zaciągnąć mnie do łóżka. - Uśmiechnęła się przekornie. - Myślę, że dość długo żyję już na tym świecie, by umieć rozpoznać różnicę.

- Chciała mówić dalej i zapytać, czy Wes wciąż czuje do niej tylko pociąg fizyczny, czy może także coś więcej, ale zabrakło jej odwagi. Dostrzegła w jego oczach niepokój. Domyśliła się, że znów wspomina Allison.

- Rozumiem - rzekł cicho. - Co dla nas z tego wynika?

- Boję się.

Uśmiechnął się i skinął głową.

- Ja też się boję, Callie. - Ulicą przejeżdżała kawalkada kilkunastu ciężarówek, więc przerwał na chwilę, czekając, aż ich miną i przestaną hałasować.

Callie znów musiała zwalczyć w sobie gorące pragnienie, by wziąć go za rękę.

- Widzisz? To właśnie mnie w tobie przeraża, Wes. Twoja bezwzględna szczerość. Jeszcze nigdy w życiu nie spotkałam mężczyzny, który byłby wobec mnie tak otwarty i bezpośredni.

- W takim razie nie spieszmy się - zaproponował Wes.

- Bóg jeden wie, jak ciężko będziemy pracować, kiedy znów wrócimy do naszego sektora. Pomarzymy o tym, że kiedy to wszystko się skończy, czekają nas tańce w klubie oficerskim. A może nawet piknik na plaży?

- Zgoda, ale gdy uda nam się być przez chwilę sam na sam, czy mogę skraść ci całusa?

- Callie uśmiechnęła się zalotnie. - Myślisz, że tylko ty masz na to ochotę? Ja też...

ROZDZIAŁ 9

6 stycznia, godzina 6.00

Wokół panowała cisza. Callie nakarmiła Dusty'ego, a teraz krzątała się w swoim namiocie, wciąż nie do końca przytomna po kilku godzinach snu. Od dwóch dni znowu pracowali w sektorze wokół hotelu Hoyt i niedawny jednodniowy urlop w bazie wydawał się równie nierealny, jak sen. Kiedy w wejściu namiotu pojawił się Wes, Callie klęczała na podłodze, zapinając Dusty'emu pomarańczową kamizelkę psa - ratownika.

- Masz trochę czasu? - spytał konspiracyjnym szeptem. Serce zaczęło jej bić szybciej w piersi.

- Jasne. Wejdz.

Wes uśmiechnął się, wszedł do namiotu i usiadł na świeżo pościelonym polowym łóżku.

- Wszyscy jeszcze śpią. Pomyślałem sobie, że będę egoistą i pozwolę im spać trochę dłużej, by przez chwilę pobyc z tobą sam na sam.

Callie uśmiechnęła się z zakłopotaniem i dokończyła zapinanie psiej kamizelki. Potem poklepała Dusty'ego.

- Chyba czytasz w moich myślach.

Okazało się, że po powrocie w rejon zniszczonego hotelu czekało ich jeszcze więcej pracy niż przed wyjazdem na odpoczynek. Wes dowodził teraz większą grupą, a zadania, które mu powierzono, miały znacznie szerszy zakres. W praktyce dowodził małym miasteczkiem namiotowym, pełnym żołnierzy i okolicznych mieszkańców, którzy stracili dach nad głową. Tam, gdzie początkowo stało zaledwie kilka namiotów, dziś było ich już dwadzieścia. Callie pracowała teraz na Dexter Street, gdzie zawalił się trzykondygnacyjny budynek mieszkalny. Wielu lokatorów uwolnili spod gruzów sąsiedzi, ale do części z nich

można było dotrzeć tylko dzięki pracy Dusty'ego, a następnie ciężkiego sprzętu. Na miejscu znajdowały się dźwigi i spychacze.

Wes wpatrywał się w jej błękitne, błyszczące oczy.

- A więc myślałaś o mnie? - zaczął się droczyć.

- Tak, myślałam. - Callie przyglądała mu się w szarym świetle poranka. Na horyzoncie wciąż widać było światła pożarów, ale z każdym dniem było ich coraz mniej. Wypalały się i gasły, również dzięki deszczom, które przeszły nad okolicą kilka dni wcześniej. Jednak niebo wciąż zasnuwała warstwa gęstego, czarnego dymu. Nikt nie potrafił ocenić, jakie straty dla środowiska spowodowało trzęsienie. Miną tygodnie, zanim uda się je oszacować. Dusty siedział spokojnie przy nodze, a Callie gładziła go za uszami.

- Czy mogę być wścibski i zapytać, o czym dokładnie myślałaś?

- Lepiej nie, bo jeszcze rozboli cię od tego głowa. Zaśmiał się, zdjął czapkę i przeczesał palcami krótko obcięte włosy. Potem posłał jej skruszone spojrzenie.

- Au! Zabolało. Ale sam się o to prosiłem.

- Niestety, masz rację.

- W każdym razie ja myślałem o tobie wczoraj przez cały dzień i całą noc, dopóki nie zasnąłem. Chcesz posłuchać, co chodziło mi po głowie?

- Jasne. - Zaśmiała się.

Przez cały wczorajszy dzień Callie ciężko pracowała na gruzach razem z Dustym. Odnaleźli pięć osób. Trzy już nie żyły, ale dwie udało się uratować. W czasie ich jednodniowego urlopu sierżant Perkins natrafiła na pięciu rannych i to sprawiło, że we wszystkich wstąpiła nowa nadzieja. O północy Callie była już taka zmęczona, że Wes kazał jej wracać do namiotu.

- Właściwie - zaczął - mam więcej pytań niż odpowiedzi.

- Tak?

Patrzył, jak drobnymi dłońmi głaszcze psa. Na pysku Dusty'ego malowała się bezbrzeżna błogość. Nagle zapragnął, by to jego Callie pieściła z taką czułością.

- Zastanawiałem się, czego pragniesz w życiu. - Wiedział, że nie ma żadnego prawa zadawać jej tak osobistego pytania, ale nie potrafił się powstrzymać. Zdawał sobie sprawę, że to, co do niej czuje, już dawno przestało być tylko pożądaniem. Powtarzał sobie, że to nierozsądne, że nie powinien na to pozwolić, ale uczucie było na tyle silne, iż nie umiał z nim dłużej walczyć.

Callie usiadła na podłodze. Dusty ułożył się obok, opierając głowę na jej kolanach. Popatrzyła w zamyśleniu na Wesa i po chwili milczenia powiedziała:

- Nie przypuszczałam, że będę pracować jako ratownik z psem. Wstąpiłam do piechoty morskiej z powodu rodzinnej tradycji. Mój ojciec, zanim został farmerem, przez kilka lat służył w tej jednostce, a przedtem jego ojciec. Uważałam, że dzięki tej pracy będę mogła zapewnić mojej rodzinie stały dochód. Cywilne firmy myślą tylko o tym, żeby zwiększać zyski. Kiedy przestajesz im być potrzebny, pozbywają się ciebie bez skrępowań. Nie chciałam żyć w takiej niepewności.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie masz marzeń na przyszłość?

Callie uśmiechnęła się melancholijnie.

- Tworzę je z dnia na dzień. Co ty na to? Wes zaśmiał się i odparł:

- Mój ojciec zaplanował mi całe życie, kiedy byłem jesh - cze małym chłopcem.

Wygląda na to, że pod tym względem bardzo się różnimy.

- Mówiłeś, że twoim marzeniem było tworzenie nowych rzeczy i pomaganie ludziom, więc chyba ci się udało. Tyle że nie robisz tego dokładnie w taki sposób, jaki wymyślił dla ciebie ojciec.

Wes popatrzył na nią badawczo.

- A jeśli chodzi o życie osobiste? Nie miałaś żadnych marzeń? Czy po wypadku ojca musiałaś z nich zrezygnować?

Gładząc złote futro Dusty'ego, Callie odparła:

- Obawiam się, że nie, Wes. Ojciec miał wypadek wtedy, gdy byłam jeszcze mała, więc dorastałam ze świadomością, że będę musiała pomagać rodzinie. - Wzruszyła ramionami.

- Zdaje się, że nie jestem zbyt intrygująca, prawda?

- Dla mnie jesteś naprawdę wyjątkowa - zapewnił. - Troszczysz się o innych. Nie jesteś samolubna. - Nachylił się i pogładził ją po policzku. - Jest w tobie tyle dobra, Callie.

- Widział, jak w jej oczach zabłyśły złote iskiereki, a skóra pod jego palcami zaróżowiła się i rozgrzała. Nie potrafiła ukryć, jak bardzo na nią działała, a to sprawiało, że pragnął jej jeszcze mocniej. - Nie bawisz się ludźmi, nie grasz na ich uczuciach. Jesteś prawdziwa.

Gdy wreszcie odsunął rękę od jej policzka, Callie miała ochotę wstać, zarzucić mu ramiona na szyję i całować bez opamiętania, do zatracenia. Nie mogła dłużej wątpić, że Wes szczerze pragnie stworzyć z nią prawdziwy związek. Jednak wciąż bolało ją to, że miał on opierać się tylko na pożądaniu, a nie na miłości.

Zaczynała się już poranna krzątanina. Callie słyszała rozmowy wychodzących z namiotów żołnierzy.

Spojrzał na nią z żalem.

- Chyba lepiej już pójde.

- Tak.

Ponieważ oboje byli równi stopniem, podwładnych Wesa nie dziwiło, że razem planują działania na kolejny dzień. Mimo to starali się zachowywać tak, by nie wzbudzić w nikim podejrzeń. Przed wyjściem Wes zawahał się, a potem odwrócił i mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Uważaj dziś na ruinach tamtego domu - poprosił.

- Będę uważać.

Opuścił klapę namiotu i zniknął. Callie nagle poczuła się osamotniona. Dusty zapiszczał cicho, wyczuwając jej smutek.

- Też za nim tęsknisz, piesku? - zapytała cicho, pochylając się i przytulając twarz do miękkiego futra. - I co ja mam teraz zrobić, Dusty? Nie mogę liczyć na to, że zdobędę jego serce. - Zamknęła oczy i westchnęła. - To tak, jakbym mogła być tylko z połową Wesa. Ja pragnę go całym sercem, ale z jego strony to tylko pożądanie... - Podniosła głowę i popatrzyła w bursztynowe psie oczy - Jak myślisz, powinnam się na to zdecydować? Czy będę umiała oddzielić namiętność od miłości?

Dusty zapiszczał znowu.

Callie westchnęła i zapięła mu uprząż. Od ruin dzieliło ich pół kilometra. Wiedziała, że inni żołnierze po śniadaniu skierują się prosto na miejsce. Ona zdążyła już zjeść, więc teraz schowała tylko do kieszeni kilka psich przysmaków dla Dusty'ego i wyszła z namiotu. Pies pracował równie ciężko, jak ona, dlatego potrzebował dodatkowych kalorii, by przetrwać kolejny długi dzień poszukiwań.

6 stycznia, godzina 22.00

Callie znajdowała się w samym środku rumowiska, na szczycie czegoś, co niegdyś było trzecim piętrem kamienicy, kiedy Dusty zaczął gwałtownie szczeleć. W dole koparka ładowała na ciężarówkę gruz ze zniszczonego budynku. Poza nimi w ruinach nie było nikogo. Większość dawnych mieszkańców udała się do prowizorycznego miasteczka namiotowego na ciepły posiłek. Czuło się już wieczorny chłód.

Opadła na kolana, krzycząc w dół, między warstwy potrzaskanego betonu, stali i szkła, które układały się w kształty jak ze snu szalonego rzeźbiarza. Dusty dyszał z podniecenia, kopiąc i wskazując kierunek, z którego wyczuł zapach człowieka.

- Halo! Słyszysz mnie? Nazywam się Callie.

Czekała chwilę, nasłuchując. Z oddali dobiegał hałas pracującej koparki. Odwróciła głowę i przyłożyła ucho do gruzów, nasłuchując. Po chwili oprócz bicia własnego serca usłyszała słaby głos.

- Pomocy!... Nie mogę się ruszyć... Wyciągnijcie mnie stąd!... - To był mężczyzna, prawdopodobnie bardzo osłabiony.

- Jak się pan nazywa?

Znów nasłuchiwała. Dusty zaskomlał niecierpliwie. Uciszyła go gestem i pokazała: „siad”. Posłusznie usiadł, ale nie przestał uderzać ogonem o ziemię.

- Al... Al Gordon... Zabierzcie mnie stąd!... Callie przytknęła do ust złożone dłonie i odkrzyknęła:

- W porządku, Al. Trzymaj się! Czy jesteś ranny?

- ..mam złamaną rękę. Nie mogę się ruszyć. Ściana przygniotła mi lewy bok...

- Słyszę cię. Zaraz sprowadzę pomoc!

Callie odpięła od paska telefon komórkowy. Procedura pozostała bez zmian: złożyć raport Wesowi, a on skieruje do niej ludzi i sprzęt.

Po kilku minutach Wes był na miejscu razem z szeregowym Bertramem i kapralem Orlandem. Cieszyła się, że przyszedł razem z nimi. Zaczęli od ustawienia na gruzach generatora na ropę, który zasiliał cztery silne lampy, niezbędne do prowadzenia akcji. Potem wspięli się na rumowisko.

Callie z czułością patrzyła na zmęczoną twarz Wesa. Ciemny zarost podkreślał wyraziste rysy. Kiedy ich oczy spotkały się na moment, znów poczuła to nieodparte pragnienie, by znaleźć się w jego ramionach. Wiedziała jednak, że to niemożliwe. Wes uśmiechnął się do niej i nachylił się, żeby poklepać Dusty'ego.

- Żyje? - zapytał.

- Tak, jest dokładnie pod nami. Nazywa się Al Gordon. Sądząc po głosie, to starszy człowiek, bardzo osłabiony.

- Nic dziwnego, jest tam uwięziony od kilku dni - zauważył Wes.

Callie przytaknęła i rozejrzała się dookoła.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Nie wiem, od czego zacząć. Rumowisko jest tu bardzo niestabilne. - Rzadko zdarzało się po tak długim czasie znaleźć pod gruzami żywą osobę, ale Callie miała już do czynienia z takimi przypadkami.

Wes rozejrzał się uważnie. Dzięki Bogu, wstrząsy wtórne z dnia na dzień stawały się coraz słabsze i radsze. Pierwszego dnia było ich osiemdziesiąt trzy, więc teraz, kiedy ich liczba spadła do dwudziestu - trzydziestu dziennie, Wes miał wrażenie, że jest już zupełnie spokojnie.

Callie była kompletnie przemoknięta. W wojskowych ubraniach, które wyglądały, jakby były na nią za duże, wydawała się niepozorna. Twarz miała umazaną błotem, a wilgotne

kosmyki przykleiły się do policzków. Dzień nie był ciepły, temperatura oscylowała wokół dziesięciu stopni, ale ciężka praca sprawiła, że na czole Callie widać było strużki potu.

Właśnie otworzył usta, żeby coś powiedzieć, kiedy ziemia zadrżała. Znowu! Kolejny wtórny wstrząs! Tym razem był silny i dotknął całą okolicę. Nagłe szarpnięcie było dla Wesa kompletnym zaskoczeniem. W ułamku sekundy potężna siła rzuciła go na ziemię. Słyszał krzyk Callie, ale nie potrafił jej pomóc.

Początkowo nie mógł złapać oddechu. Słyszał krzyki innych członków drużyny. Kiedy wreszcie udało mu się zaczerpnąć powietrza, odwrócił się na bok i wstał ostrożnie, starając się ponownie nie stracić równowagi. W szarawym wieczornym świetle zobaczył, że Callie leży niedaleko. Nie poruszała się.

Nie!

Wes rzucił się ku Callie, ogarnięty przerażeniem. Dusty siedział przy swojej pani i skomlał.

Uderzył kolejny wstrząs. Jeszcze raz powalił wszystkich na ziemię, bezwładnych jak szmaciane lalki. Wes zaklął pod nosem i zdążył tylko schować głowę w ramiona, kiedy po raz drugi żywioł cisnął nim o rumowisko z głośnym hukiem. Kiedy tylko drzenie ziemi ustało, podniósł się na kolana. Obok widział Bertrama i Orlanda. Oni również zauważyli, że z Callie dzieje się coś złego.

Miała na sobie kamizelkę ochronną, ta jednak nie zasłaniała karku. Wes aż zdrętwiał na przerażającą myśl, że stalowy pręt mógł przebić jej szyję. Wspiął się na warstwę gruzu i ruszył w jej stronę. Leżała nieruchomo, wciąż nieprzytomna.

Opadł na kolana. Wiedział, że nie może jej teraz ruszać. Jeśli ma uszkodzony kręgosłup, każda próba przeniesienia może się skończyć przerwaniem rdzenia kręgowego i trwałym paraliżem. Z obawą rozejrzał się dookoła. W pobliżu zauważył odłamek betonu. Na helmie Callie rysowało się wyraźne wgniecenie.

- Callie? - Położył jej dłoń na ramieniu i zawołał nagłaco. Nie potrząsnął nią, bojąc się, że pogorszy jej stan. Zamiast tego ścisnął jej ramię tak mocno, aż zbieleły mu palce.

- Callie, słyszysz mnie? To ja, Wes. Obudź się. No, dalej, obudź się, proszę...

Wokół zgromadzili się pozostali żołnierze. Z dołu nadbiegł ich lekarz, sierżant Cove.

- Jest tu, sierżancie. Musicie jej pomóc - powiedział z naciskiem Wes.

- Tak jest! - Cove wspiął się na stertę gruzu. Kiedy zobaczył nieprzytomną Callie, zbladł, ale natychmiast zabrał się do pracy. Położył na ziemi torbę, otworzył ją i wyciągnął parę gumowych rękawiczek. Potem ukląkł obok Callie i ostrożnie wziął ją za nadgarstek, szukając pulsu. Bertram i Orlando nachylili się nad nim, śledząc każdy ruch.

Wes przemówił do niej znowu, starając się zachować spokój. Nie dopuszczał do siebie myśli, że Callie może być ranna, choć widział jej bladą, nieprzytomną twarz. Spojrzał na sierżanta.

- I jak?

Nie udało mu się ukryć rozpaczy w głosie.

- Puls w porządku, poruczniku. Dziewięćdziesiąt to bardzo dobry wynik. - Cove wskazał ręką na zagłębienie w hełmie. - Prawdopodobnie uderzyła w tamten kawał betonu, kiedy zaczął się wstrząs. - Nachylił się nad Callie, przysuwając ucho do jej nosa i ust. - Oddycha normalnie. Bierze szesnaście wdechów na minutę, a norma jest od szesnastu do dwudziestu. Nie możemy jej ruszać ze względu na to, że mógł zostać uszkodzony kręgosłup. Proszę do niej wciąż mówić, a za minutę lub dwie powinna odzyskać przytomność.

- A wstrząs mózgu? - Wes zastanawiał się na głos. Pragnął tulić ją mocno, chronić przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Wiedział, że jej praca wiąże się z ryzykiem, ale teraz bał się tak bardzo, że zupełnie nie wiedział, co robić.

- To bardzo prawdopodobne. W takich wypadkach zawsze należy się z tym liczyć.

Callie jęknęła. Otworzyła oczy i świat przed nią zawirował.

- Budzi się! - zawołał radośnie Cove, uśmiechając się w swój charakterystyczny, przekorny sposób.

Wes nachylił się nisko, szepcząc Callie prosto do ucha:

- Słyszysz mnie? Dobrze się czujesz?

Wciąż kręciło jej się w głowie. Była tak słaba, że z wysiłkiem otwierała oczy. Bezwiednie podniosła rękę, by dotknąć kasku.

- Uch...! Co się stało?

Wes wyprostował się, siadając na piętach i patrzył, jak Callie powoli dochodzi do siebie.

- Mielśmy wstrząs wtórny, tak silny, że zwałił cię z nóg. Prawdopodobnie uderzyłaś w tamten kawałek betonu - wskazał - a potem upadłaś. Jak się czujesz? - Z trudem powstrzymał się, żeby nie wyciągnąć ręki i nie pogłodzić jej po policzku.

Mrugając w nadziei, że może to przerwie zawroty głowy, Callie z wysiłkiem podniosła się i usiadła. Była tak posiniaczona, że z wdzięcznością przyjęła pomoc Wesa, który podtrzymywał ją ostrożnie. Znowu był tak blisko niej. Napotkała jego zaniepokojone, pełne troski spojrzenie.

Czuła się nieswojo, jakby wszystkie zmysły ją zawodziły. Poczwała mdłości. Chwyliła kurczowo Wesa za ramię.

- Ja... nic mi nie jest... - wykrztusiła. - Tylko... muszę chwilę odpocząć. - Spojrzała zaniepokojona na otaczające ich rumowisko. - A co z Alem? Nic mu się nie stało?

Wes przywołał wzrokiem Orlanda.

- Kapralu, zawołajcie do rannego i sprawdźcie, jak się czuje.

- Tak jest! - Kapral przeszedł szybkim krokiem na miejsce, w którym leżał zasypany mężczyzna. Dusty wciąż warował obok.

Cove nachylił się nad Callie, podtrzymując ją jedną ręką.

- Proszę pani, czy czuje pani zawroty głowy? Albo mdłości? Mdli panią?

- Tak... - szepnęła Callie, wciągając z wysiłkiem powietrze. Oddech miała ciężki, urywany. Choć bardzo się starała, mdłości nie ustępowały.

Cove popatrzył znacząco na Wesa, po czym rzekł:

- To wstrząśnienie mózgu. - Potem wrócił znów do Callie. - Teraz panią zbadam, żeby się upewnić, czy nie ma żadnych złamań.

Callie oblizwała spierzchnięte wargi.

- Jasne... ale wydaje mi się, że wszystkie kości są całe.

- Mam taką nadzieję - zapewnił ją Cove. - To zajmie tylko minutkę.

Wes odsunął się, pozwalając, by sierżant zbadał Callie. Choć nie okazywał tego po sobie, w środku aż trząsał się ze strachu. Pamięć podsuwała mu wspomnienia śmierci Allison. Bał się, że ciąży nad nim fatum.

Uświadomił sobie, że czuje do Callie coś więcej niż tylko pociąg fizyczny. Nie chciał jednak o tym rozmyślać. Jeszcze nie teraz. Nie jest na to gotowy.

Słyszał głos Orlanda, wołającego Ala Gordona. Tuż obok stał szeregowy Bertram z zatroskaną miną, gotów w każdej chwili rzucić się do pomocy. W ciągu ostatniego tygodnia drużyna bardzo się ze sobą zżyła i przypominała teraz prawdziwą rodzinę. Wes widział, że szeregowy martwi się o Callie.

- Słyszę go! - krzyknął radośnie Orlando.

Wes wstał i zobaczył, jak Orlando uniósł w górę kciuki.

- Świetnie. Szeregowy Bertram, pomóżcie kapralowi Orlando odgarniać gruz, żebyśmy jak najszybciej wyciągnęli stamtąd pana Gordona.

- Tak jest. - Żołnierz pobiegł do Orlanda, który zaczął już odrzucać na bok potrzaskane drewniane belki.

Wes nie opuszczał Callie. W pełnej napięcia ciszy obserwował sprawne ruchy sierżanta Cove'a, badającego ją dokładnie. Callie mogła umrzeć. Jak wyglądałoby jego dalsze życie,

gdyby tak się stało? Wes zamknął oczy i zacisnął usta tak mocno, że utworzyły cienką, prostą linię.

- Proszę zdjąć kask. Muszę zbadać pani głowę.

- Tak... oczywiście... - Callie próbowała nieporadnie odpiąć zdrętwiałymi palcami pasek pod brodą. Czuła się bardzo słabo, wciąż się trzęsła, a ręce po prostu odmawiały jej posłuszeństwa. Zrezygnowana, spojrzała na Wesa, prosząc milcząco o pomoc.

Skinął głową i pochylił się nad nią. Rozpinając pasek, pogładził przelotnie palcami jej policzek. Callie spróbowała się uśmiechnąć, ale nie miała sił. Zawroty głowy były coraz silniejsze.

- Dzięki. - Zdjęła kask i natychmiast poczuła ciepły strumyk, spływający za uchem w dół szyi. - Zdaje się, że naprawdę mocno uderzyłam głową - zauważyła, podając Wesowi kask. Podniosła rękę i dotknęła bolącego miejsca. Sierżant Cove delikatnie obejrzał zranione miejsce.

- Zgadza się, ma pani pięciocentymetrową ranę szarpaną, na pewno od tego uderzenia. Bardzo spuchła.

Wes zmarszczył brwi i zapytał:

- Sierżancie, czy nie powinniśmy jej zawieźć do Camp Reed?

- Tak, myślę, że to najlepsze rozwiązanie. Prawdopodobnie mamy do czynienia ze wstrząśnieniem mózgu. Poza tym trzeba zszyć tę ranę na głowie. Nie można jej tak zostawić.

- Nie - zaprotestowała Callie słabym głosem. - Wes, nie. Chcę tu zostać. Musimy wydostać Ala...

Wes spojrzał na nią ze smutkiem. Serce pękało mu z bólu, gdy widział rozpacz w jej oczach. Siedziała na rumowisku, a strumyk krwi spływał jej po szyi i wsiąkał w kołnierz wojskowej bluzy.

- Sierżancie, razem zabierzemy ją do kwatery głównej. Kiedy już tam będziemy, opatrzycie jej rany.

- Tak jest.

- Nie chcę nigdzie wyjeżdżać! - szepnęła Callie, szukając wzrokiem Wesa. - Proszę mi tylko założyć opatrunek, sierżancie. Nic mi nie będzie. Już się lepiej czuję. - To było kłamstwo, ale Callie za żadne skarby nie chciała opuścić rumowiska. Była tu potrzebna bardziej niż kiedykolwiek, ona i Dusty. Pamiętała o tym, że większość uwięzionych pod gruzami ludzi umiera w piątej dobie od wypadku, i dlatego nie chciała w takim momencie trafić do bazy.

- Potem porozmawiamy - obiecał Wes. - Sierzancie, proszę mi pomóc ją znieść z tego rumowiska.

6 stycznia, godzina 22.30

Callie leżała w łóżku. Wciąż kręciło jej się w głowie. Dusty wyciągnął się na podłodze i zasnął, słyszała jego donośne chrapanie. Światło latarni zasilanych prądem z generatora prześwitywało przez ścianki namiotu. Sierżant Cove oczyścił jej ranę, założył na nią jałowy opatrunek i fachowo obwiązał bandażem. Teraz potrzebowała Wesa. On jednak zniknął zaraz po tym, gdy razem z sierżantem przynieśli ją do namiotu. Bała się i wiedziała, że uścisk jego mocnych, męskich ramion może przynieść jej ukojenie; musiała tylko pamiętać o tym, żeby nie liczyć na jego wzajemność. Kiedy o tym pomyślała, w oczach znów zebrały się jej łzy.

- Jeszcze nie śpisz?

To był Wes, stojący niepewnie przy wejściu do namiotu. Podnosząc się na łokciach, odparła:

- Nie, wejdź do środka.

Callie przymknęła oczy i z całej siły zacisnęła ręce na żelaznej ramie łóżka. Z wysiłkiem podniosła się i usiadła, choć czuła się wciąż tak słaba, jakby w każdej chwili mogła przewrócić się i upaść. Zawroty głowy nie ustępowały, nadal męczyły ją mdłości. Słyszała kroki Wesa wchodzącego do namiotu. Kiedy uniosła powieki, zobaczyła, jak zasuwa za sobą brezentową klapę. Spojrzał na nią z troską.

- Nic mi nie będzie - powiedziała cicho, ale z przekonaniem.

Wes stał obok niej, zdruzgotany. Wpatrywał się z uwagą w jej pobladłą twarz.

- Sierżant Cove powiedział, że trzeba ci będzie założyć szwy na głowie, musisz też wziąć szczepionkę przeciw tężcowi. Nie mówiąc już o antybiotykach. Jutro z samego rana wysyłam cię do bazy, pierwszym śmigłowcem, który będzie tam leciał.

- Nie!

Wes zaklął cicho pod nosem i przyklęknął na jednym kolanie. Oparł dłonie na jej drobnych ramionach. Serce go bolało, gdy widział rozpacz w błękitnych oczach.

- Posłuchaj mnie, Callie. Jesteś ranna. Za bardzo mi na tobie zależy, bym mógł ci pozwolić zostać tu w takim stanie. A jeśli zachorujesz na tężec? To poważna choroba, może być nawet śmiertelna. Musisz wrócić do bazy i oddać się pod opiekę lekarzy.

Chwyliła kurczowo jego ramię i wyszeptwała:

- Nie! Nic mi nie będzie. Wes, wierz mi, wiele razy byłam o wiele ciężej ranna w czasie akcji ratunkowych i nie miałam nawet szans na opiekę lekarza. Po prostu nie mogę teraz przerwać pracy! Muszę dalej szukać! Przecież tam, pod gruzami, wciąż są ludzie. Oni na

mnie liczą. Ważna jest każda godzina, każda minuta. - Głos jej się załamał, zacisnęła dłonie na jego kurtce tak mocno, aż zbieleły jej kostki palców. - Ty też mnie potrzebujesz, Wes. Proszę, pozwól mi zostać... proszę... - Zamilkła, z trudem powstrzymując płacz.

- Niech to szlag, Callie. - Ujął jej twarz w dłonie. - Za bardzo mi na tobie zależy, żebym mógł cię tu zostawić. Nie zamierzam ryzykować, że cię stracę. - Pochylił się i musnął wargami jej rozchylone, drżące usta. Były słone od łez. Dobiegł go cichy, zduszony jęk. Wiedział, że pragnęła tego pocałunku tak samo jak on. Przycisnął usta mocniej, chcąc, by poczuła siłę jego namiętności. Nagle przed oczami stanęła mu twarz Morgana Trayherna, jego oczy, z których biła żarliwa miłość do żony. Wes zrozumiał, że czuje do Callie to samo, ale zaraz odpędził od siebie tę myśl. Wciąż jeszcze nie był gotów, by przyznać się do tego nawet przed samym sobą.

Świat wokół Callie znów zawirował, ale tym razem nie z powodu rany. Nie, sprawiły to gorące usta Wesa. Spod zaciśniętych powiek znów popłynęły łzy. Wes był bardzo silny, Callie czuła się w jego ramionach całkowicie bezpieczna. Wiedziała, że pamięta o jej ranach, i uważa, by nie sprawić jej bólu. Nie chciał jej skrzywdzić. Chciał się nią opiekować, troszczyć się o nią. Gładził jej plecy i ramiona, a potem znów przyciągnął ją do siebie.

Nigdy w życiu nie czuła się tak pożądana przez mężczyznę. Kiedy odsunął w końcu usta od jej warg, otworzyła powoli oczy. Jego gorące spojrzenie sprawiało, że cała płonęła. Tak to właśnie jest, kiedy się kocha, rozumiała po raz pierwszy w życiu. Wes jej pragnął, wiedziała to na pewno. Widziała to w jego przymglonym spojrzeniu i czuła w dotyku dłoni, gładzących jej kark i plecy.

- Nie odsyłaj mnie - poprosiła jeszcze raz łamiącym się głosem.

- Zrobię to, Callie. Zrobię to dla twojego własnego dobra. Wes chciał, by była bezpieczna. Bał się jak jeszcze nigdy w życiu. Tam, na rumowisku, Callie mogła wpaść na wystający pręt zbrojeniowy i nadziać się na niego. Mogła zginąć. W tej chwili, gdy ją całował, kiedy trzymał ją w ramionach, mogła być umierająca albo już nie żyć.

- Nie! - załkała. - Musisz mi pozwolić tu zostać, Wes! Musisz! - W bezsilnej złości uderzała w jego pierś pięściami. - Chcesz mnie tam odesłać z powodu twojej własnej przeszłości, dlatego, że straciłeś Allison... - Nareszcie powiedziała to głośno. - Ale ja nie jestem Allison! To ja! Callie!

Zacisnął usta. Aż zatrzęsł się od jej oskarżeń. Nie umiał jednak pozostać obojętny na widok jej łez.

- Dobrze, już dobrze, posłuchaj mnie teraz uważnie. - Chwycił ją za ramiona i zmusił, by na niego spjrzała, choć widok jej łez był trudny do zniesienia. - Odeślę cię do bazy jutro

rano, o szóstej. Pójdiesz do szpitala i tam jeszcze raz cię zbadają. Jeśli lekarze zgodzą się, żebyś tu wróciła, w porządku. Nie mogę postąpić inaczej, Callie. Ja... za bardzo mi na tobie zależy, żebym mógł pozwolić ci zostać w takim stanie bez możliwości właściwego leczenia. Rozumiesz? - Głos miał pełen napięcia. - Czy to rozumiesz?

- Tak... dobrze. Pojadę do bazy, ale zobaczysz, że wrócę jeszcze tego samego dnia. - Dwa razy dziennie do sektora przylatywał Huey, przywożąc zaopatrzenie i zabierając ciężiej rannych do szpitala.

- Aniele, jestem twój. - Wes uśmiechnął się i przycisnął drobną dłoń do piersi, nad sercem. - Wiem, że wolałabyś zostać tu z nami, i wiem też, jak bardzo jesteś tu potrzebna, ale nie możemy ryzykować twojego życia.

Pochyliła głowę, nie odrywając dłoni od jego kurtki i szepnęła:

- W porządku. Lepsze to niż nic.

- Muszę już iść - powiedział. - Wolałbym zostać jeszcze z tobą, ale czekają na mnie.

- Idź, chłopaki na pewno potrzebują twojej pomocy. Trzeba uwolnić Alę Gordona. Wiem, że doskonale dacie sobie radę. - Uśmiechnęła się przez łzy.

Już chciała powiedzieć „kocham cię”, ale ugryzła się w język. To dziwne, ale spojrzenie Wesa przypominało jej wzrok Morgana Trayherna, gdy w końcu udało im się znaleźć pod gruzami Laure. Jeżeli to nie była miłość, to co nią było?

- Dusty zostanie tutaj? - spytała.

Wes spojrział na śpiącego na podłodze psa.

- Tak, zajmę się nim.

- To dobrze - szepnęła uspokojona. Skoro Wes zgodził się, by Dusty został na miejscu, to znaczyło, że liczył się z jej szybkim powrotem. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego szorstkiego, pokrytego zarostem policzka.

- Tylko uważaj na siebie. Ja też się o ciebie boję, wiesz? Wes skinął głową, a potem chwycił jej dłoń i wycisnął na

niej długi, gorący pocałunek.

- Zadbaj, żeby dobrze się tobą zajęli, Callie. Tylko o to cię proszę.

ROZDZIAŁ 10

7 stycznia, godzina 13.00

Callie?

Callie drzemała z głową opartą o ścianę na korytarzu wojskowego szpitala w Camp Reed, kiedy usłyszała, że ktoś woła jej imię. Tłoczyła się na drewnianej ławce z trojgiem

innych rannych, ale była tak wyczerpana, że mimo niewygody co chwila zapadała w sen. O szóstej trzydzieści wojskowy śmigłowiec wylądował w Camp Reed, a stamtąd karetka zawiozła ją prosto do szpitala. Ponieważ w porównaniu z innymi rannymi, przywożonymi tu z całego obszaru dotkniętego trzęsieniem, jej stan nie był ciężki, została zaklasyfikowana do grupy najmniejszego ryzyka i wiedziała, że ma przed sobą długie oczekiwanie.

Jej obrażenia nie zagrażały bezpośrednio życiu. Dlatego, choć siedziała na korytarzu już od kilku godzin, nie obejrzał jej jeszcze lekarz. Nie miała im tego za złe. Widziała, jak w izbie przyjęć lekarze i sanitariusze dwoją się i troją, by zaopiekować się ludźmi w bardzo ciężkim, często wręcz krytycznym stanie. Wiedziała, że minuty mogą decydować o ich życiu lub śmierci.

Ktoś zawołał ją po raz drugi, na dobre wytrącając z lekkiej drzemki. Podniosła głowę i zamrugła, na wpół przytomna. Musiało się jej wydawać. To nie mógł być głos Wesa. Wyprostowała się i rozejrzała po korytarzu, który wypełniał tłum chorych i sanitariuszy, pilnujących porządku i kierujących rannych do odpowiednich lekarzy. Krzyki i jęki cierpiących mieszały się z pełnymi napięcia głosami lekarzy i pielęgniarek, otaczając ją ze wszystkich stron.

Wes zobaczył, jak Callie powoli się prostuje. Wciąż miała na głowie prowizoryczny opatrunek, założony przez sierżanta Cove'a. Włosy były splątane, część z nich przylegała płasko do głowy, może sklejona krwią wypływającą z rany? Ruszył szybkim krokiem w jej stronę. Ogarnął go gniew. Wyglądała na kompletnie wyczerpaną. Kiedy podszedł bliżej, zauważył, że z jej oczami dzieje się coś dziwnego. Przyklęknął na brzegu ławki i szepnął:

- Pomyślałem, że zajrzę i sprawdzę, jak się miewasz. Callie posłała mu słaby uśmiech i podniosła wzrok.

- Wes, co ty tu robisz? - Nagle zdała sobie sprawę, że zwracają na siebie uwagę. Oboje byli oficerami, do tego równymi stopniem, ale jakiegokolwiek przejawy uczucia pomiędzy nimi nie byłyby dobrze widziane.

Wes oparł jedną rękę na drewnianej ławce obok Callie, a drugą położył jej na ramieniu. W tej chwili nie interesował go wojskowy regulamin, tylko zdrowie Callie. Przenikliwym wzrokiem obrzucił jej twarz.

- Przywiozłem tu Ala Gordona. Udało się nam go uwolnić - powiedział. - Teraz jest w izbie przyjęć, ma złamaną rękę i nogę. Facet ma osiemdziesiąt lat, ale całkiem nieźle się trzyma. Pomyślałem, że przywiozę go i przy okazji dowiem się, co u ciebie słychać.

- Niech zgadnę. Poszedłeś najpierw do hotelu oficerskiego, myśląc, że leżę tam sobie i odpoczywam? - W jej głosie słychać było rozbawienie. Widziała, jak w jego oczach pojawiają

się gniewne ogniki. Wes był brudny i zakurzony. Musiał się ciężko napracować, żeby uwolnić spod gruzów Ala Gordona.

- Tak, ale ciebie tam nie znalazłem. Zacząłem się niepokoić, pomyślałem, że może zatrzymali cię na dłużej w szpitalu albo odesłali dalej, bo rana na głowie okazała się o wiele poważniejsza, niż przypuszczaliśmy.

- Cóż, możesz już przestać się zamartwiać - powiedziała kojącym głosem. Wskazując ręką ranę na głowie, dodała: - Kobiety z zespołu ochotniczek w izbie przyjęć zakwalifikowały mnie do trzeciej grupy, jako lekko ranną, a to oznacza, że muszę czekać w kolejce.

- Ale przecież byłeś tu po szóstej rano! Chcesz mi powiedzieć, że cały dzień siedzisz i czekasz i że nie obejrzał cię jeszcze żaden lekarz?! - Callie zasługiwała na lepsze traktowanie.

- Wes, rozejrzyj się dookoła. Naprawdę nie ma tu dość lekarzy, by obsłużyć tylu rannych. I tak ich podziwiam, że jakoś sobie radzą. Sytuacja jest wyjątkowa, a ja jestem przecież tylko lekko ranna. Boli mnie głowa... ale zawroty minęły.

Wstał i rozejrzał się. Marynarka wojenna oddała cały swój personel medyczny do dyspozycji piechoty morskiej. Wojskowych sanitariuszy można było poznać po zielonych albo niebieskich fartuchach chirurgicznych. Lekarze nosili białe kurtki, a pielęgniarki i pielęgniarze, wszyscy w stopniach oficerskich - białe fartuchy. Ścisnął Callie za ramię i rzucił:

- Zostań tu. Sprowadzę kogoś, żeby się tobą zajął. Callie otworzyła usta i podniosła rękę, chcąc zaprotestować, ale Wes już zniknął w tłumie wypełniającym korytarz.

Wpadł jak burza do oddziału urazowego, otwierając z impetem drzwi. Musiał znaleźć lekarza - natychmiast! Zauważył lekarkę, nachylającą się nad starszą pacjentką. Ośluchiwała klatkę piersiową rannej. Natychmiast ruszył w jej kierunku. Zagroził jej drogę, kiedy skończyła badać starszą panią na wózku i zwróciła się w stronę następnego pacjenta.

- Pani porucznik? - Na przodzie poplamionego krwią fartucha miała czarną naszywkę z nazwiskiem, wyszytym białymi literami. - Poruczniku Andrews?

Natychmiast się zatrzymała.

- Słucham?

Teraz widział wyraźnie, jak bardzo jest zmęczona.

- Wiem, że jest pani bardzo zajęta, ale na korytarzu siedzi moja podkomendna, jest ratownikiem. Miała wstrząśnienie mózgu i czeka tam już od siedmiu godzin. Czy może pani na nią chociaż zerknąć? Proszę...

Samantha Andrews spojrzała na niego ponuro. Zacisnęła usta.

- Poruczniku... - Rzuciła okiem na jego naszywkę, umieszczoną nad kieszenią munduru, na lewej piersi. - Poruczniku James, bardzo mi przykro, ale jeśli pana podkomendna została zakwalifikowana do grupy trzeciej, musi poczekać.

- Chwileczkę - rzucił Wes, zastępując jej drogę - tylko pięć minut, pani doktor. Nie proszę o nic więcej. Ta kobieta, Callie Evans, uratowała w ciągu ostatnich pięciu dni tylu ludzi... razem ze swoim psem przeszukiwała rumowisko i wyciągała ich spod gruzów. Zasluguje na lepsze traktowanie.

Samantha Andrews zawahała się, popatrzyła na swoich pacjentów, a potem znów na Wesa.

- W porządku, poruczniku. Rozumiem pana punkt widzenia, ale naprawdę mam tu tyle cięższych przypadków...

- Proszę - powiedział błagalnie Wes. Widział, że lekarka waha się. Przez chwilę mierzyła go uważnym spojrzeniem.

- Zgoda, poruczniku. Gdzie ona jest?

Callie starała się nie okazywać zaskoczenia, gdy zobaczyła zbliżającą się energicznym krokiem rudowłosą lekarkę i depczącego jej po piętach Wesa. Na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia.

- Jak się czujecie, poruczniku Evans? - spytała lekarka, sprawnie naciągając na dłonie parę gumowych rękawiczek i oglądając ranę na głowie.

- W porządku, tylko trochę kręci mi się w głowie... i wciąż mnie mdli.

- Kiedy doszło do zranienia? - Doktor Andrews kucnęła przed Callie i zaświeciła jej w oczy małą latarką. Obserwowała, jak źrenice kurczą się i rozszerzają pod wpływem światła.

- Wczoraj wieczorem, właściwie w nocy... - Callie siedziała nieruchomo. Bardziej poczuła, niż zobaczyła, że Wes stanął tuż obok, obserwując każdy ruch lekarki.

Doktor Andrews podniosła dłoń na wysokość oczu Callie.

- Ile palców widzicie, poruczniku?

- Dwa.

- Dobrze. Widzicie je wyraźnie?

- Tak.

- Nie są rozmazane albo migoczące?

- Nie... widzę je wyraźnie. Lekarka uśmiechnęła się i wstała.

- W porządku. Na moje oko doszło do wstrząśnienia mózgu, ale niezbyt poważnego - powiedziała i przeniosła wzrok na Wesa. - Pana narzeczona niedługo z tego wyjdzie.

Poszukam pielęgniarki... - Rozejrzała się, przywołała kogoś gestem ręki i odwróciła się do Callie.

- Poruczniku, dostaniecie czterdzieści osiem godzin zwolnienia, macie odpoczywać i regenerować siły. Nie wolno wam opuszczać terenu hotelu oficerskiego. Niech mózg odpocznie po tym, co przeszedł w czasie wypadku. Poza tym wyglądziecie na przemęczoną. Założę się, że pracowaliście bez odpoczynku i za mało śpicie.

- Ale... - Callie próbowała protestować.

Doktor Andrews jednak już jej nie słuchała. Była zajęta wydawaniem dyspozycji pielęgniarce, która pojawiła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Siostrze Collins, proszę dać pani porucznik zastrzyk przeciwężcowy, zaszyć jej ranę na głowie i wypisać czterdziestoosmiodziny urlop zdrowotny, z zakazem opuszczania bazy. Aha, i jeszcze trzeba wypisać receptę na amoksycylinę, zapas tabletek na dziesięć dni. Wszystko jasne?

- Tak, pani doktor. Lekarka skinęła głową.

- Potem przyniescie mi wszystkie papiery do podpisu.

- Tak jest.

Callie próbowała wstać. Zawroty głowy tak gwałtownie się nasiliły, że gdyby nie Wes, na pewno upadłaby na podłogę. Wspólnie z siostrą Collins przeprowadzili Callie do pokoiku położonego w głębi korytarza. Ciemnowłosa pielęgniarka otworzyła drzwi i wskazała ręką na stojące pod ścianą nosze na kółkach.

- Proszę usiąść, poruczniku - rzuciła, wyciągając z szafki jednorazowe rękawiczki.

Callie obróciła się ostrożnie i usiadła, wciąż podtrzymywana przez Wesa. Patrzyła na niego wymownie, bez słów dziękując za pomoc. Na ramieniu wciąż czuła uścisk jego mocnej, szerokiej dłoni. Tak bardzo chciała w tej chwili znaleźć się w jego ramionach... Sytuacja zaczęła ją przerastać. Brak snu, napięcia związane z pracą, widok śmierci tak wielu ludzi i świadomość, że teraz, kiedy nie może kontynuować poszukiwań, pod gruzami zginą kolejne ofiary, to wszystko razem sprawiało, że znalazła się na granicy hysterii.

Siostra Collins oczyściła ranę na głowie z kurzu i zakrzepłej krwi, potem zgoliła włosy w jej bezpośrednim sąsiedztwie i zabrała się za zakładanie szwów. Na szczęście była doświadczoną pielęgniarką i sprawnie wykonywała swoje zadania. Jednak i po niej widać było stres i zmęczenie.

Po dziesięciu minutach Callie otrzymała niezbędną pomoc - rana na głowie została zaszyta i zakryta świeżym opatrunkiem, dostała też zastrzyk przeciwężcowy i zwolnienie

lekarskie. Kiedy pielęgniarka wyszła z pokoju po receptę na antybiotyk, Wes zabrał ze stołu zwolnienie i schował je do kieszeni.

- A teraz do łóżka.

- Najpierw gorący prysznic. Marzę o tym.

- Zgoda. Chodź, pomogę ci wstać. Wciąż jesteś bardzo słaba.

I tak właśnie było, niezależnie od tego, czy chciała się do tego przyznać, czy nie. Siostra Collins wróciła z receptą, podpisaną przez doktor Andrews. Callie podziękowała jej za pomoc, pielęgniarka uśmiechnęła się i już jej nie było.

Callie z wdzięcznością przyjęła pomocne ramię Wesa. Z trudem wstała, trzymając w ręce czapkę z daszkiem, której nawet nie próbowała wcisnąć na zabandażowaną głowę. Powoli stawiała niepewne, chwiejne kroki.

- Teraz - szepnęła, gdy Wes otwierał przed nią drzwi - marzę tylko o tym, żeby się stąd wydostać.

Rozumiał ją doskonale. Z trudem przeciskali się przez zatłoczone szpitalne korytarze, pełne rannych, lekarzy, pielęgniarek i sanitariuszy z noszami. Szedł teraz przed nią, torując jej drogę.

- Trzymaj się mnie, aniele. Zaprowadzę cię do domu najszybciej, jak to tylko możliwe.

„Aniele”... Serce Callie zabiło mocniej. Wes trzymał ją za rękę, ciałem zasłaniając ją przed ludzką masą. „Dom”, jak to cudownie brzmiało... Pomimo całego zmęczenia Callie nagle jakby urosły skrzydła. Wes odnalazł ją, a przecież wcale nie musiał tego robić. Jego opiekuńczość i troska były wzruszające.

Wyszli ze szpitala wprost na jaskrawe, kalifornijskie słońce. Wes mocno trzymał ją pod ramię. Ostrożnie stawiała kroki, ponieważ nadal kręciło się jej w głowie. Potrzaskany, nierówny chodnik był pełen przechodniów. Po ośmiu dniach od kataklizmu wszyscy byli na granicy wyczerpania. Wes odwrócił głowę i spojrzał na Callie, która całą uwagę skupiła na tym, gdzie postawić kolejny krok.

- Wszystko w porządku? - spytał łagodnie.

- Tak... jakoś sobie radzę. Dzięki, Wes. Dziękuję, że sprowadziłeś lekarza.

- Inaczej spędziłabyś tam kolejne dziesięć godzin, prawda?

- Nie... właściwie zamierałam wyjść. Pomyślałam, że po prostu pójdę do swojego pokoju w hotelu, przemyję ranę wodą z mydłem, wezmę prysznic, przebiorę się w czyste ubranie, a potem wrócę najbliższym śmigłowcem do naszego sektora.

Czarne brwi powędrowały do góry.

- Rzeczywiście byś to zrobiła? - bardziej stwierdził, niż spytał.

Wes nie miał co do tego wątpliwości. Hotel znajdował się w odległości niespełna czterystu metrów od szpitala, przy tej samej ulicy. Piechotą można tam było dotrzeć w kilkanaście minut, zwłaszcza że dzień był ciepły, a na błękitnym niebie nie widać było ani jednej chmurki.

- Bez wahania.

- Coś mi mówiło, że jesteś w opałach.

Szli powoli, ramię przy ramieniu. Miło było czuć dotyk jej drobnej dłoni.

- Intuicja? - Na ustach Callie pojawił się cień uśmiechu.

- Być może. Do tej pory nie miałem przeczuć, więc nie wiem, jak to jest, ale pewnie można to tak określić.

- W porządku. Jak się czuje Dusty?

- Przyleciał tu ze mną, zabrałem go do śmigłowca. Na lotnisku zostawiłem go pod opieką sierżanta z kontroli lotów, bo musiałem odwiedzić Ala Gordona do szpitala. A teraz czeka na ciebie w hotelu, w twoim pokoju. Dostał pełną miskę jedzenia, więc pewnie śpi.

Słyszając to, Callie poczuła ogromną ulgę.

- To cudownie! Dziękuję, Wes. Wiesz, że w moich oczach jesteś prawdziwym bohaterem?

- Muszę przyznać, że kapitan hueya, niejaki Nolan Galway, nie był zbyt szczęśliwy z powodu tego lotu. Prawdę mówiąc, bardzo się irtował, że zabieram na pokład psa.

- Ale dlaczego?

- Zamówiłem specjalny lot ze względu na Gordona. Musiałem mocno przekonywać logistykę, żeby przydzielili mi śmigłowiec. Zawrócili go z drogi i dlatego pilot od początku był niezadowolony. No, a kiedy dowiedział się, że na dodatkę ma zabrać psa... Myślę, że wszyscy stajemy się coraz mniej odporni na stres.

- Ni mniej, ni więcej, zmusiłeś ich, żeby dostosowali się do twojej woli, tak samo jak postąpiłeś z tą lekarką? - spytała przekornie.

Uśmiechnął się zażenowany.

- Możesz to tak ująć.

Stali przed półkolistym podjazdem do hotelu, otoczonym szpalerem dębów. Trzypiętrowy budynek był stary, pochodził jeszcze z lat trzydziestych. Wes zawsze go lubił, a teraz również podziwiał, jak mocna okazała się jego konstrukcja. Choć Camp Reed znalazł się poza zasięgiem najsilniejszych wstrząsów, kataklizm również tutaj wyrządził szkody. Spośród wszystkich budynków w bazie właśnie hotel zniósł trzęsienie ziemi najlepiej. Na ścianach pojawiły się wprawdzie pęknięcia, ale z pewnością będzie je można łatwo naprawić.

Wes wprowadził Callie do środka, wpisał ich nazwiska do hotelowego rejestru, a potem pomógł jej pokonać drewniane schody prowadzące na piętro. W budynku nie było wind. Żołnierze piechoty morskiej musieli być sprawni fizycznie, a częste wchodzenie po schodach uważano za właściwy dodatek do codziennych ćwiczeń. Jednak teraz, gdy Callie ledwo stała na nogach i wciąż kręciło jej się w głowie, pokonanie kilkudziesięciu stopni stało się poważnym problemem. Wes towarzyszył jej w drodze na górę, wykazując cierpliwość i troskliwość.

Pokój znajdował się na pierwszym piętrze, w połowie długiego korytarza. Wes ruszył przodem i otworzył drzwi. Tym razem przydzielono jej inny pokój niż poprzednio.

- Dzięki. - Callie z ulgą przestąpiła próg. Pokój był mały, z trudem mieściło się w nim łóżko, szafka nocna, stolik. Obok była mała łazienka z prysznicem. Surowy wystrój wnętrza ożywiała jedynie wisząca w oknie gruba, złotożółta zasłona. Wpadające do pokoju słońce odbijało się w drewnianej podłodze. W szafie czekał na Callie świeży mundur, a na brzegu łóżka leżała czysta piżama i ręczniki.

Wes zamknął drzwi. Widział teraz wyraźnie, że jest bardzo blada.

- Posłuchaj, na najbliższe dwadzieścia cztery godziny zostaję tutaj, w bazie. Logistyka poprosiła mnie, żebym wpadł do nich i pomógł w opracowaniu planów odbudowy autostrady i systemu dróg dla okolic Los Angeles. - Spojrzał na zegarek. - Mam tam być o czternastej. Callie usiadła na łóżku.

- Może ci pomóc? Uśmiechnęła się słabo.

- To wspaniała wiadomość, że wykorzystują twoje umiejętności, Wes. Zresztą domyślałam się, że nie pozwolą ci długo marnować się przy nadzorowaniu koparek.

- Cóż - mruknął, klękając przy łóżku i rozwiązując jej buty - ja też nie. Logistyka dopiero teraz zaczyna powoli ogarniać rozmiary katastrofy. Pracują razem z Federalną Agencją do Spraw Zapobiegania Skutkom Katastrof i stopniowo ściągają kolejnych inżynierów do pracy nad odbudową infrastruktury. - Odstawił buty na bok. Pogładził delikatnie jej drobne stopy i ściągnął z nich szare wełniane skarpetki. Podniósł głowę i uśmiechnął się. Widać było, jak bardzo jest zmęczona. Pod oczami dostrzegał ciemne półkola.

- Dasz radę sama się rozebrać czy wolisz, żebym ci pomógł?

Callie poczuła, jak twarz oblewa jej gorący rumieniec, choć wiedziała, że Wes zapytał jedynie z troskliwości. Nie odczuwała z jego strony żadnej presji, przeciwnie, czuła się tylko cudownie rozpieszczana.

- Jeśli możesz, otwórz prysznic, myślę, że dam sobie radę z ubraniem.

- W porządku. - Poklepał ją lekko po kolanie i wstał. W tej chwili nie pragnął niczego bardziej niż pomóc jej się rozebrać, a potem dołączyć do niej pod prysznicem. Jednak to nie był dobry moment i doskonale o tym wiedział. Wszedł do małej, schludnej łazienki i ustawił temperaturę wody tak, by była przyjemnie ciepła. Musiał powstrzymać żądzę. Teraz Callie potrzebowała tylko długiego snu, który pozwoli jej odzyskać siły.

Weszła powoli do łazienki i zaczęła rozpinąć bluzę munduru. Wes odwrócił się i delikatnie pogładził jej blady policzek.

- Muszę już iść, Callie, choć wierz mi, że to ostatnia rzecz, jakiej bym chciał.

Nieśmiało popatrzyła na niego spod długich rzęs.

- Wiem - szepnęła.

- Jeśli mogłabyś teraz wypowiedzieć jedno życzenie, to o co byś poprosiła? - zapytał niskim głosem, nie odrywając od niej wzroku. Pożądał jej do utraty tchu i widział w jej oczach to samo pożądanie.

- Chciałabym, żebyś przyszedł do mnie do pokoju i jeśli będę spała, położył się obok i przytulił. Bardzo teraz potrzebuję bliskości.

Drzenie jej głosu sprawiło mu niemal fizyczny ból. Zaczynał powoli rozumieć, jak wyczerpująca emocjonalnie jest jej praca. Gdyby nie to, że w ciągu ostatniego tygodnia obserwował ją na co dzień, nigdy nie potrafiłby tego docenić.

Nachylił się i musnął jej policzek lekkim jak wietrzyk pocałunkiem. Potem wyszeptał jej prosto do ucha:

- Postaram się spełnić twoje życzenie, mój aniele.

7 stycznia, godzina 19.00

Callie powoli wynurzała się z głębokiego, uzdrawiającego snu. Westchnęła przeciągle. Uświadomiła sobie, że czuje ciepło przytulonego do niej męskiego ciała. Zauważyła też, że ów mężczyzna obejmuje ją, przyciągając mocno do siebie.

Minęło kilka chwil, zanim Callie do końca uświadomiła sobie, gdzie jest. Obudziły ją własne sny, w których poszukiwała uwieczonych pod gruzami rannych i słyszała ich krzyki. Nie po raz pierwszy zdarzało jej się mieć takie koszmary. Wracały, gdy pracowała na obszarze dotkniętym trzęsieniem ziemi. Podniosła rękę i przeciągnęła palcami po silnym męskim ramieniu.

Wes. To był Wes. Jego ciepły oddech pieścił jej szyję.

Musiał przyjść do niej, kiedy spała. Jednak postanowił spełnić jej życzenie! Znów ogarnęła ją senność. To było cudowne uczucie, leżeć tak przy nim, w jego mocnych objęciach. Serce wypełniła jej radość.

Nie słyszała, kiedy wszedł do pokoju. Spała. W panujących ciemnościach widziała tylko zarys ciała Wesa. Kiedy zauważyła, że dzieli ich koc, poczuła jeszcze mocniej, że go kocha. Wes ją szanował. Dostosował się do jej prośby, by tylko ją przytulił.

Zrobił to i nie posunął się dalej. W półśnie zastanawiała się, czy wciąż ma na sobie mundur. Przesunęła dłonią po jego ramieniu i napotkała na skórę. Może zrzucił zakurzoną bluzę, zostając tylko w spodniach i podkoszulku? To było teraz bez znaczenia. Callie marzyła tylko o tym, by się do niego tulić. Pozwoliła, żeby ponownie ogarnęła ją senność i jeszcze bliżej wsunęła się w ramiona Wesa, które były jak cudowny azyl.

Kiedy tak leżała, jeszcze na granicy snu, zdała sobie sprawę, że nigdy w życiu nie była w takiej sytuacji. Wtulona w objęcia Wesa, czuła, że jej serce należy do niego, że ufa mu bezgranicznie. Gdyby tylko on chciał otworzyć przed nią swoje serce!

Zamknęła oczy i westchnęła. Jego miarowy oddech koił ją i uspokajał. Nigdy wcześniej nie obudziła się w łóżku u boku mężczyzny, ale chętnie powtórzyłaby to doświadczenie. Miała spędzić w bazie czterdzieści osiem godzin i z radością myślała o cennym czasie, który został jej dany. Wkrótce dowództwo przydzielili ją do kolejnego sektora, w którym będzie nadal szukać rannych pod gruzami... ale Wesa już przy niej nie będzie.

Zapadając coraz głębiej w sen, Callie rozchyliła wargi i uśmiechnęła się łagodnie. Ta chwila była doskonała. Nigdy nie czuła się bardziej doceniana i otoczona troską. Wreszcie udało jej się znaleźć mężczyznę, który ją szanował i mówił jej, że jest piękna, mężczyzną, dla którego była aniołem. Czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu, i to był prawdziwy cud... nawet jeśli ten mężczyzna nie zamierzał otworzyć przed nią serca.

ROZDZIAŁ 11

8 stycznia, godzina 12.30

Callie obudziła się, czując, że Wesa już przy niej nie ma.

Powoli dochodziły do niej stłumione hałasy ulicy, odgłos przejeżdżających pod oknami ciężarówek i gwar rozmów. Z trudem otworzyła oczy i wyciągnęła rękę spod kołdry. Wes... Gdzie on się podział? Zmarszczyła czoło, powoli odwróciła się i rozejrzała dookoła. Wes zniknął. Callie zamrugła kilka razy powiekami, starając się odpędzić senność, która wciąż osaczała ją jak gęsta mgła. Podniosła do oczu rękę i spojrzała na zegarek. Dwunasta trzydzieści! To niemożliwe! Nie mogła uwierzyć w to, że spała tak długo.

Usiadła na łóżku i przeciągnęła się. Zauważyła, że przez sen ściągnęła z głowy opatrunek. Z wahaniem dotknęła rany i z ulgą stwierdziła, że choć wciąż jest obolała, to jednak się goi. Opuchlizna prawie całkiem znikła. Callie przesunęła się na brzeg łóżka i

spuściła nogi na podłogę. Czuła się o wiele lepiej, rozpierała ją energia. Ustąpiły też zawroty głowy.

Patrząc na pokój, skąpany w ciepłym świetle, Callie zatęskniła za Wesem. Czy tylko jej się śniło, że był u niej tej nocy? Skrzywiła się i powiedziała do siebie:

- Dalej, Evans, ruszaj pod prysznic! Tam, gdzie wkrótce pojedziesz, nie będziesz mogła liczyć na takie luksusy.

Człapiąc w stronę łazienki, podciągnęła opadające, pogniecione spodnie. Jasnozielona, męska flanelowa piżama z pewnością nie wyglądała seksownie. Wręcz przeciwnie... Ale w tej chwili cieszyła się z tego, że w ogóle ma czyste ubranie. Zaraz czeka ją gorący prysznic z pachnącym mydłem i szamponem. Cóż za nieziemski rozkosz!

Callie zdążyła właśnie wyjść spod prysznica i owinać włosy w jasnozielony ręcznik, kiedy usłyszała stukanie do drzwi. Zaskoczona, spojrzała na stojący na szafce zegarek. Była dokładnie pierwsza po południu. Podciągając poły zbyt obszernego szlafroka, podeszła do drzwi. Kto to może być? Otworzyła i uśmiechnęła się szeroko.

- Wes!

Stał w progu, ubrany w piaskowe spodnie, z czapką nasuniętą głęboko na czoło. W ręce trzymał aluminiową tacę, na której stała miseczka, kubek czarnej kawy i całe mnóstwo krakersów. Kiedy spojrzał na nią, jego twarz złagodniała.

- Jesteś głodna? - Podniósł tacę w zapraszającym geście. - Rosół z kurczaka. To na twoją cześć. Przekonałem gościa, który zarządza kantyną, żeby przygotował coś specjalnie dla ciebie.

Jego troska była naprawdę wzruszająca.

- Proszę, wejdź, Wes. - Serce zabiło jej mocniej. Czy naprawdę spał z nią w jednym łóżku ostatniej nocy, czy tylko sobie to wyobraziła? Sama już nie wiedziała. Nerwowo poprawiając zawinięty na głowie ręcznik, zamknęła drzwi.

- Postaw tacę na łóżku, dobrze? Właśnie brałam prysznic. Za chwileczkę wrócę. - Znikła za drzwiami łazienki i rozpoczęła gorączkowe poszukiwania grzebienia.

- Powoli, nie musisz się spieszyć. - Wes zdjął czapkę i odłożył ją na nocny stolik z drewna klonowego, stojący obok łóżka. Serce zabiło mu mocniej, gdy Callie pojawiła się znowu. Uczesała już mokre, niesforne włosy. Poza tym, sądząc po sposobie, w jaki bawiła się paskiem flanelowego szlafroka, bardzo się czymś denerwowała.

- Wyglądasz o niebo lepiej niż wczoraj - zauważył. - O której wstałaś?

Callie wygładziła pościel i przykrywającą łóżko narzutę.

- Jakieś pół godziny temu. Wygląda na to, że spałam snem sprawiedliwego - zaśmiała się. Podniosła tacę i oparła ją na kolanach. Siedziała na brzegu łóżka, ze stopami opartymi na podłodze.

- Może się przysiadzisz? - zaproponowała, spoglądając na niego.

Coś się zmieniło. Callie czuła to wszystkimi zmysłami. Wes przysiadł obok na łóżku, pozostawiając jednak między nimi kawałek wolnej przestrzeni.

- Jak się dziś miewasz? - spytał, przyglądając się, jak Callie zanurza łyżkę w gęstej zupie z kostkami marchewki, cebuli, selera i sporymi kawałkami delikatnego mięsa kurczaka.

- O wiele lepiej - odparła, nie przerywając jedzenia. - Mmm. Pycha! Dzięki, Wes! Nazywałeś mnie aniołem, ale to raczej ty byłeś moim aniołem stróżem przez kilka ostatnich dni.

- Cieszę się, że mogłem ci pomóc.

- Masz teraz przerwę na lunch? - zgadła Callie, podnosząc do ust kolejną łyżkę zupy.

- Tak, można to tak określić - powiedział bez przekonania i uśmiechnął się. - Właściwie jadłem już lunch. Pół godziny temu poprosiłem oficer dyżurną z parteru, żeby sprawdziła, czy wciąż jeszcze śpisz. Przyszła do mnie i powiedziała, że słyszała zza drzwi, jak się kąpiesz.

Callie uśmiechnęła się rozbawiona i zabrała się za krakersy, mocząc je w zupie.

- Więc przyszedłeś, żeby mnie nakarmić?

Wes oparł łokcie na silnych, muskularnych udach i opuścił swobodnie dłonie.

- Właściwie zszedłem na dół wcześniej rano i odnalazłem Gunny'ego Pratera. Powiedziałem mu, że w tym budynku leży anioł o oczach koloru lazuru nieba i włosach rozświetlonym słońcem. I że ten anioł jest chory. A potem spytałem, czy mógłby specjalnie dla tej cudownej istoty przyrządzić swoją wspaniałą zupę z kurczaka. - Z rozbawieniem wpatrywał się w pełne zdziwienia oczy Callie. - Gunny zlitował się nade mną i powiedział, że skoro udało mi się znaleźć taką piękną kobietę, specjalnie dla niej ugotuje rosół. Myślę, że był o ciebie zazdrosny.

Callie poczuła, że się rumieni.

- Podoba mi się, kiedy tak o mnie mówisz.

- Czy ty sama tego nie widzisz?

- Nie, Wes. Jestem tylko dzieciakiem, którego przodkowie przyплыnęli kiedyś ze Szwecji i który dorastał na farmie w Minnesocie, wśród zagonów soi i kukurydzy. Tam, gdzie się wychowałam, dziewczyny są silne i zwinne. Muszą takie być, bo praca jest ciężka. Kiedy

dorastałam, nie uczyłam się, jak podwijać rzęsy, robić makijaż i ubierać się tak, żeby mieć powodzenie u chłopców.

- Cóż, dla mnie i tak pozostaniesz aniołem. Tak właśnie postanowiłem cię nazywać i nie zmienię zdania - droczył się Wes.

Callie odłożyła łyżkę. Talerz był wciąż do połowy pełen, ale ona już czuła się syta.

- To naprawdę cudowne - powiedziała rozmarzonym głosem.

- Nie mogę się doczekać, kiedy sama zaczniesz w ten sposób na siebie patrzeć - odparł poważnym tonem.

Widział, jak na jej policzki wypływa rumieniec. Wstała i odłożyła tacę na stolik, obok jego czapki. Kiedy wróciła, usiadła na łóżku po turecku. Starannie poprawiła szlafrok, zasłaniając skrzyżowane nogi.

- Muszę z tobą szczerze porozmawiać - oznajmiła, czując, jak mocno bije jej serce. Pod czujnym, nieruchomym spojrzeniem Wesa straciła nagle pewność siebie. Rozkładając drobne dłonie, pokryte licznymi rankami i bliznami, ciągnęła: - Tak trudno mi o tym mówić, Wes. Naprawdę, aż mi wstyd. Wydawało mi się, że ostatniej nocy spałeś ze mną w łóżku, ale nie wiem, czy rzeczywiście tak było. - Popatrzyła przepaszającym wzrokiem. - Może to był tylko sen. Obudziłam się w nocy... a przynajmniej tak mi się zdawało... i czułam, jak leżysz przy mnie, wtulony w moje plecy, obejmując mnie ramieniem. Pamiętam, jak je głaskałam, było takie ciepłe... - Wpatrywała się w jego oczy. - Czy to mi się śniło?

Zapadła pełna napięcia cisza.

- Czy nie mówiłaś mi, że potrzebujesz ciepła i bliskości? - spytał w końcu Wes.

Z wahaniem skinęła głową.

- Tak...

- Wczoraj skończyłem służbę o północy. Szczerze mówiąc, po tym, co zobaczyłem i czego dowiedziałem się podczas zebrania operacyjnego w logistyce, byłem zdruzgotany. Tylu ludzi zginęło... Szacunki mówią o dziesiątkach tysięcy osób bez dachu nad głową, bez wody... Zapasy jedzenia też się kończą. Kiedy usłyszałem to wszystko... Potrzebowałem cię. W środku tego nieszczęścia, które otacza nas ze wszystkich stron, chciałem poczuć się bezpiecznie. Pragnąłem twojej bliskości, dlatego przyszedłem. Spałaś. - Uśmiechnął się. - Myślę, że nawet gdyby do pokoju wtoczył się czołg, dalej spałabyś jak zabita. Wziąłem więc szybki prysznic, przebrałem się w czyste bokserki i koszulkę, a potem położyłem obok ciebie. Przytuliłem cię - Wes uśmiechnął się czule - a ty nawet się nie obudziłaś. Kiedy wsunąłem rękę pod twoje ramię, żeby cię objąć, zamruczałaś tylko i przyłgnęłaś do mnie całym ciałem.

- Więc... to nie był sen. Naprawdę tu byłeś...

Skinął głowę, nie odrywając wzroku od jej błyszczących, błękitnych oczu. Callie wyglądała niewinnie i bezpretensjonalnie, ale to właśnie go w niej tak bardzo pociągało. Niczego nie udawała, nie bawiła się w gierki, nie starała się pozować na kogoś, kim nie była. Nie, ona była solą tej ziemi, praktyczną, rzeczową i szczerą do bólu kobietą.

- W pewnym sensie to był sen - powiedział, drocząc się z nią. - Marzenie, które wreszcie się ziściło. Wczoraj naprawdę bardzo potrzebowałem bliskości osoby, którą ko... to jest, którą darzę sympatią. Byłem przybity i przygnębiony rozmiarami tej katastrofy, świadomością tragedii, która już się zdarzyła, i tego, co czeka nas w najbliższej przyszłości. Do późnej nocy pracowałem w logistyce i muszę ci powiedzieć, że zanim sytuacja zacznie się poprawiać, przez pewien czas może być nawet gorzej niż teraz. - Wyciągnął rękę i położył na jej złożonych dłoniach, opartych na udach. Z sercem wypełnionym radością mówił dalej: - Wczoraj, kiedy leżałem tu przy tobie, czułem się jak w niebie. To było takie cudowne... po prostu tuliłem cię, a ty spałaś spokojnie... oddychałaś lekko i miarowo, czułem zapach twojej skóry... znalazłem się w raju, a ty byłaś aniołem. Moim aniołem. ..

W zamyśleniu przesunęła palcami po kostkach jego dłoni.

- Lubię być twoim aniołem - wyznała i spojrzała mu prosto w oczy. - Mogłeś mnie wykorzystać...

Wzruszył ramionami.

- Dokąd by nas to zaprowadziło, Callie? Nie uważasz, że to byłoby z mojej strony bardzo egoistyczne? Powiedziałaś, że chcesz, bym cię przytulił, a nie kochał się z tobą. To zasadnicza różnica, a ja za bardzo cię szanuję, żeby bez twojej zgody przekroczyć granicę. - Uśmiechnął się, po czym dodał: - Jeśli mam być z tobą zupełnie szczerzy, kosztowało mnie to naprawdę sporo wysiłku. Chciałem się z tobą kochać, nawet nie wiesz jak bardzo. Ale do tego potrzeba zgody dwóch osób. To coś specjalnego, wyjątkowego... Obie strony muszą tego chcieć.

- To prawda - szepnęła Callie, czując, jak jego dłoń zaciska się mocniej na jej ręce. - Jesteś pierwszym mężczyzną, jakiego znam, który nie próbował wykorzystać sytuacji.

- Może ci, których dotąd spotykałaś, to byli chłopcy, a nie mężczyźni.

Skinęła głowę.

- Nie staram się udawać, że mam wielkie doświadczenie w tych sprawach, Wes. Szczerze mówiąc, nie ciągnie mnie do tego. Po tym, jak dwa razy się nacięłam, a właściwie zostałam wykorzystana, postanowiłam na razie dać sobie spokój.

- Rozumiem cię - odparł Wes, a Callie miała pewność, że rzeczywiście tak jest.

- Jeśli chodzi o mnie, nie kryję w sobie żadnych niespodzianek. Dostajesz to, co widać - zauważyła, nie kryjąc ironii.

Uśmiech zamarł mu na ustach. Podniósł jej dłoń i złożył na niej gorący pocałunek. Widział, jak jej wzrok łagodnieje, i rozluźnił uścisk.

Czuła przyjemne łaskotanie w miejscu, którego przed chwilą dotykały jego usta.

- To miło wiedzieć, że nie tylko ja tak ciężko przeżywam to, co się tu dzieje - powiedziała. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że są na świecie tacy mężczyźni jak ty. Może dlatego wczoraj w nocy myślałam, że śnię. Nie mieściło mi się w głowie, że mężczyzna mógłby tak po prostu mnie przytulać i nie chcieć niczego więcej.

- Zależy mi na tym, żebyś mi ufała, Callie. Wiem, że miałaś w przeszłości złe doświadczenia z mężczyznami, i dlatego nie chcę cię spłoszyć. Muszę ci udowodnić, że można mi wierzyć. Nie myśl, że wczoraj w nocy nie marzyłem o tym, żeby się z tobą kochać, dawać ci rozkosz i być z tobą do końca. Wiedziałem jednak, że zapłaciłbym za to wysoką cenę. Że straciłbym zaufanie, jakie, mam nadzieję, już do mnie masz.

Wes zamyślił się na dłuższą chwilę, po czym mówił dalej.

- Wiem, że mężczyźni są niecierpliwi i dążą do jak najszybszego zbliżenia. Uważam, że w życiu potrzebna jest równowaga. Nauczyłem się wiele na własnych błędach i teraz wiem, że dobry związek opiera się na poszanowaniu potrzeb obu stron, zaspokajaniu ich pragnień i tęsknot.

- Wes, tak chciałabym lepiej cię poznać, dowiedzieć się o tobie wszystkiego...

- Ja też marzę o tym, żebyś mi o sobie szczegółowo opowiedziała. - Spojrzał na zegarek. - Muszę stąd wyjść za pół godziny. Mamy trochę czasu, może opowiesz mi o tym, jaka byłaś w college'u? Z czego pisałaś pracę końcową?

Patrząc na niego z rozbawieniem, odparła:

- Dotyczyła biznesu. Byłam w korpusie kadetów i już wtedy przekonałam się, że wojsko mnie pociąga. A ponieważ musiałam myśleć o tym, jaka praca przyniesie mi dość pieniędzy, bym mogła pomagać rodzinie i nie bać się nagłych redukcji, wybrałam piechotę morską. Kiedy byłam na kursie przygotowawczym, zdawałam masę testów sprawdzających, jaka praca byłaby dla mnie najlepsza. W tym czasie komendant planował stworzenie w każdej jednostce grupy ratowników z psami. Ponieważ wychowałam się na farmie i do tego pisałam pracę o biznesie, zakwalifikowano mnie do tego projektu.

- Więc to ty stworzyłaś schemat działania jednostek ratowniczych? - Wes był pod wrażeniem. Callie zaczerwieniła się, słysząc podziw w jego głosie.

- Naprawdę to nic trudnego. Właściwie to było zupełnie proste i logiczne...

- Tylko dlatego, że ty sama myślisz logicznie. Dlatego było ci łatwo pracować nad projektem.

- To tylko zdrowy rozsądek. Kiedy mieszkasz na farmie, musisz postępować rozsądnie, inaczej czekają cię same kłopoty.

- Sęk w tym, że nie wszyscy mają zdrowy rozsądek, a nawet jeśli go mają, to się nim nie posługują - zauważył Wes. - To ty spowodowałaś, że pomysł grup ratowniczych został zrealizowany! Naprawdę mi zaimponowałaś.

- Lubię pomagać ludziom, Wes. Poza tym, kocham zwierzęta. - Rozłożyła ręce i wzruszyła ramionami. - Na farmie wszyscy musieliśmy sobie pomagać. W potrzebie zawsze można było liczyć na sąsiada. Tworzyliśmy społeczność, która żyła i pracowała razem. Teraz w taki sam sposób podchodzę do służby w piechocie morskiej. Traktuję ją jak wielką rodzinę, w której każdy pomaga sobie nawzajem. Zawsze robi mi się ciepło na sercu, kiedy pomyślę, że psy, które szkoliłam, ratują życie ludziom na całym świecie.

- Naprawdę jesteś aniołem - szepnął Wes.

- Niezupełnie! - zaprotestowała Callie, zakłopotana. - Czasem gdy jestem naprawdę zdenerwowana, przeklinam.

Albo wpadam w złość. Uwierz, Wes, wcale nie jestem ideałem ani chodzącą łagodnością.

- To dlatego, że jesteś ziemskim aniołem - wytłumaczył z udaną powagą. - Poza tym dla mnie jesteś dokładnie taka jak trzeba. Nie chciałbym zmieniać w tobie absolutnie niczego.

- A ty, Wes? Jak planujesz swoją karierę?

- Zamierzam zostawić po sobie jakiś ślad. Dlatego postanowiłem zdobyć doświadczenie w piechocie morskiej, a potem około czterdziestki przejść na emeryturę i założyć własną firmę budowlaną.

- Chcesz czuć, że to, co robisz, zmienia rzeczywistość - powiedziała z uznaniem.

- Lubię tworzyć nowe rzeczy, kształtować je. Może mam w sobie więcej z mojego ojca, niż przypuszczałem.

W jego głosie słychać było smutek. Callie zrozumiała, że między ojcem i synem wciąż musi być wiele niewyjaśnionych spraw.

- Wiele razy obserwowałam, jak mijający czas pozwalał zbliżyć się do siebie rodzicom i dzieciom, nawet tym najbardziej skłóconym - powiedziała łagodnie.

Zacisnął usta i milczał przez dłuższą chwilę.

- Być może masz rację - odrzekł w końcu pełnym napięcia głosem, a potem spróbował się uśmiechnąć.

- Twój ojciec na pewno będzie z ciebie dumny, Wes. Dzięki twojej wiedzy i doświadczeniu logistyka będzie mogła poradzić sobie z wieloma problemami, o których wojskowi zwykle nie mają pojęcia. Ja jestem z ciebie bardzo dumna.

Przysunął się bliżej, dotykając udami jej kolan. Potem wziął ją za rękę i powiedział cicho:

- Callie, chciałbym, żebyś zawsze była ze mnie dumna.

Bardzo cieszę się z tego, że się spotkaliśmy. Nie spodziewałem się, że jeszcze raz przeżyję coś podobnego... Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, nie przypuszczałem, że będę czuł do ciebie to, co czuję teraz. To cudowne wśród wszystkich tych zniszczeń i nieszczęść, które nas otaczają. - Poglądził kciukiem jej drobne dłonie. Na opalonej skórze widać było wyraźnie liczne blizny i świeże skaleczenia. Jej skóra była szorstka i Wes dobrze wiedział dlaczego. Callie ciężko pracowała, pomagając ofiarom katastrof. Był świadkiem tego, że się nie oszczędzała.

Westchnęła i oparła brodę na jego szerokim ramieniu. Na tych barkach spoczywała wielka odpowiedzialność - od Wesa zależał los wielu ludzi. Zamknęła oczy i szepnęła:

- Muszę ci się do czegoś przyznać. Na początku, kiedy się poznaliśmy, byłam pełna obaw. Jesteś bardzo przystojnym mężczyzną, a ja nie wierzyłam, że ktoś tak atrakcyjny i odnoszący takie sukcesy mógłby się mną zainteresować. Ale teraz... - w jej głosie pojawiła się czułość - przez ostatnie dwa dni wiele się we mnie zmieniło. Może sprawił to stres, w jakim pracujemy. Może to ja dojrzewam i nabieram pewności siebie, a może to ty tak na mnie działasz, nie wiem. Ale wiem, że musimy porozmawiać o tym, co czujemy do siebie. Powiedziałeś, że chcesz lepiej mnie poznać. - Na chwilę odwróciła wzrok i zbierała odwagę, by mówić dalej. - Ja przez ten czas też lepiej cię poznałam i wiem, że nie potrafię już ograniczyć naszego związku tylko do przelotnej znajomości, opartej wyłącznie na pożądaniu. Za bardzo zaangażowałam się uczuciowo, oddałam ci moje serce, choć wiem, że ty nie zrobisz tego samego.

Wes milczał chwilę, a potem westchnął i ujął jej twarz w dłonie.

- Rozmawiajmy dalej, aniele. Każde z nas ma swoją historię. Mówiłem ci już, że zrezygnowałem z szukania tej jednej, jedynej. Dlatego unikałem poważnego związku. Allison wykonywała niebezpieczny zawód, ty też nieustannie się narażasz. Ale nie o to chodzi. Zanim cię poznałem, byłem przekonany, że nie ma na świecie kobiety, która mogłaby wypełnić pustkę w moim sercu. - Wpatrywał się w błękitne oczy, w których połyskiwały złote iskierki. - To, co powstało między nami, jest dla mnie zbyt cenne, bym mógł to stracić, Callie. Nie będę cię popędzał. Nie musimy się spieszyć. Jednak ogarnia mnie lęk na myśl, że jutro

wrócisz do pracy. Ja będę tu, w Camp Reed, i będę się zamartwiał, nie wiedząc, co się z tobą dzieje.

Przesunęła palcami po jego dłoni, zamykając na chwilę oczy. Kiedy je otworzyła, spytała:

- Czy to znaczy, że chcesz mnie poznać bliżej? Że jesteś gotowy na to, by poważnie się zaangażować? - Wstrzymała oddech, studiując w skupieniu jego rysy.

- Tak - odparł gardłowym głosem. - To, co do ciebie czuję, to coś więcej niż tylko pożądanie. Opierałem się temu uczuciu, Callie. To znaczy, jakaś część mnie z nim walczyła. Staralem się nie dopuścić do tego, byś zamieszkała w moim sercu. Bałem się. Kiedy zobaczyłem, jak leżysz nieprzytomna, coś we mnie pękło. Wciąż do końca nie potrafię sobie tego wytłumaczyć, ale wiem jedno. Byłem głupcem, starając się zachować wobec ciebie dystans, broniąc się przed uczuciem, bojąc zaangażować.

- Więc... to, co jest między nami, to miłość?

- Na pewno z mojej strony. - Wpatrywał się w jej błyszczące z podniecenia oczy. Tak bardzo pragnął ją pocałować! Chciało mu się śpiewać z radości. - A co z tobą? Czy też mnie kochasz?

- Tak... tak!

- Będę się zamartwiał, wiedząc, że jesteś tam beze mnie.

- Nic mi nie będzie, Wes. Już czuję się całkiem dobrze. Nie zapominaj o tym, że jestem zawodowcem. Na pewno wyślą mnie tam na co najmniej trzy, cztery dni, zanim znów dostanę dzień wolnego. - Nie mogła oderwać od niego oczu. Był tak blisko niej, taki przystojny, szczerzy i otwarty. Rozkoszowała się ciepłym dotykiem dłoni, w które ujął jej twarz. - Pocałuj mnie.

- Straciłem już nadzieję, że mnie o to poprosisz - powiedział niskim głosem, nachylając się i biorąc w posiadanie jej ciepłe, rozchylone usta.

Jęknęła, gdy jego wargi przyłgnęły zachłannie do jej ust. Pocałunek niósł w sobie obietnicę rozkoszy. Ciało Callie ogarnęła fala gorąca. Czowała niemal bolesne pożądanie.

Wes przechylił jej głowę, całując coraz bardziej namiętnie. Jej gorący, wilgotny oddech pieścił mu policzki. Objęła go, wtulając krągłe piersi w jego mocny, szeroki tors. Bez słów mówiła mu, czego pragnie i czego oczekuje. Choć dzielił ich gruby szlafrok Callie, czuła wyraźnie, jak jego ciało zareagowało na to nieme żądanie.

Wes odsunął spragnione usta od jej warg. Były lekko nabrzmiałe i wilgotne od jego namiętnych pocałunków. Oczy miała zamglone, a w ich kobaltowych głębiach czaiła się

namiętność. Jej usta... Musi się im oprzeć! Musi wracać do pracy! Czas był teraz ich wrogiem. Chwytał ją za ramię i szepnął:

- Dziś wieczorem... kończę pracę o szóstej. Czy zjesz ze mną kolację?

Całe jej ciało płonęło, nie była w stanie myśleć. Przywarła do Wesa, słysząc w gardłowym głosie obietnicę tego, co miało się wkrótce spełnić.

- Tak... ale nie chcę tylko kolacji. Chcę ciebie... na całą noc. Chcę, żebyś przyszedł do mnie i został tu do rana. To nasza ostatnia noc. Nie zamierzam spędzić jej sama. Proszę...

Wes zajrzał w błękitne oczy. Na koniuszkach płowych rzęs drżały łzy.

- Obiecuję ci to, aniele. Spędzimy tę noc razem, tuląc się w ramionach. Chcę kochać cię do zapomnienia. Chcę dać ci rozkosz i sprawić, żebyś poczuła to samo szczęście, które mnie ogarnęło.

ROZDZIAŁ 12

8 stycznia, godzina 21.00

Wes zadzwonił dokładnie o szóstej. Odprawa wciąż jeszcze trwała, a generał Wilson rozkazał mu zostać dłużej i pomóc w opracowaniu strategii pomocy dla cywilów, poszukujących wody na terenie dotkniętym kataklizmem. Callie była zawiedziona, że nie mogą się spotkać zgodnie z planem, ale rozumiała powody. Postanowiła popracować trochę w psiarni, czekając, aż Wes skończy naradę. Potem wzięła Dusty'ego na spacer nad jezioro w pobliżu bazy. Nie spieszyła się. Wiedziała, że ona i Wes mają dużo czasu.

Mimo to, patrząc, jak Dusty buszuje w trzcinowych zaroślach porastających brzeg spokojnego jeziora, Callie poczuła się nagle samotna. To było zupełnie nowe doznanie. Może pojawiło się dlatego, że przestała się w końcu wypierać uczucia, które łączyło ją z Wesem? On też był wreszcie gotów pokonać upiory przeszłości, przezwyciężyć strach i wyjść jej naprzeciw.

Stała na niewielkim wzniesieniu nad brzegiem jeziora, usianym kamieniami i porośniętym suchą, pustynną trawą. W dole Dusty machał radośnie ogonem i co chwila znikał wśród trzin i pałek wodnych porastających brzeg jeziora, by wynurzyć się spośród nich z radosnym ujadaniem. To było jego ukochane miejsce spacerów, a ulubioną zabawą - ściganie żab, które uciekały przed nim do jeziora. Retrievery uwielbiają wodę i Dusty nie był pod tym względem wyjątkiem. Kiedy mógł się w niej pluskać, był naprawdę szczęśliwy i Callie cieszyła się, że może sprawić mu trochę przyjemności.

Miała tylko nadzieję, że jej ukochany retriever nie będzie zanadto zawiedziony, gdy się zorientuje, że w jeziorze nie ma żab. Nawet w Kalifornii o tej porze roku zapadają w stan

hibernacji i tak przeczekują zimę. Uśmiechnęła się i klasnęła w dłonie, wołając psa do siebie. Dusty natychmiast wynurzył się z szuwarów, ociekając wodą, i przybiegł do Callie.

Pochyliła się i poklepała rozradowanego psa.

- Pora wracać - powiedziała i przypięła smycz do nasiąkniętej wodą obroży.

Zbliżając się do psiarni, już z daleka widziała, że to miejsce tętni życiem. Jej dowódca, Susanna, musiała zdecydować, dokąd rozesłać dwadzieścia dwa zespoły ratownicze teraz, w dziewięć dni po katastrofie. Po tak długim czasie szanse na znalezienie pod gruzami żywych ludzi były minimalne. Psy i ich opiekunowie mieli teraz o wiele bardziej przygnębiające zadanie: odszukanie i wydobycie zmarłych, tak by można ich było właściwie pochować, zapobiegając wybuchowi epidemii.

Wchodząc na przestronny dziedziniec psiarni, Callie odruchowo zmrużyła oczy, chroniąc je przed ostrym światłem. Miejsce było pełne ludzi, spieszących gorączkowo do swoich zadań. Przez bramę wjeżdżały i wyjeżdżały terenowe humvee. Callie odprowadziła Dusty'ego do jego boksu i ruszyła w stronę biura dowódcy.

Susanna siedziała pochylona nad biurkiem, w skupieniu wypisując rozkazy. Naprzeciw biurka stał szeregowy, oczekując w postawie na baczność. Callie zaczęła, aż żołnierz otrzyma rozkazy, zaszalutuje i wyjdzie z pokoju.

- Do diabła - westchnęła Susanna - sytuacja wciąż się pogarsza. Masz trochę czasu?

Callie skinęła głową i zamknęła drzwi. Panujący na zewnątrz gwar, szczerkanie psów i głosy ludzi, wszystko to sprawiło, że nerwy miała napięte jak struny. To pewnie z powodu przebytego wstrząśnienia mózgu. Od czasu wypadku stała się o wiele bardziej wrażliwa na dźwięki.

- O co chodzi? - spytała, siadając na czerwonym plastikowym krześle, ustawionym w rogu pokoju. Gabinet Susanny był mały i bardzo oszczędnie wyposażony. Na biurku piętrzyły się sterty papierów, teczek i dyskietek komputerowych. Ona sama wyglądała na wymizerowaną i zmęczoną. Ale któż nie był?

- Właśnie dzwoniли do mnie z logistyki. Przygotowują poważną operację, na dużą skalę, w ramach której mają powstać zespoły złożone z żołnierzy piechoty morskiej, inżynierów, hydraulików, spawaczy i ogólnie techników budowlanych, w każdym zespole miałby się też znaleźć ratownik z psem i lekarz, choć wiadomo, jak bardzo brakuje nam takich specjalistów. Plan jest taki, żeby dotrzeć do konkretnych sektorów położonych w okolicy Los Angeles i wspierać mieszkańców, którzy organizują grupy samopomocy. Transport ma się odbywać śmigłowcami lub samochodami terenowymi, w zależności od stanu dróg. - Potarła twarz zmęczonym gestem. - Callie, mówię ci, że skutki tego katastrofalnego trzęsienia ziemi są z

dnia na dzień bardziej przerażające. W Camp Reed jest za mało ludzi, żeby podolać wszystkiemu. Drogi zostały zniszczone przez wstrząsy. Zanim tam, gdzie kiedyś bieły szerokie autostrady, powstaną choćby najgorsze gruntowe drogi, miną tygodnie i miesiące. Dopiero wtedy będzie można uruchomić konwoje z wodą i żywnością... Zbliżamy się do punktu krytycznego. Mamy do czynienia z dziesiątkami tysięcy ludzi pozbawionych jedzenia i wody. - Susanna patrzyła na Callie bez uśmiechu. - To będzie naprawdę okropne.

- Logistyka postanowiła wysłać w teren grupy, które przejmą kontrolę nad ludnością i zapobiegą powstawaniu band i rządów motłochu?

- Dokładnie tak. Trafiłaś sedno. - Susanna zaczęła przekopywać się przez stosy papierów na biurku. - Choć bardzo bym chciała, żebyś mogła zostać tu i mi pomóc, to jednak w terenie bardziej się przydasz. Musimy zaangażować do pracy wszystkich ratowników wraz z psami. Wiem, że dostałaś od lekarza zwolnienie na czterdzieści osiem godzin. A tak przy okazji, jak się czujesz? - zadała spóźnione pytanie.

- Lepiej. Zawroty głowy już minęły. Do jutra rana powinnam być już zupełnie zdrowa. Jakie zadanie dla mnie przeznaczyłaś?

- Chcę, żebyś wróciła do sektora hotelu Hoyt. Zdążyłaś już nawiązać znajomości z okolicznymi mieszkańcami. Wysyłam cię tam razem z całym zespołem. Ruszacie o siódmej rano spod hotelu oficerskiego. Będzie na was czekał humvee. Wojskowym inżynierom udało się doprowadzić prowizoryczne drogi do zewnętrznych sektorów, a także do sektora Alfa, tuż na granicy bazy. A... tu jest! Muszę w końcu zrobić porządek na biurku. Jego wygląd dobrze odzwierciedla mój stan psychiczny. - Uśmiechnęła się i podała Callie rozkazy.

- Będę punktualnie - obiecała Callie. - Przyjdę o szóstej po Dusty'ego.

Susanna skinęła głową i westchnęła.

- Cholera, Callie. To prawdziwy kataklizm, gorszy, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Zanim wszystko się skończy, zginie jeszcze wielu ludzi. Czuję się taka bezradna. Tak chciałabym móc zrobić dla nich więcej.

Callie podniosła się z krzesła i położyła dłoń na ramieniu Susanny.

- Wiem, że ci ciężko, ale przecież wszyscy staramy się dać z siebie jak najwięcej. Pracujemy na najwyższych obrotach. Nie możesz zapominać o tym, żeby czasami położyć się spać, inaczej nie będziesz miała siły do pracy.

Susanna westchnęła znowu i rozłożyła ręce.

- Tak, masz rację... w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin spałam zaledwie pięć.
- Skrzywiła się. - A teraz zmiataj stąd. Też się zdrzemnij, dobrze? Zgodnie z rozkazem

będziesz pracować w sektorze przez cztery dni, a piątego przysługuje ci doba odpoczynku w bazie.

- W porządku. Do zobaczenia.

8 stycznia, godzina 23.00

Wes wyszedł po cichu z łazienki. Miał na sobie tylko ręcznik, którym przepasał biodra. Gorąca woda zmyła z niego zmęczenie po kolejnym ciężkim dniu. Przez wiele godzin pracował na najwyższych obrotach, wykorzystując całą swoją wiedzę i doświadczenie. Teraz oddychał głęboko, stojąc boso na drewnianej podłodze. Odgarnął z czoła mokry kosmyk. W słabym świetle, które wpadało do pokoju przez niewielkie okno, widać było sylwetkę Callie, śpiącej pod kocami.

Leżała z ręką pod policzkiem, usta miała rozchylone, oddech płytki i przyspieszony. Kiedy godzinę wcześniej wszedł do pokoju, od razu zauważył leżącą na stoliku nocnym kartkę: "Proszę, wejdz i połóż się do łóżka. Kocham cię, Callie".

Kocham... To słowo wciąż dźwięczało mu w głowie, gdy sięgnął do bioder i odwinął ręcznik. To było bardzo w jej stylu, napisać tak szczerze i bez ogródek. Sam długo nie potrafił wypowiedzieć tego słowa i nie chciał przyznać, że uczucie, jakim ją darzy, to miłość. Dopiero kilka ostatnich dni pokazało mu, jakim był głupcem. Ale z tym już koniec. Pochylił głowę i jeszcze raz wytarł mokre włosy. Callie wyglądała tak pięknie, gdy spała. Na tle szerokiego łóżka wydawała się jeszcze bardziej krucha, a jednak w tym drobnym ciele kryło się mężne, wielkie serce. Tak bardzo jej pragnął. Odłożył ręcznik na krzesło i przeszedł na drugą stronę łóżka. Podniósł delikatnie koce i wślizgnął się pod nie, czując przyjemny chłód. Kiedy przysunął się bliżej i przytulił, ze zdziwieniem stwierdził, że Callie jest naga!

Rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. Podniósł się na łokciu i patrzył zachłannie, wszystkimi zmysłami napawając się bliskością Callie.

- Naprawdę jesteś aniołem - szepnął.

Podniósł rękę i delikatnie pogładził jej policzek. Miała gęste, długie rzęsy. Była niezwykle kobieca, a jednocześnie emanowała z niej siła. Zachwyciła go. Ogarnęła go czułość. Nie było w nim już ani odrobiny wahania. Nawet najmniejszej wątpliwości. Czuł całym sercem, że to właśnie jest kobieta jego życia, ta jedna, jedyna, za którą tęsknił w snach. To prawda, że wykonywała niebezpieczny zawód, ale widział teraz, jak niemądrze postępował, przenosząc na nią lęki związane z Allison. To nie było w porządku. Poza tym Callie postępowała rozważnie, odwoływała się do zdrowego rozsądku.

Czy jeszcze parę tygodni temu by uwierzył, że ta, na którą czekał tak długo, pracuje w tej samej bazie? Czy zainteresowałby się kobietą wykonującą zawód, który zagrażał zdrowiu,

a nawet życiu? Potrząsnął głową z niedowierzaniem, delikatnie gładząc jej policzek i jedwabiste włosy.

Callie powoli, w półśnie, odwróciła się na plecy i spojrzała do góry, prosto w twarz Wesa. Patrzył na nią z jawnym pożądaniem. Był taki przystojny! Podniosła dłoń do czoła.

- Witaj, piękny nieznajomy.

- Witaj. - Wes uśmiechnął się lekko.

Ich kolana się zetknęły, a potem Callie przyłgnęła do niego całym ciałem, obejmując mocno ramionami. Jej odwaga sprawiała, że zapragnął jej jeszcze bardziej. Mówiła o sobie, że jest zwyczajną dziewczyną, która wychowała się na prowincji. Tymczasem w jego oczach była nadzwyczajna, urocza, dobra i mądra.

Wes wyszeptał jej imię, czując jej drobne, krągłe piersi na torsie. Jego uszu dobiegło ciche westchnienie. Wędrując dłońmi w dół, napawał się łagodnymi, kobiecymi krągłościami. Callie objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie z zaskakującą siłą. Właściwie nie powinienem się dziwić, przecież Callie całe życie poświęciła ciężkiej pracy, wymagającej ogromnego fizycznego wysiłku.

Jak bardzo ją kochał! To uczucie było jak pędząca rzeka wrzącej lawy, zmieniająca wszystko dookoła. Odsunął nieznacznie głowę i spojrzał w dół, na jej piękną twarz.

- Jesteś prawdziwym aniołem, zesłanym na ziemię przez niebiosy, żeby ratować duszę biednego żołnierza. Czy o tym wiedziałaś?

Callie zaśmiała się cicho. Obrysowała palcami zarys jego mocnej, męskiej szczęki. Świeżo ogolona, gładka skóra była bardzo przyjemna w dotyku. Gdy ich oczy spotkały się, odważnie wytrzymała spojrzenie pełne pożądania.

- Ja też chcę, żebyś mnie uratował - szepnęła. Z radością i dumą patrzyła, jak jego ciało sztywnieje i nabrzmiewa. Nie mogła dłużej wątpić, że Wes jej pożąda. - W moich oczach jesteś prawdziwym bohaterem... Pomagasz tak wielu ludziom, Wes...

Pękał z dumy, gdy słuchał tych komplementów. Był szczęśliwy, że w jej oczach jest bohaterem. Kiedy zmysłowo poruszyła biodrami, uśmiechnął się z satysfakcją.

- W tej chwili nie pragnę niczego innego na świecie, tylko ciebie... chcę cię kochać, chcę dzielić z tobą wszystko... Przez cały dzień nie mogłem przestać o tobie myśleć, Callie. To jest jak obsesja. - Wplatając palce w jej jedwabiste włosy, dodał zachrypniętym głosem: - Kocham cię... Chciałem, żebyś o tym wiedziała.

Wpatrywał się badawczo w jej twarz, która po tych słowach rozjaśniła się radością.

- Nie musimy się spieszyć - dodał. - Przyszedłem tutaj, tulę cię w ramionach i za chwilę będę się z tobą kochał nie dlatego, że potrzebuję kobiety na jedną noc, że szukam

jedynie przygody. Chcę być z tobą, stworzyć udany związek i iść razem przez życie. - Gładząc delikatnie jej policzek, patrzył, jak przymyka z rozkoszy powieki okolone długimi rzęsami. - W tej chwili jesteśmy na terenie jednej z największych katastrof w historii. - Podniósł głowę i zapatrzył się w ciemność. - Czekają nas miesiące ciężkiej, mozolnej pracy, Callie. To będzie okres pełen wyrzeczeń. Chcę jednak, żebyś wiedziała, że zawsze możesz na mnie liczyć. Będę się starał pomagać ci ze wszystkich sił. Każdą wolną chwilę spędzę z tobą, aniele.

Gdy Callie wreszcie otworzyła oczy, na jej rzęsach błysnęły łzy. Nachylił się i scałował je, po czym zagarnął wargami jej miękkie usta. Nie odsuwając głowy, wyszeptał:

- Callie, kocham cię. To takie proste. I takie przerażające. Boję się, kiedy wychodzisz do pracy na gruzach. Wiem, że już zaczynają się tworzyć bandy rabusiów i zdarzają się napady. Niektórzy mają broń i są gotowi zabijać, żeby tylko zdobyć odrobinę jedzenia albo wody. A ty wracasz tam, w sam środek tego wszystkiego... Tak bardzo się o ciebie martwię. Dopiero cię odnalazłem i nie chcę cię stracić.

Nareszcie powiedział to wszystko, odkrył przed nią swoje uczucia i lęki. Odsunął się lekko, wciąż czując ciepło jej nagiego ciała i spojrzał w jej wilgotne od łez oczy. Callie patrzyła na niego z miłością, nie miał co do tego wątpliwości. Jak to możliwe, że tak długo nie chciał jej zauważyć? To lęk nie pozwalał mu zobaczyć rzeczy takimi, jakimi są. To była przyczyna.

Callie zdobyła się na odwagę i zmienionym od płaczu głosem spytała:

- Gdzie byłeś całe moje życie, Wes? Od zawsze marzyłam o mężczyźnie takim jak ty. Nie, ty jesteś wspanialszy niż w moich snach... Jesteś taki szczery, prawy, opiekuńczy. - Wzruszenie sprawiło, że zamilkła na dłuższą chwilę. - Przy tobie czuję się spełniona i bezpieczna, szczęśliwa.

Uniosła głowę i sięgnęła wargami do jego ust. Natychmiast objął ją mocniej i przyciągnął do siebie.

- Ubrałeś w słowa to, co ja też czuję, kochanie - dodała. - Chcę tego samego. Tak, wiem że to wszystko dzieje się bardzo szybko, ale nasze uczucie i to, co zrodziło się między nami, jest warte czekania. Wiem, że najbliższy czas będzie dla nas bardzo trudny, czasem też niebezpieczny, ale teraz mam ciebie. Już sama ta myśl da mi siłę, by pokonać wszystkie przeszkody.

Musnęła wargami jego usta. Wes jęknął cicho.

- Kocham cię, Wes. Chcę spędzać z tobą każdą wolną chwilę, nawet jeśli to nie będzie łatwe. Dopóki będziemy tutaj, na pewno praca pochłonie większość naszego czasu, ale później...

Serce wypełniła mu radość tak ogromna, że przez moment zastanawiał się, czy to wytrzyma. Czy od nadmiaru szczęścia można umrzeć? Kiedy tak tulił Callie w ramionach, wiedząc, że odwzajemnia jego miłość, miał wrażenie, że nic na świecie nie może ich skrzywdzić. Znalazł jej usta i zagarnął je w namiętym pocałunku, rozdzielając językiem wilgotne wargi. Gdy wreszcie oboje oprzytomnieli, szepnął:

- W takim razie musimy jak najlepiej wykorzystać ten czas, który mamy.

Na ustach Callie pojawił się figlarny uśmiech.

- Doskonały pomysł - odparła i pocałowała Wesa, wkładając w to całą swoją miłość.

Świat wokół zawirował, zmieniając się w oszałamiający kalejdoskop doznań. Callie nie miała takiego doświadczenia, jak Wes, ale teraz to nie było ważne. Przyciągnął ją do siebie i odrzucił na bok koc, by móc podziwiać jej kształty. Gdy przerwał pocałunek i zaczął gładzić jej plecy, a potem ujął w dłonie kształtne piersi, wstrzymała oddech. Wilgotne, gorące wargi pieściły jej nabrzmiałe sutki, a Callie wydawało się, że za chwilę umrze z rozkoszy. Dreszcze raz za razem przebiegały po jej ciele, wzmagając żar, który płonął w jej wnętrzu. Czowała, że traci nad sobą kontrolę, i w końcu poddała się całkowicie namiętności, a on całował jej piersi i ssał nabrzmiałe brodawki, by za moment gładzić krągłe biodra.

Gwałtowność i siła pożądania, jakie w niej budził Wes, zupełnie ją zaskoczyła. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie potrafił sprawić jej takiej rozkoszy. Serce biło jak szalone, cała płonęła. Wes odsunął się i popatrzył na nią spod zmrużonych powiek, po czym przykrył ją swoim silnym, rozgrzanym ciałem.

Przeciągnęła dłońmi po umięśnionych plecach i zamarła w oczekiwaniu na to, co wkrótce miało się wydarzyć. To oczekiwanie było niemal bolesne. Uniosła lekko biodra, by ich ciała zjednoczyły się i podjęły wspólny miłosny rytm.

Nie zawiodła się. Gdy wsunął się delikatnie w jej wilgotne wnętrze, jęknęła z rozkoszy. Przywarła do Wesa całym ciałem, czując, jak porywa ją hipnotyczny rytm.

Świat zawirował nagle tęczą kolorów, męskie gardłowe pomruki mieszały się i przenikały z kobiecymi jękami. Ich ciała były wilgotne od potu, oddech stawał się coraz bardziej urywany. Callie chłoneła te doznania wszystkimi zmysłami, jak jeszcze nigdy w życiu. Wes zapraszał ją, by stała się partnerką w miłosnym akcie. Nie brał od niej niczego; nie, on się z nią dzielił. To dało jej siłę, jakiej dotąd nigdy w sobie nie czuła. Odnalazła w sobie pierwotną, kobiecą moc, a ich ciała poruszały się, wrażliwe na każde drgnienie. Nagle

poczuła, jak jakieś dziwne, nieznanne wrażenie przeszywa całe jej ciało. Nigdy wcześniej nie osiągnęła takich wyżyn, ale teraz, gdy przenikały ją kolejne fale gorąca i pulsującego oszołomienia, wiedziała, że zbliża się do szczytu. Wes jeszcze się powstrzymał.

Ciało Callie śpiewało. Osiągnęła szczyt, a teraz czuła, jak Wes wyprężył się, a z jego gardła wydobywa się chrapliwy jęk. Odchylił głowę, potężne ramiona ścisnęły ją jak żelazne kleszcze. Wiedziała, że on szczytuje i przedłużała chwile rozkoszy, poruszając rytmicznie biodrami.

Po chwili opadli bezwładnie na łóżko. Oddychali z wysiłkiem. Callie uśmiechnęła się i pogładziła umięśnione plecy Wesa. Był taki silny, a jednocześnie zachowywał się wobec niej z niezwykłą delikatnością. Delikatność i siła - zawsze marzyła o mężczyźnie, który potrafiłby połączyć w sobie te cechy. W głębi serca nigdy nie przestała wierzyć, że taki mężczyzna gdzieś istnieje. A teraz odnalazła go w Wesie. Obsypała pocałunkami jego wilgotną od potu brodę i nabrzmiałą z wysiłku szyję. Jej ciało wciąż tętniło bezgraniczną rozkoszą i chciała tylko leżeć obok niego, napawając się tymi cudownymi, magicznymi falami, które pulsowały w jej ciele, przypominając o miłości, którą obdarzali się przed chwilą.

W końcu Wes zsunął się z niej i objął ramieniem. Zaspokojenie i radość, jakie ujrzał w jej rozmarzonych oczach, mówiły wszystko o tym, jak bardzo podobało jej się to, co przeżyli. Miał ochotę śpiewać z radości.

- Chodź tu do mnie - szepnął chrapliwym głosem, podciągając koc i przygarniając ją do piersi. Podkulili nogi i wtuliła się w niego, opierając głowę na mocnym ramieniu.

To było cudowne. Wes westchnął i zamknął oczy. Kobieta, którą kochał, leżała w jego ramionach. Świat wokół mógł przypominać przedsionek piekła, ale w tym momencie wydawało się, że wszystko wreszcie znalazło się na swoim miejscu. Był szczęśliwy.

Po kilku minutach zmęczenie wzięło górę. Wes bardzo chciał jeszcze rozmawiać z Callie, dzielić się z nią swoimi myślami i doznaniem, ale długie i wyczerpujące godziny, które spędził w logistyce, przypomniały o sobie. Zamknął oczy i zapadł w zdrowy, głęboki sen.

9 stycznia, godzina 05.30

- Zabiorę Dusty'ego na spacer nad jezioro, zanim wrócimy do naszego sektora - powiedziała Callie konspiracyjnym szeptem, gdy wychodzili razem z psiarni. Wstawał nowy dzień, szarobłękitne niebo rozświetlał cienki pas czerwieni nad horyzontem. Powoli schodzili w dół łagodnego stoku.

- Jasne, niech trochę pohasa - odparł Wes. Teraz, gdy wyszli na zewnątrz, nie mógł jej objąć ani nawet dotknąć. Nie pozwalał na to wojskowy regulamin. Odwróciła głowę i

spojrzała mu prosto w oczy, nie kryjąc swych uczuć. Miał nieodpartą ochotę wziąć ją w ramiona i całować do utraty tchu - niestety, nie sprzyjał temu ani czas, ani miejsce.

Z tyłu, za ich plecami, cała psiarnia budziła się ze snu. Dwudziestu dwóch ratowników dostało tego dnia przydział do różnych sektorów. Część z nich dotrze na miejsce śmigłowcami, inni terenowymi humvee, ale wszyscy otrzymali to samo zadanie - przyczynić się do zmniejszenia skutków katastrofy. Wes starał się uciszyć wewnętrzny lęk. Wiedział przecież, dokąd jedzie Callie. Znała mieszkańców, a oni ją lubili. Jak dotąd nie odnotowano w tym rejonie działalności band ani rabusiów, zdolnych posunąć się do wszystkiego, by zdobyć wodę i jedzenie. Nie, dzięki pracy Wesa i jego drużyny w tej okolicy ludzie starali się pomagać sobie nawzajem, a normy społeczne jeszcze były przestrzegane.

Patrzył, jak Callie przyklęka na jedno kolano i drapie Dusty'ego za uszami. Pies machał energicznie ogonem, szczęśliwy, że jeszcze raz pójdzie nad jezioro. Wesa znów ogarnęła fala czułości. Kochał ją. Miała zarumienione policzki, oczy jej błyszczały - widział w nich miłość, którą go obdarzyła. Callie odpięła smycz i krzyknęła: „Biegnij!”.

Dusty ruszył z miejsca i popędził w dół wzgórza. Uśmiechnęła się, wiedząc, że za chwilę jej ulubieniec rozpocznie w szuwarach kolejne polowanie na żaby, których nie ma. Odwróciła się do Wesa. Patrzył na nią z oddaniem i zachwytem w oczach. Bardzo to lubiła.

- Chyba podoba mi się to, o czym myślisz - powiedziała prowokująco. Ścisnęła mocniej smycz, walcząc z pokusą, by posłać do diabła wojskowy regulamin, zarzucić Wesowi ręce na szyję i całować go do utraty tchu. Utkwiła wzrok w jego ustach. Zapragnęła znaleźć się w jego ramionach, by znów się z nim kochać.

- To dobrze - odparł. - Bo gdyby nie to, że jesteśmy tu, a nie gdzie indziej, już dawno...

Donośne szczekanie Dusty'ego przerwało ich przekomarzania.

- Co się stało? - spytał Wes, odwracając się w stronę, z której dobiegał hałas. Powoli wstawał świt, ale nad ich głowami niebo wciąż było ciemne, a na zachodzie widać było jeszcze blednące gwiazdy.

- Wydaje mu się, że znalazł żabę śpiącą zimowym snem, nie ma powodów do niepokoju. Rozpoznaję to szczekanie, nazywam je „żabim szczekiem”. - Callie zachichotała. Patrząc na Wesa z czułością, dodała: - Jest szczęśliwy, tak samo jak my.

- Wiem - mruknął. Sięgnął po jej dłoń i uściśnął ją przelotnie. - Może chcesz wpaść na chwilę do Laury Trayhern? Zdamy ją odwiedzić przed twoim wyjazdem.

Na te słowa twarz Callie natychmiast pojaśniała.

- Z przyjemnością! - Czuła się jak żebrak, z wdzięcznością przyjmujący każdą minutę, którą mogli spędzić razem. Zawołała Dusty'ego.

- Lepiej wracajmy, bo nie jestem tu z tobą bezpieczna! Wes puścił jej dłoń i odparł:
- To prawda, nie jesteś.

ROZDZIAŁ 13

9 stycznia, godzina 12.00

Callie przemierzała szybkim krokiem szpitalny korytarz.

Przed wejściem do budynku Wesa porwał oficer z logistyki, mówiąc, że w kwaterze głównej właśnie odbywa się bardzo ważna narada, na której Wes powinien być obecny. Wes zdążył tylko obiecać, że postara się z nią jeszcze zobaczyć przed wyjazdem. Callie żałowała, że tak szybko się rozstają, jednak doskonale zdawała sobie sprawę, że oboje podlegają wojskowej dyscyplinie. A sytuacja była szczególna. Nie porzuciła zamiaru odwiedzenia Laury Trayhern.

Korytarze były pełne ludzi. Wokół panował harmider. Gdy stanęła pod drzwiami sali, w której leżała Laura, zapukała cicho i wsunęła głowę do pokoju. Morgan siedział na krześle przy łóżku żony. Laura była bardzo blada i wyglądała gorzej niż ostatnim razem, kiedy ją Callie widziała.

- Czy przyszedłam w złym momencie? - spytała Callie zmartwionym głosem. - Chciałam się tylko pożegnać, zanim znów odeślą mnie do pracy.

Laura uśmiechnęła się z trudem i podniosła rękę.

- Cześć. Proszę, wejdz...

Callie zmarszczyła brwi i podeszła do łóżka. Skinęła głową Morganowi, a on odpowiedział jej zmęczonym uśmiechem. Miał na sobie białą koszulę z długimi rękawami, rozpiętą przy szyi. Ciemna marynarka w delikatne paski wisiała na oparciu krzesła. Na kolanach trzymał pokaźny plik papierów.

- Cześć - powiedział ciepło.

- Dzień dobry. - Callie zatrzymała się obok łóżka i dotknęła dłoni Laury.

- Jak się czujesz? Wyglądasz na wyczerpaną.

- Och... - mruknęła Laura, wykrzywiając lekko usta. - Wczoraj zrobił mi się skrzep w nodze. Lekarze boją się, że jeśli skrzep się oderwie i trafi wraz z krwią do płuc, a potem do serca, mogę dostać zawału i umrzeć.

Callie zacisnęła dłoń na jej chłodnych palcach i szepnęła:

- Niedobrze...

- Wczoraj Laura bardzo cierpiała - powiedział Morgan, podnosząc głowę nad dokumentów i kierując na Callie całą uwagę. - Zbudziłem jakąś lekarkę i sprowadziłem ją do niej, żeby sprawdziła, co się dzieje. Powiedziała, że to zapalenie żył.

- Co można z tym zrobić? Laura uniosła do góry jasne brwi.

- Gdyby szpital miał odpowiedni lek, mogliby mi go podać i rozpuścić skrzep.

- Ale - dodał Morgan ponuro - w szpitalu zaczyna brakować leków, bo zapotrzebowanie w Camp Reed i poza nim jest ogromne.

- To okropne! - Callie wpatrywała się z niepokojem w Laurę, która oparła się na poduszkach, przykrywając oczy. - Co teraz? - Wiedziała, że Morgan ma prywatny samolot, wykorzystywany do dostarczania zapasów żywności i zaopatrzenia do bazy. Maszyna była w stanie startować z krótkich pasów startowych i nie miała kłopotów z lądowaniem w trudnym terenie.

- Oficerowie z logistyki robią co w ich mocy - odparł Morgan. Położył papiery na brzegu łóżka i powoli wstał. - Dałem pilotowi Perseusza autoryzację na lot do Seattle. Ma sprowadzić z tamtejszej apteki najbardziej potrzebne szpitalowi leki, wśród nich również rozrzedzające krew. - Nagle zachmurzył się i spojrzał na zegarek na grubym, owłosionym przegubie. - Pilot powinien być tu z powrotem o piętnastej. Wtedy Laura zażyje lek, który powinien rozpuścić ten cholerny skrzep.

Laura chwyciła kurczowo dłoń męża.

- Lekarz powiedział, że dopóki będę trzymać nogę na wyciągu i nie będę próbowała chodzić, czego i tak jeszcze na razie nie robię, nie powinno się stać nic złego. Nie martw się tak...

Callie rozumiała jednak doskonale zdenerwowanie Morgana. Ścisnęła dłoń Laury.

- To wspaniała wiadomość. Na pewno z tego wyjdiesz.

Laura przyjrzała się jej uważnie.

- Wyglądasz dziś bardzo promiennie, Callie. Powiedz, co się dzieje? I gdzie się podział Wes? Zawsze towarzyszył ci jak cień.

Lekko zakłopotana, Callie puściła jej dłoń i dotknęła policzka. Czowała, że się rumieni.

- Czy to naprawdę aż tak widać?

- Co takiego? - spytał Morgan, stając przy łóżku żony i opierając jej dłoń na ramieniu.

- Morgan, przecież pamiętasz, jak wczoraj rozmawialiśmy o Wesie i Callie - powiedziała Laura ściszonego głosem.

- Co? - Uniósł pytająco brwi. - Ach, tak... rzeczywiście. ..

- Czy już ci się oświadczył? - Na ustach Laury pojawił się porozumiewawczy uśmiech.

- Ale... jak się domyśliłaś? - Callie była zbита z tropu.

Laura zaśmiała się cicho. Spojrzała z czułością na męża, a potem przez chwilę przyglądała się uważnie Callie.

- To, że się kochacie, było po was widać jak po parze uczniów. Mielście to wypisane na twarzach.

- Och... - Callie nerwowo odchrząknęła. - Jeżeli ty to zauważyłaś... Nie chcę nawet myśleć o tym, że w takim razie oficerowie i żołnierze też musieli się wszystkiego domyślać! A przecież tak się staraliśmy, żeby w miejscach publicznych z niczym się nie zdradzić! No wiecie, chodzi o regulamin wojskowy...

- Jasne, że wiemy - wpadł jej w słowo Morgan. - Laura jest urodzoną swatką. - Uśmiechnął się czule, patrząc na żonę. - Ona potrafi wyczuć takie rzeczy jak pies myśliwski, który złapie trop.

Callie kamień spadł z serca.

- Więc nie dla wszystkich było to widoczne? - Naprawdę martwiła się o to, by nie złamać zasad obowiązujących w wojsku. Oboje mogliby mieć kłopoty, gdyby ktoś zarzucił im nieprzestrzeżenie regulaminu. Bardzo chciała tego uniknąć.

- Na pewno nie - uspokoiła ją Laura. - Wydaje mi się, że ludzie, którzy się kochają, zwracają szczególną uwagę na innych zakochanych. Po prostu z łatwością zauważają pewne charakterystyczne symptomy. - Poklepała Callie po ręce. - Możesz się uspokoić.

- Uch... Co za ulga. - Callie uśmiechnęła się z wahaniem. - To prawda, kochamy się... To wszystko stało się tak nagle, że wciąż nie mogę w to uwierzyć.

- Nie musicie się spieszyć - zauważył rozsądnie Morgan.

- Macie dużo czasu.

- Oczywiście, jesteśmy rozsądni. Mamy nadzieję, że będziemy razem jak najdłużej. - Rozłożyła ręce. - Usuwanie skutków katastrofy potrwa miesiące. Minie dużo czasu, zanim życie zacznie tu wracać do normy. Oboje z Wesem to wiemy i jesteśmy wdzięczni losowi, że w takiej trudnej chwili zetknął nas ze sobą. Tak wielu ludzi... - Spochmurniała.

- Niestety, wiem, że zobaczymy tu jeszcze niejedną śmierć i wiele ludzkiego cierpienia... To okropne.

Morgan przytaknął.

- Wiesz, czego można się tu spodziewać. Widziałaś podobne sytuacje w innych krajach.

- Tak, to prawda... ale ta jest najgorsza ze wszystkich.

- Jak zamierzacie spotykać się z Wesem? - spytała Laura.

- Słyszeliśmy, że opracowuje teraz plany odbudowy głównych dróg i mostów. Morgan organizuje współpracę logistyki i zaopatrzenia. Chodzi o to, żeby zgrać dostawy z zapotrzebowaniem, które zmienia się z dnia na dzień.

Callie pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Teraz Wes będzie cały czas w Camp Reed. To wspaniale, że będzie mógł z panem pracować. Ja wracam do mojego sektora, w teren. - Twarz jej pojaśniała. - Co cztery dni przysługuje mi doba na odpoczynek tu, w bazie. Wtedy będziemy mogli się spotykać. - Wzruszyła ramionami. - Wiem, nie będzie łatwo, ale nasza miłość znieśie przeciwności, to nie jest słomiany ogień. - Uśmiechnęła się szeroko. - Wybuchła tak nagle, że nas omal nie ogłuszyła.

- Cóż... - powiedziała Laura cicho - ja wiedziałam, że kocham tego mężczyznę od pierwszej chwili, kiedy nachylił się nade mną na środku mokrej od deszczu jezdni po tym, jak potracił mnie samochód. A kiedy odwiedzał mnie w szpitalu, a potem przywiózł do domu i opiekował się mną, kochałam go coraz mocniej i mocniej. - Chwyciła dłoń Morgana i ścisnęła mocno. - Aż w końcu on zrozumiał, że też mnie kocha.

Callie wiedziała, że łączy ją z Wesem to samo uczucie, które od lat wiązało Laurę i Morgana. Była szczęśliwa, wiedząc, że to nie jest przelotny kaprys, że takie uczucie może przetrwać lata, tak jak między Morganem i Laurą.

- Powiedziałam Wesowi, że wasze małżeństwo jest dla mnie doskonałym przykładem na to, że miłość między dwojgiem ludzi nie musi się wypalić.

Laura uśmiechnęła się.

- Związek trzeba pielęgnować każdego dnia.

- Moim zdaniem, najważniejsze jest to, żeby od początku być dobrymi przyjaciółmi - dodał Morgan. - I żeby szanować siebie nawzajem.

- Poza tym - uzupełniła Laura - nie oczekuj, że zmiana postawy partnera rozwiąże problemy. Jeżeli pojawiają się trudności, trzeba pracować nad własnym rozwojem, nad sobą, i wspólnie je przewycięzać.

- Dziękuję, to dobra rada. - Callie spojrzała na zegarek. - Niestety, muszę już iść - powiedziała z żalem. Jeszcze raz uścisnęła Laurę. - Na pewno z tego wyjdiesz. Opiekuj się małą Jane Fielding.

Laura uśmiechnęła się i odparła:

- Pielęgniarki z oddziału dziecięcego są bardzo zadowolone z mojej pomocy. Przy okazji, czy wiesz, że jej matka wychowywała ją samotnie?

Callie potrząsnęła głową. Wiedziała tylko, że ciało kobiety zostało odesłane do bazy w celu identyfikacji zwłok.

- Nie, nie wiedziałam. Czy to znaczy, że mała nie ma ojca?

- Dokładnie - przytaknęła Laura. - Morgan skontaktował się już z Czerwonym Krzyżem, będziemy się starali odnaleźć jej dziadków. - Uśmiechnęła się czule. - Na razie ja jestem dla niej kimś w rodzaju mamusi. - Posyłając mężowi przekorne spojrzenie, dodała: - Morgan powinien właśnie ją przynieść, bo zbliża się pora karmienia. Kochanie...?

Morgan skinął głową.

- Już po nią idę. - Wstał i wyciągnął rękę do Callie. - Uważaj na siebie. Jeśli będziesz potrzebowała czegokolwiek, tu jest mój numer telefonu komórkowego. Czasem wojsko nie reaguje dość szybko na zmieniające się potrzeby. W takich wypadkach dzwoń do mnie, obiecuję. - Podał Callie wizytówkę Perseusza z dopisanym odręcznie numerem telefonu komórkowego.

- Dziękuję panu bardzo. - Callie schowała wizytówkę do kieszeni. - Do widzenia... - Zapamiętała wyraz czułości w oczach Laury, kiedy rozmawiały o małej Jane. Wiedziała, że będzie zajmować się dziewczynką z oddaniem.

- Wyjdziemy razem - zaproponował Morgan, otwierając przed nią drzwi. - Muszę się na chwilę zmienić w opiekunkę do dziecka. - Mrugnął porozumiewawczo do żony.

Na korytarzu Callie skręciła w lewo, w stronę schodów, a Morgan ruszył do windy. Czowała wielką ulgę i radość, że maleństwo znalazło opiekę u dwojga wspaniałych ludzi, których kochała i podziwiała.

Gdy tylko otworzyła drzwi na klatkę schodową, stanęła twarzą w twarz z Wesem. Przyciągnął ją do siebie.

- Genialne umysły rozumieją się bez słów - wyszeptał, zamykając za nią drzwi. - Mamy dziesięć minut na pożegnanie, aniele. Musimy jak najlepiej je wykorzystać.

Drzwi oddzielające korytarz od schodów były wykonane z metalu i tylko w górnej części znajdowało się małe, przeszklone okienko. Nikt, kto przechodził obok, nie mógł ich zauważyć, chyba że postanowiłby specjalnie podglądać przez szybkę. Biorąc pod uwagę ruch panujący w szpitalu, ryzyko było minimalne.

- Tego mi właśnie było trzeba... ciebie... - szepnęła Callie, przytulając się do Wesa i chowając twarz w zagłębieniu ramienia. Przymknęła oczy i objęła go mocno. Westchnęła, czując na włosach jego ciepłe wargi.

- Tak bardzo cię kocham, Wesie James, że boję się, iż za chwilę serce mi pęknie z miłości...

Gładząc ją po ramieniu, wyszeptał:

- Kocham cię tak bardzo, że aż to boli. - A po chwili dodał: - Wczoraj w nocy... to było po prostu cudowne. Nigdy przedtem, w całym moim życiu nie czułem takiej miłości, jaką ty mnie obdarzyłaś, Callie. Nigdy. Jesteś cudowna, mój aniele.

Westchnęła i pogładziła jego tors.

- Wstyd mi o tym mówić, ale dotąd tylko słyszałam o tym, że kobiety mogą mieć orgazm. Sama nigdy tego nie przeżyłam. .. aż do wczoraj... z tobą. - Uniosła głowę i uśmiechnęła się szelmowsko, patrząc na jego zadowoloną minę. - Po wczorajszej nocy chcę jeszcze więcej... dużo więcej...

Sama jej obecność sprawiała, że czuł, jak spływa na niego wewnętrzny spokój, a jednocześnie rozpała go pragnienie, by poznać tę wspaniałą kobietę jeszcze bliżej, by dzielić z nią każdą chwilę życia.

- Właściwie podoba mi się ten pomysł.

- Im więcej, tym lepiej.

Zaśmiał się serdecznie, aż echo poniosło się po betonowych schodach.

- Wygląda na to, że zmieniałaś się w zachłannego anioła. Zupełnie mi to nie przeszkadza.

- Nie? - spytała przekornie, rozkoszując się spojrzeniem zielonych oczu, które mówiło: kocham cię. Aż do tej chwili Callie nie wiedziała, że możliwe jest tak wielkie szczęście. Samo przebywanie z Wesem, rozmowy, przekomarzanie się i żarty, a także wspólne stawianie czoła ponurej rzeczywistości za oknem - wszystko to sprawiało, że czuła się pewnie i bezpiecznie.

- Nie. - Wes zanurzył palce w jej miękkie włosy, odgarniając opadające na czoło kosmyki. Uwielbiał tańczące w jej oczach złote iskierki. - Przygotuj się na to, że za cztery dni, kiedy wrócisz tu na dzień odpoczynku, będziesz bardzo, ale to bardzo zajęta...

- Doprawdy? A jak zamierzasz załatwić sobie dzień urlopu? - W logistyce nie przerywano pracy. Niezależnie od okoliczności.

- Wystarczy długa przerwa na lunch, długie śniadanie i późna kolacja - odparł z łobuzerskim błyskiem w oku.

Callie chętnie przekomarzałyby się jeszcze dłużej, jednak czas pędził nieubłaganie. Spojrzała na zegarek i pokazała go Wesowi. Skinął milcząco głową, zaciskając usta. Potem przyciągnął ją mocniej do siebie, gładząc po raz ostatni włosy i szyję. Callie przylgnęła do niego, a jej ciało cudownie dopasowało się do jej ciała.

- Podoba mi się to, co mamy, Wes - szepnęła, zarzucając mu ręce na szyję.

- Mnie też, aniele. Obiecuj mi, że będziesz na siebie uważała.

- Obiecuję. Mam za dużo do stracenia, jestem przecież najszczęśliwszą kobietą na ziemi.

Gładząc czule jedwabiste włosy, odszepnął:

- A żaden mężczyzna na ziemi nie może być szczęśliwszy ode mnie. Kocham cię, Callie. Zawsze będę cię kochał.